

ALEKSANDER ALFRED KONAR

SZAŁOWSKI
SZYLERT i S^{KA}

POWIEŚĆ

WARSZAWA — 1926
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

LP1hd

TEGOŻ AUTORA

MŁODOŚĆ PANNY MANI, powieść
JESIEŃ, powieść
KARJERY. Część I: DWÓR W JĘDRZE-
JEWICACH, powieść
Część II: KSIĘŻNA IRENA, powieść
OPTYMISTKA, nowele w druku.
BANKRUCI, powieść (wyczerpane)
OAZY, powieść (wyczerpane)
PANNY, powieść, wydanie II. (wyczerpane)
PIERWSZA MIŁOŚĆ, nowele (wyczerp.)
PRZED ŚLUBEM, nowele (wyczerpane)
SIOSTRY MALINOWSKIE, powieść, wy-
danie nowe (wyczerpane)
W SYRENIM GRODZIE, powieść (wy-
czerpane)
PIĄTE KOŁO, Część I: Jurek i Pawełek.

K-85/4627
26.6. 140,5



45 36 70
7

I.

Pawełek zniecierpliwił się w końcu. Śród nawalu prac już kilkakrotnie wzywano go dziś do nowowprowadzonego telefonu; nie posiadał jeszcze wielkiej rutyny słuchania, lecz rozpoznał wnet dobrze znany mu już głos panny Loli. Miała pasję telefonowania. Miłe pytania sypały się jej, jak z worka: Co robił wczoraj, za ilu próżniaków w biurze pracuje? Czy wogóle jeszcze jada i sypia? Kiedy do nich przyjdzie?

Pawełka bawił ten nowy sport śmiechu przez telefon. Dziś przez tubę aparatu przeleciała miła inwitacja, czy w braku czegoś lepszego nie poszedłby na koncert do Doliny, dokąd i ona z mamą się wybiera? A po koncercie wypiją razem w domu familijną herbatkę: Nie będzie zakąsek do wódki. I Tomasz będzie usługiwał bez fraka, zgoda?

— Tylko proszę mamie nie wspominać — brzmiał telefon — że ja tę schadzkę panu naznaczyłam. Proszę udawać zdziwienie przy niby nieoczekiwanem spotkaniu w Dolinie. Trzeba panu raz już wreszcie nauczyć się trochę udawać i kłamać.

I Pawełek, pomimo plotek wiedeńskich, które narówni z quasi dyplomatycznymi insynuacjami tego lekkoducha Jurka — obily się, jakby o mur pił-

ką — nie odmówił uprzejmym prośbom panny Loli. I czynił to nie tyle ze zwykłego braku umiejętności odmowy ludziom, okazującym mu atom życzliwości; lecz był faktycznie wdzięczny exnarzeczonej przyjaciela za pomysł rozerwania jego zmęczonych myśli piękną muzyką w towarzystwie dobrych ludzi. Bo kłopotów miał Pawełek po uszy, a rozrywek ani na lekarstwo. O idjotycznych matrymonjalnych koncepcjach Jurka już zapomniiał — zajęty ważniejszymi poleceniami przyjaciela, który zawiadamiał go: Oto nadarza się w Londynie po jakiejś likwidowanej mydlarni licytacja maszyn, które możnaby nabyć za bezcen. I Jurek (naturalnie wraz z żoną) chce jechać do Londynu. Chodzi jedynie o niezwłoczne wysłanie odpowiednich funduszów, choćby nie odrazu, lecz częściowo. Po porozumieniu z akcjonariuszami kwotę tę należy wysłać mu do Wiednia natychmiast.

I Pawełek bez wielkiego zaufania do tych maszyn, nabywanych za bezcen niepokoił się:

— Skąd u licha ja mu te pieniądze wytrzasnę?

I wnet ze swoją pocziwą wyrozumiałością zdecydował:

— A jednak gdybym miał na głowie stanąć — muszę wynaleźć mu środki na tę jego podróż... poślubną.

I w tym nastroju, aby odechnąć od kłopotów jechał na rendez-vous do Doliny.

„Te panie“ jak zawsze, spóźniły się na koncert. I osamotniony Pawełek rozglądał się dokoła z tem przygnębieniem, jakie ogarnia ludzi w miejscowościach brzydkich.

Co się zrobiło z tą sławną enigi w Europie Dolną Szwajcarską! Gdzie podział się ten spływający od strony Alei Ujazdowskich marmurowy taras o pięknych monumentalnych schodach, udekorowanych wazonami rubinowych gieranji! I ten, sunący kaskadą stubarwny tłum najwytworniejszej publiczności, która wyszukiwała sobie z trudem stolików w nizinach doliny wśród (nielitościwie wyciętych dziś) stuletnich kasztanów, uszmaragdowanych wspaniałemi gazowemi żyrandolami o zwieszających się baniach ze szkła matowego. Wobec naftowych latarni innych ogrodów — iluminacja ta wydawała się nocą czarowną z bajki arabskiej. A dokoła na stokach piętrzą się wzgórze rozległego ogrodu, który ciągnął się przez całą długość nieistniejącej jeszcze ulicy Szopena ze swemi posągami, z szumem starych drzew. A w ustroniach tych suną zakochani, spragnieni bardziej harmonji szeptów, niż dźwięków orkiestry.

I jakżeż można podszywać pod to samo miano dawnej Doliny Szwajcarskiej — to dzisiejsze brzydkie przeciętne podwórze niezabudowanego domu wśród tandety amerykańskich drapaczy nieba! A jeszcze obecni właściciele dopominają się

o wdzięczność warszawiaków za zachowanie tej karykatury przeszłości! Być wdzięcznym za pomysły barbarzyńskie wycięcia przeszkadzających pięknych lip, kasztanów, dębów i akacji dla wygody wylanego asfaltem terenu, na którym można skatingować na skręcenie karku w lecie i ślizgać się przez jeden miesiąc w zimie!

I ów nieświeży nastrój Pawełka wśród pustych stolików na asfalcie udzielił się wnet i przybyłym damom. Bo w owej charakterystycznej atmosferze pustyni, nuda zachłania stale wszystkich nielicznych bywalców, których nie mogą skusić ani wysilone reklamy, ani niefortunne pomysły coraz bardziej secesyjnych altan i pawilonów. Tak dogorywająca patrycjuszka martwieje w swojej pogardzie dla modernistycznych wygod postępu.

Nie uszedł też uwagi pani Wtorkowskiej ten przejmujący tkliwy smutek Pawełka, który od pewnego czasu coraz widoczniej panoszył się w jego duszy.

Fakt ten skonstatowały poza nią jeszcze i inne różne domowe kumoszki, które zawyrokowały znacząco:

— W tem coś tkwi. Lecz co?

Po pewnym czasie cała już opinia wysnuła pewnik, że tak poważny człowiek, jak Pawełek — nie asystowałby bezcelowo pannie na wydaniu.

Tylko nie śmie najwidoczniej deklarować się z powodu jej posagu. I stąd jego smutek.

Mama Wtorkowska wobec gotowej już wyprawy i zakupionych mebli — godziła się od biedy na nowego konkurenta, tembardziej, kiedy pojęła, że i córka — zdaje się toleruje nowe konkury.

— Ha! De gustibus non est disputandum — zawyrokowała wyrozumiale rada, że pozbędzie się córki z domu. A doszła też do nich fama o małżeństwie Jurka z Lilką. Aż obie zatrzęśły się:

— Wart Pac Paca, a pałac — pałaca.

— Dobrali się, jak w korcu maku: Córka alfonsa i syn kokoty!

Mama Wtorkowska nie protestowała oszczerstwu rozgoryczonej córki, choć wiedziała, że pani Roma — niezależnie od trudności rozwodowych — kokotą nie była; a i ojciec Lilki — choć nie kandydat na pierwszą nagrodę cnoty — nie był nigdy alfonsiem. Lecz któż by tam oszczerstwa prostował! Stara domyślała się, że to godzenie się córki na raka na bezrybiu jest zrozumiałą rezygnacją w miłosnym zawodzie panny Loli.

— I ten skandal zerwania z narzeczonym 26-oletniej panny, znanej już w salonach od dziesięciu karnawałów! To nie przelewki!

— Oby już raz spadł mi wreszcie ten ciężar z głowy! — zakonkludowała w swoim egoizmie matki, dla której kłopoty rodzicielskie są ponad siły. Uprzedzała teraz opinię o uczuciach Paweł-

ka dla córki i o mężu, który oponuje tym planom, choć stary Wtorkowski, jak na oponenta miał zbyt ugodową minę. I dziś po familijnej herbatce pozostawiła młodych sam na sam we dwoje.

Panna Lola, z megalomanią posażnej jedynaczki, nie wątpiącej, że jedynie nieśmiałość wstrzymuje Pawelka od kariery, o jakiej nawet nie śnił — postanowiła ośmielać „pocziwine“, jak wyrozumiała królowa. Poczęła rozpytywać go o jego lata dziecięce, o matkę, o dni sieroctwa, o czasy szkolne i o ciężkie terminy dorobku. Wtajemniczała się w to tak pocziwie, aż Pawelkowi dusza się otworzyła. I rozpoczął wyśpiewywać swoje młodzieńcze leitmotywy, (raczej przez D, niż przez T) jak chodził z bubuską na wody do ogródka przy ogrodzie Krasińskich, jak wczytywał się w „Trzech muszkietierów“ przy gasnącym naftowym kinkiecie na Lesznie. Jak matka jego, znękana całodzienną pracą — miała jeszcze czas poprawiać mu ćwiczenia i wysłuchiwać zadane na jutro przysłówki łacińskie, rządzące ablativem: Absque, a, ab, abs, i de... I pannie Loli, wsłuchującej się w jego sympatyczny i tkliwy głos „pocziwca z kośćcami“ przyszło naraz do głowy określenie Lilki:

— Pan Pawełek wcale nie wie, jaki jest miły.

I panna Lola przypatrywała się Pawelkowi badawczo, jak sędzia śledczy: Jego postać nie imponuje harmonją proporcji; to prawda. Bo był mały

i miał zbyt cienkie nogi w stosunku do rozrosłego w ostatnich latach tułowia o zbyt wypukłej piersi. Przytem ten jego charakterystyczny chód o zbyt drobnych krokach, ze sztucznem wypinaniem swojej figury, aby podług zapamiętanego rozkazu matki — nie być pochylonym. Był ogólnie ośmieszany. To wszystko prawda.

— A jednak cała jego postać jest ujmująca — zakonkludowała, ogarniając okiem uduchowioną bladą twarz Pawełka o rzadkim miękkim zarcście, muskanym nerwowo małą kształtną ręką.

Jest stanowczo powabniejszy, niż mu się samemu wydaje. A może właśnie wdzięk jego polega na tem nieuświadomieniu. Bo on nie wie, że nie jest wcale brzydkim ze swemi wielkimi oczami zranionej sarny, zdającej się pytać:

— Dlaczego chcieliście mnie zabić? Jedynie dla rozrywki. Prawda?

I ten dziwnie odbijający się od stałej melancholji jego oczu półuśmiech cienkich ust, przypominających zagadkowość postaci Leonarda da Vinci.

— Jaka pani jest dobra — komplementował ją Pawełek — że się tak skwapliwie w moje brednie wsłuchujesz.

— Wcale nie jestem dobra. Tylko to mnie interesuje.

— Pan nie rozumie tego — prowokowała —

że nie wszystkich ludzi wspomnienia dziecięce obchodzą mnie?

Zaczerwieniony Pawełek karmił się w duszy, że ona, choć tak miła i dobra — jest mu o tyle dalszą od mniej wartej moralnie Lilki jedynie dlatego, że panna Lola jest mniej piękną. Lecz jeszcze stokroć większe czynił sobie wymówki, że jest z nią w nieporządku. Bo daje powód opinii do konstatowania jego starania się o jej rękę. Opinia niekiedy uprzedza wypadki. A więc on faktycznie pod sugiestją Jurka i opinii konkuruje o jej... posag?

— Biedna dziewczyna! — litował się nad niekochaną kobietą. — Gotowa w dobrej wierze połączyć swoje życie z najpospolitszym karjerowiczem! — zatrząsł się z obrzydzenia nad samym sobą.

— Więc co robić? Przestać bywać? I zrywać z tak zacnymi ludźmi bez powodu? Bo to może megalomanja z mojej strony ten domysł, iż ona zdecydowała by się na fakt, na który nigdy bym się nie zdobył. Przenigdy. Bo niestety — nie kocham jej.

Sam na sam przerwała im mama Wtorkowska, wystraszona, trzęsąca się, już bez żadnych blag wyszła z formy.

— Co się mamie stało?

— Ojciec, ojciec! — bełkotała z trudem stara. — Ratujcie ojca! Weszłam do jego pokoju... A on

widocznie nieprzytomny runął na podłogę... Miał jakieś biurowe przykrości... Jakieś listy z zagranicy...

Pobiegli do jego sypialni. Ułożyli go na łóżku, rozpięli koszulę, cucili wodą kolońską, rozcierali ziębne dłonie. Rozesłali służbę po lekarzy.

— Duszę się! Powietrza! — jęknął stary nieswoim głosem, rzeżąc, coraz bardziej fioletowy, z twarzą coraz bardziej stygnącą, z oczami zupełnie już nieswojami.

Lekarze stwierdzili odrazu stan beznadziejny, choć usiłowali karmić zamierające piersi sztucznem wprowadzeniem powietrza, choć rozgrzewali martwiejące nogi bańkami gorącej wody i walczyli ze zbliżającą się agonją jakimiś podniecającymi środkami strofantu i zastrzykiwanej kamfory. Pawełek pobiegł po księdza. Telefonoowano do krewnych i do biura. Dokoła, jakby za poruszeniem złej różdżki — cały dom przywdział odrazu inną szatę. W całym domu w atmosferze lekarstw — wrzało już od obojętnych szeptów naczynianych krewnych, od bieganiny służby i biało odzianych pielęgniarek.

W sąsiednim pokoju cucono od spazmów panią Wtorkowską. Chory przyjął już ostatnią komunię.

I naraz śród zdumienia otaczających dostrzeżono w oczach Wtorkowskiego, skierowanych z niehumanym wysiłkiem w stronę Pawełka jakiś błysk samopoczucia. Umierający z ostatnim wy-

siłkiem pochwycił za rękę Pawełka i wykrztusił najwyraźniej:

— Pamiętaj, ty jeden — przechylił się całym ciężarem głowy w bok, ręce mu zwisły; wyprężył się; twarz mu skostniała, oczy zapadły, usta się otwały... nie żył.

Pawełek nie wychodził już teraz z ich domu. Nie miały nikogo prócz niego. Ze swoją wrażliwością odczuł tę śmierć prawie na równi z niemi. Nie solidaryzował ze zbyt histerycznymi wybuchami starej Wtorkowskiej, rozpaczającej w swoim tchórzliwym egoizmie na jedyną nutę: co ona uczyni teraz sama jedna bez jedynego człowieka na świecie, który prawdziwie ją kochał. Działyły mu na nerwy te ustawiczne jej omdlewania i spazmy, bardziej szczerze, niż sama przypuszczała.

Najbardziej jednak wzruszał Pawełka (aż do wysiłku powstrzymywania łechcących mu gardło łez) widok panny Loli, znoszącej ten hiobowy niespodziewany cios z męską godnością bez żdźbła ekshibicjonizmu i hysterji.

Uwita w czarne krepy stała się prawie ładną ze swoją bledością twarzy i z tym królewskim tragizmem, który bił z jej spojrzeń, z mowy i z ruchów całej postaci.

Lecz tę majestatyczną grozę, jaka zwała się na ich dom miał powiększyć jeszcze nowy zupełnie nieoczekiwany epilog: Oto nazajutrz po pogrzebie przekonano się, że nieboszczyk nie po-

zostawił żadnego testamentu. A przy sprawdzaniu praw spadkowych i sporządzaniu działów rodzinnych stwierdzono na zasadzie pozostałych bilansów, depozytów, aktów rejestralnych i weksli, creditów i debitów, że nieboszczyk utracił prawie cały majątek na spekulacjach giełdowych i na jakichś awanturniczych projektach amerykańskich.

Teraz już i pani Wtorkowska przestała spazmować. Sytuacja obu osamotnionych kobiet, skąpanych w zbytku, a rzuconych za jednym zamachem okrutnego losu na bruk — stała się faktycznie tragiczną. Pawełka wzruszała ta sytuacja tembardziej, iż stawały mu przed oczami identyczne dni, przeżywane z panią Romą po śmierci jej męża na ulicy Inflanckiej. Tragiedja możliwa dla dziewięciu dziesiątych rodzin w naszym kraju, żyjących bez myśli o jutrze. Niespodziewany grom Wtorkowskich, Szałowskich, Szylertów i t. d. I stara królowa-wdowa bardzo patetycznie z wielką godnością zwróciła się do Pawełka:

— Jakaś klątwa losu nad nami zawisła. Wszystkie dawne nasze projekty zniweczone. Teraz nie mamy już prawa zawieszać się komukolwiek u szyi. Córcie mojej pozostała jedynie dobra opinja, której nie wolno narażać, nawet za cenę tego współczucia, jakie pan nam teraz okazuje. A pan wie, co to jest opinja: złośliwe insynuacje na zasadzie pozorów prawdopodobieństwa. Kłamliwe

oszczerstwa, rozsiewane przez stugębną plotkę, na którą poniewczasie rady już niema. Trudno, jesteśmy skazane na zagładę, a kto się do nas zbliży — zginie. Zwalniamy pana ze wszelkich obalonych marzeń pańskich i naszych.

— Moje zamiary matrymonjalne — wyrwał się naraz Pawełek w niespodziewanej dla samego siebie nagłej decyzji swojej uczciwej natury — zrodziły się dopiero w zupełnie ostatnich czasach i nie mają nic wspólnego ze zmianami losu, jakie zaszły w życiu pań. Pokochałem córkę pani niezmiennie — kończył swoje szczere oświadczenia już w obecności panny Loli, która weszła do pokoju — nie, p o m i m o straty jej majątku, lecz może właśnie d l a t e g o, że jest niebogata.

Panna Lola wybuchła pierwszemi łzami od czasu śmierci ojca. Nigdy w życiu nie śniła, aby ktoś mógł zaślubić ją nie dla jej posagu, lecz dla jej osoby, choćby tym skromnym kandydatem miał się okazać człowiek, którego w gruncie nie kochała.

Wyznaczono dzień ślubu, który miał się odbyć za trzy miesiące.

Pawełek nigdy jeszcze nie zapracowywał się tak, jak w ciągu tych konkurów. Poza męką zawodowych firmowych kłopotów — musiał jeszcze przygotowywać mieszkanie w fabrycznej willi, dotąd nie zupełnie wykończonej; regulował też uciążliwe i zawile interesy po zmarłym teściu:

układał się z wierzycielami, biegał po rejentach i z całej wielkiej fortuny nieboszczyka zdołał wysondować dla sukcesorów dwudziestą część dawnego majątku, wynoszącą około trzydziestu tysięcy rubli.

Z przynależnej sobie połowy tego spadku wdowa Wtorkowska tak długo kwitowała — zrezygnowana umrzeć pod płotem (bo roczne procenty i tak na najskromniejsze utrzymanie nie wystarczą) aż Pawełek z niezwykłą sobie brutalnością zmusił ją, aby przyjęła wszystko co do grosza; bo on posagu się zrzeka.

Pani Wtorkowska, zadecydowawszy osłabionym głosem, że Pawełek w swoim despotyzmie przypomina zupełnie nieboszczyka — musiała ulec tej przemocy — jako patentowana dożywotnia ofiara przemocy mężczyzn.

Wynajęła dla siebie bardzo ładne mieszkanie, do którego „dzieci ją zmusiły“, bo podług jej elegijnego wyrażenia „dla niej i tak wszystko się skończyło i każda nora wystarczała“. I, choć broniła się też z całych sił — musiała sobie zostawić wszystkie najpiękniejsze meble z całego dawnego urządzenia.

— Po co mi tyle gratów? — biadała przed wszystkimi. — Ale dzieci chciały się ich pozbyć, bo im się nie podobały. Dla mnie te meble, czy inne — wszystko jedno. Chodziło mi jedynie o spokój, aby nie uchodzić za przysłowiową teściową.

Dlatego ustąpiłam. Lecz w gruncie kilka rodzinnych pamiątek wystarczyłoby mi w zupełności.

Zresztą nie miała teraz sił do sprzeczek — zajęta sprawami urzędującej młodej pary, a dopiero później własną wyprawą do swego wdowiego zakątka.

Zanurzonemu po szyję w kłopotach narzeczonemu strzeliła tylko raz jakaś naga myśl do zbolalej głowy wśród porównywań nowej fotografii swojej przyszłej żony z podobizną pięknej Lilki:

— A jednak wyroku losów zmienić nie można. Jurkowi przyznana była widać przez Opatrzność rola głównego bohatera. A mojem przeznaczeniem były zawsze brzydkie, ubogie kuzynki bohaterek.

I jakaś ciężka fala cynizmu, którego miazmaty muszą wsiąkać w ludzi najczystszych — uderzyła o tajemniczą komórkę mózgu Pawełka szyderstwem piosenki przyjaciela:

— No, przynajmniej mój współnik Jurek Dupond nie zechce korzystać z należnego mu udziału miłości pani Dufond. A ja? — roześmiał się smutnie. — He, he! — Niema obawy, aby pani Dupond się zgodziła.

Od Jurka nadszedł wreszcie przed samym ślubem Pawełka list, donoszący, iż — transakcja z kupnem maszyn w Londynie — niestety — nie doszła do skutku, ponieważ cała licytacja była jedynie bluffem wobec wierzących. A przy starych maszynach utrzymali się podstawieni krewni da-

wnych właścicieli. W liście tym Jurek jak zwykle naglił jednocześnie o przysłanie mu pieniędzy — tem bardziej teraz natarczywy, iż wiedział już o tak materialnie niefortunnym epilogu konkurów Pawełka.

I Jurek, zmuszony obwiniać o ten „głupi“ mariaż jedynie swoje własne sugiestjonowanie przyjaciela, który „wpadł w pułapkę“ — zapowiadał swój przyjazd do Warszawy dopiero po ślubie Pawełka. Uroczystość, naznaczona przez panią Wtorzkowską z ogromnym pośpiechem — miała się odbyć wskutek żałoby jedynie w gronie dziesięciu osób z najściślejszej rodziny, zebranych przed południem.

Depesza, informująca o tym fakcie doszła do Jurka w Wiedniu, gdzie w hotelu bawił w przejeździe do Warszawy.

— Idjota! Ładnie się urządził! — zdecydował, układając sobie wąsy pod bindą.

Na jego kolanach, tuląc się do jego piersi pani Lilka, śliczna w swoim jedwabnym gorsecie, w koronkach z różowemi wstążeczkami — wonna od ранnego zapachu swego perłowego młodego ciała i złotych włosów — litowała się nad pokrzywdzonym Pawełkiem, pozostawionym bez ich opieki w Warszawie. Miała uczucie, że ona sama jest do zgonną żoną tego biednego Pawełka, którego teraz zdradza w eskapadzie wiedeńskiej z kochankiem:

— Biedaczysko! A gdybyś ty, Jurasku, wiedział, jaka Lola jest brzydka w negliżu!

— No! Wyobrażam sobie! — roześmiał się Jurerek.

II.

Wiele wody upłynęło od czasu żeniaczki Pawełka i Jurka. Życie ich toczyło się już utartem korytem: raz pogodnie, wartko; to znów żłobiąc z szumem kamienie, rozwalało z wysiłkiem przeszkody z automatycznym uporem nakręconego zegarka, nie pytającego, kto go nakręcił i po co chodzi i bije.

Rzecz prosta, że mieszkający w jednym domu państwo Dupond i państwo Dufond z bulwarowej piosenki żyli ze sobą w większej zgodzie, niż Jurkowie z Pawełkami. Samo przez się rozumie, iż ktoś mógł być powodem tych wszystkich niesnasek? Naturalnie coraz bardziej wrogie dla siebie pani Jurkowa i pani Pawełkowa. A mężczyźni, jak zwykle w takich sprawach bardzo pobłażliwi, politykowali, unikając stąpania sobie po piętach i łagodząc — o ile można — zaognienia.

No i „clou“ owej piosenki nie sprawdziło się. Nie śniło się dotąd naszej pani Dupond, aby była panią Dufond i t. d. Lecz był fakt faktem, że to wieczne nierozzerwalne sąsiedztwo obu paniom

spółniczkom już stanowczo nad wszelki wyraz ciążyło.

Ach! Ten wspólny dom i ten wspólny ogródnik, wspólne warzywa, konie, do których ciągle pretensje miała i pani dyrektorowa i pani inżynierowa! Spełniło się wprawdzie marzenie Pawelka — zamieszkiwania na parterze z tarasem, z oranżerją i estetycznym wielkim hallem, który zajmował znaczną część mieszkania! Lecz — niestety — pani Pawelkowa znosić tego lokalu nie mogła. Ciasnota (hall zajmował zbyt wiele przestrzeni), przytem przeciągi, obawa złodziei. Utyskiwała na te wszystkie niewygody od rana do nocy. Wreszcie po upływie kilku lat, kiedy rodzina ich powiększyła się (przybyło Pawelkowi w tracie tym dwoje dzieci: dziewczynka Kazia, a potem chłopiec Zyzio), żona zwyciężyła wszystkie przeszkody. Przenieśli się tak, jak chciała Pani Lola, do większego lokalu na 1-em piętrze, a Jurkowie, jako bezdietni, zgodzili się na parterową garsonierę z tarasem, hallem i z oranżerją, bardzo odpowiednią według określenia pani Pawelkowej dla ich wiecznie „kawalerskiej cyganerii“.

Bo pani Lola stała się gospodynią, jak to mówią — całą gębą. Działała i strofowała, nie szczędząc zbawiennych wskazówek życiowych dzieciom, nauczycielom i służbie — od rana do nocy. Nie opuszczał jej też żal, iż mąż, przesiadujący dni całe w biurze i w fabryce — nie mógł korzy-

stać z jej światłych rad życiowych tak obficie, jakby tego pragnęła.

Jej system wychowawczy polegał na obfitości słów i na nieoszczędzaniu dla idei głosu, którym rozbrzmiewało całe mieszkanie od świtu do mroku, aż się uszy trzęsły. Poprostu mówiąc, pani Lola stała się nieznośną, kłótniwą babą. Domowy jej repertuar, poza zdecydowaną nienawiścią do Jurków, urozmaicały jeszcze i sceny z matką, która całymi miesiącami bywała obrażoną; a potem za pośrednictwem dyplomatycznego Pawelka następowała zgoda. A potem te damy znów się ze sobą kłóciły. Bo pani Loli ani śniło się grać wobec starej Wtorkowskiej tej podwójnej roli nieboszczyka: pantofla — tyrana. Nie chciało się jej z m u s z a ć matki tak, jak ongi stary zmuszał ją do kupowania nowych sukien, do wyjazdów za granicę i do wszystkich innych ukrywanych zamierzeń kabotynki. I wśród wybuchów gniewu pani Lola wręcz oświadczyła matce:

— Mama niby nie dziedziczyć po ojcu nie chciała, a zatrzymała sobie wszystko: cały majątek, meble, srebro, wszystkie brzozy, zegary i antyki. Dla nas nie pozostało nic, nawet na owinięcie palca.

— Sama wiesz najlepiej, jak się broniłam z całych sił od tych zbytków. Bo mnie wystarczałyby dwa pokoje.

— Dobrze, dobrze. Znamy się na tych mamy dwóch pokojach.

— To może nie Pawełek wynalazł mi to nowe mieszkanie?

— Naturalnie. A czy to Pawełek kazał mamie obstalować teraz u Włodkowskiej dwie nowe suknie i kapelusze u Boszowej? Ale ja nie mam na takie stroje dla siebie, zakupywane w pierwszorzędnych magazynach.

— Wiesz dobre — zakipiała stara, wychodząc ze zwykłej roli dystyngowanej ofiary, rozżalona z powodu brutalnie zdemaskowanej jej quasi uległości (choć dotychczas wszyscy, jak jeden mąż, godzili się na tę symulację) — że wydawałam na moje suknie, kapelusze, na przyjmowanie gości i na coroczne wyjazdy do wód połowę tego, co ty marnujesz na zbyteczną ilość służby, na zbytekowne zabawki dla dzieci, na ciągle niepotrzebne leki, na całe dziurawe sito twego gospodarstwa, pełnego krzyków twego terroru i anarchji; podczas kiedy u mnie z budżetem rocznym o połowę mniejszym wszystko szło składnie, kulturalnie i estetycznie. Miałam salon, abonowaną lożę w teatrze, stosunki towarzyskie. A dzieciakom nie wolno było hałasować, brudzić sukienek i niszczyć mebli we wszystkich pokojach.

— Naturalnie. Bo u mamy pierwszą rolę grał salon o trzech oknach dla gości. A ja gnieździłam się z boną w ciasnym pokoiku bez słońca. Dlatego

też i lekarze nie wychodzą teraz z mego domu. Bo mama była zawsze skrytą egoistką.

— Twoje dobre serce i zbytnia szczerość daje się wszystkim bardziej we znaki, niż moja skrytość i mój egoizm.

— Te, te, te...

— Te, te, te...

Pawełek, budzony tym kłótliwym wrzaskiem z poobiedniej drzemki, dawał nura do fabryki. Nie miał zdrowia do tej zapelniającej mu cały dom Wtorkowszczyzny, choć solidaryzował już bardziej z obłudą egoistycznej teściowej, niż z krzykliwością zapuszczonej, brzydkiej żony.

Bo pani Lola nie pojmowała, że — tak, jak jedynie piękna kobieta może pokazywać się w negliżu — tak również jedynie bardzo dobrym, delikatnym i subtelnym ludziom jest do twarzy ze szczerością. Bo wyszła z mody manjera układności salonowej starej Wtorkowskiej — maskowała jej wady stokroć lepiej, niż dezynwoltura pani Loli.

I Pawełek zdawał sobie — niestety — sprawę, iż zawiódł go ów ideał ciepła rodzinnego, do którego w samotni swego kawalerskiego pokoju tak wiecznie wzdychał. Bo to nie był jego dom; to był dom jego żony. I mieszkanie wyłącznie podług jej gustu urządzone. I matka żony i goście żony i służba żony. Nawet dzieci — wyłącznie — żony.

Zyzio, średnio uczący się, skryty, z zaciśniętymi ustami — przypominał, jak dwie krople wody, dystygowaną starą Wtorkowską. Kazia, ogromnie głośna i pewna siebie, była wykapanym „portretem swojej matki“. Uwagi ojca — dzieci wysłuchiwały z jakąś protekcyjną wyniosłością, obrzucając znaczącymi spojrzeniami matkę, która, solidaryzując zawsze wyłącznie z dziećmi, uczyła je, że ojciec zawsze jest ojcem, i, choć słuszności nie ma — nie należy irytować go jawnem sprzeciwianiem się, ponieważ on pracuje ciężko na chleb, bez którego żyć by nie można. Lecz w końcu on zapomni o swoich rozporządzeniach, i wtedy ona uczyni wszystko tak, jak wraz z dziećmi zadecydowała.

Pawełek, niezależnie od subtelności swojej obserwacji — poznał się na tej taktyce tem łatwiej, iż pani Lola, niezawsze usposobiona do grania komedji — zapominała bardzo często o niewłaściwości irytowania męża, ciężko pracującego na chleb, bez którego żyć nie można. Bo nie lubiła obłudy i komedji.

I zwykle bardzo brutalnie i bardzo krzykliwie stawiała w obecności dzieci swoje veto bez zastrzeżeń w każdej kwestji.

Pawełek, choć nie lubił swego wielkiego nowego lokalu w ukrywanym kulcie dla porzuconego przez żonę poprzedniego mieszkanka na parterze z tarasem, werendą i oranżerją — był jednak wo-

góle przywiązany do swojej willi o pięknej sylwecie, wykombinowanej po długich pertraktacjach z nieżyjącym już architektem. I nienasycony w kontemplacji — przypatrywał się jej z dumą, jak pięknej kochance. Willa, wprowadzie bez wymarzonych ongi kolumn, lecz z wieżyczką, z ekierami, z tarasem — przedstawiała się bardzo estetycznie.

Lecz pani Loli począł nie wystarczać już i ten większy apartament na 1-em piętrze. I w swojej anarchicznie azjatyckiej manji przestrzeni, w pogardzie dla europejskich pięknych małych komfortowych mieszkaneł, dobrze wentylowanych, oświetlonych, wygobelinowanych i odywaniowanych — zadecydowała znowuż, że mieszkanie jest za ciasne.

Ogarnęła ją teraz jakaś wojownicza manja przesadnej higieny. Dwa dziecięce pokoje już teraz nie wystarczały, ponieważ jest niehigienicznie, aby córka spała z guwernantką w jednej sypialni i aby spędzała dni całe w pokoju, w którym sypia. Więc, o ile dzieci mają wychować się w zdrowiu — muszą mieć własne pokoje sypialne i osobne pokoje do nauki i do zabawy. Niehigieniczną jest wspólna wanna dla całego domu. Pokoje kąpielowe zarówno jak sypialnie powinny być osobne dla państwa, osobne dla dzieci, osobne dla nauczycieli i osobne dla służby.

Nie było innej rady, jak nadbudówka domu

kosztem ruiny wysokiego pięknego dachu mansardowego, z wieżyczką, którą tak szczycił się Pawełek, a która była bezużyteczną dla pani Loli. Willa z nadbudowaniem 2-em piętrem bez harmonji proporcji wzbudzała w Pawełku odrazę, jak rozrosła zdradliwa kochanka w otoczeniu progenitury, której nie on był ojcem.

I Pawełek wypełniał życie swoje wyłącznie pańszczyźnianą mordęgą kilkunastu biurowych godzin na dobę, aby 99 setnych jego pracy mogła wyrzucać za okno żona, której nigdy nie kochał.

I za tę swoją najskrzętniej ukrywaną względem niej oziębłość czynił z właściwą dobrym ludziom wyrozumiałością — nie ją odpowiedzialną, lecz samego siebie. Usiłował też tę swoją oziębłość jaknajhojniej opłacić. Chodził przed nią na palcach i ustępował na każdym kroku, jakby z ukrywanem hasłem: wszystko z wyjątkiem miłości.

Lecz pani Lola pragnęła wszystkiego i miłości. Ani śniło się jej ubiegać o coś w małżeństwie. Jej dewizą było: Uczciwa kobieta kokietuje jedynie narzeczonego, lecz nigdy męża. Pozatem kokietują jeszcze swoich kochanków... kokoty.

Uważała się za skrzywdzoną i mściła się. Utyskiwała na niego przed znajomymi i przed rodziną, że jest niemożliwym w pożyciu, zimnym mrukiem, egoistą i dziwakiem.

I uważała za osobistą zniewagę dostrzeżenie w kimś cienia sympatji dla męża. Nie wolno było

wobec niej okazywać atomu uznania dla jego charakteru, lub umysłu. W tym nastroju też wychowała dzieci, przeświadczone, że Pan Bóg stworzył matkę na to, aby była przez nie kochaną i ojca, aby dawał im na utrzymanie.

A pieniądze faktycznie, jak przez dziurawe sito, wyrzucała drzwiami i oknami. Ponieważ zadecydowała, że powietrze ich ogrodu, sąsiadującego z fabryką, szkodzi zdrowiu dzieci — wyjeżdżała za poradą usłużnych lekarzy z całym dworem rok rocznie na letnie wywczasy; z początku do modnego Ems i Schwalbach nad Renem, następnie do Interlacken w Szwajcarii, a dla oszczędności — nie do Ostendy, lecz do sąsiedniego Blanckenberghe.

I wiecznie utyskiwała przed mężem, że nie posiada jednej porządnej sukni i że żałuje sobie filizanki czekolady w cukierni wśród męki najtańszego załatwiania nieuniknionych sprawunków. Pomimo to wydawali rocznie około dwudziestu tysięcy rubli, z których nawet 500 rubli nie okraślało się na osobiste wydatki pana domu. I Pawełek, zapracowując się na wszystkich, stawał na głowie, aby w domowym budżecie koniec z końcem wiązać.

Nawet latem nie ruszał się ze swej budy, w której, jako słomiany wdowiec, harował wśród ciszy jeszcze intenszywniej, niż w zimie — zmuszony kwitować z jedyne go młodzieńczego marzenia: podróży. Ach! Ta podróż! Od dziecka śnił mu się

wiecznie ten Paryż z Luvrem, z Quartier latin, z Odeonem, z bulwarem Włoskim, z Magdaleną i ze wszystkimi nazwami ulic, po których stąpali wszyscy bohaterowie romansów, pochłanianych na Lesznie: Trzej muszkietierowie, Hrabia Monte-Christo i wszyscy bandyci, wynajdywani przez Lecoqua, Gaboriau'a, Ponçon du Terrail'a i Boisgobey'a.

Ach! Te nadziemskie wizje dalekich krajów! Ach! ta Florencja z pałacem Pittich i Ufficich, z madonnami Lukki Robia, z wrotami raju baptysterjum Ghibertiego, z gróbowcem Juliusza II Lorenza Pensiero w kaplicy Medyceuszów Michała Anioła! A Fra Angelico, Boticelli, Donatello! A Wenecja z tysiąca i jednej nocy! Z gondolami na Canale Grande, z pałacem dożów na Piazzecie, ze św. Markiem na lwie i św. Teodorem na krokodylu, z kondotierami Veroccia i z logietą Sansowina!

Pawełkowi na myśl o tych przysmakach aż ślina do ust cieknie. W wiecznych tarapatach żyjącego nad stan burżuja, poszukującego nie proletarjackiego rubla, lecz 500 rublówki — zdołał zaledwie raz jeden w ciągu swego małżeństwa wyfrunąć na kilkatygodniowe ferje. I z żarłocznością głodomora zajadał się aż do niestrawności cudami Wawelu, kościoła Marjackiego, biblioteki Jagiellońskiej i skarbami Sukiennic. Samochodem popędził z Krakowa do Zakopanego, aby po amerykańsku wchłonąć w siebie jednym tchem cuda

Tatr, Giewontu i Morskiego Oka. Przez Szmeks przedostał się Dunajem do pięknego Pesztu. A stamtąd do Wiednia! I po raz pierwszy ujrzał europejską naddunajską stolicę z całym jej estetyzmem Ryngów, muzeów, teatrów, parlamentu i parków. I, jak więzień, nie przywykły do powietrza — powrócił do swej nory jeszcze bardziej zmęczony i jeszcze smutniejszy z żalem, czemu nie może, jak inni szczęśliwi, żyć wiecznie na swobodzie i obcować w tym Aranjuesie w teatrach z Mozartem i Bethovenem, w galerjach z Holbeinem, Van-Dyckiem i Tintorettem.

Struna złotej harfy pękła i pieśni zamarły. Pozostało biuro, fabryka, kłopoty i kołki ciosane mu na głowie. A dokoła kajdany i obcy rząd, policja, żandarmy i źli ludzie, zepsuci w niewoli.

Pewnej niedzieli w salonie w poszukiwaniu wśród świeżo zakupionego zbioru reprodukcji Luwru swojej ulubionej paryskiej madonny Botticella Pawełek usłyszał wychodzący z jego gabinetu gwar Zyzia, Kazi i przybyłych w odwiedzinę ich dziecięcych rówieśników.

— To zapewne wasza babunia — badał gość młodocianych gospodarzy domu — ta pani z temi gładkimi włosami w takim dziwnym kołnierzyku, prawda?

— Nie! — objaśniał gościa wyniośle Zyzio. — Skąd znowu? Nasza babunia to ta w aksamitnej

sukni. A tamta w tym brzydkim kołnierzyku — to matka tatusia.

Pawełek zatrząsł się z oburzenia, z uczuciem, jakgdyby ktoś napluł mu w twarz. Oddawna już dostrzegł w swoich dzieciach tę oschłość, wpojoną im przez matkę, mszczącą się w ten sposób na mężu. Odczuwał tę obcość i wyniosłość nie od dzisiaj. Dzieci, wtajemniczone w jego pochodzenie ubogo mieszczańskie, krytkowały zawsze niezgrabne ukłony tatusia, nieprawidłowe trzymanie noża i widelca, zbyt głośne ucieranie nosa, życzenia zdrowia, kiedy ktoś kichnął. Wszystko podług nauk salonowo nieuświadomionej jego ś. p. matki, Bubuśki. Teraz to nieprzyznawanie się jego dzieci do tej świętej kobiety — czuł, że rozłącza od niego murem całą Wtorkowszczyznę. I własne jego dzieci wydały mu się tej chwili jedynie wnukami starej Wtorkowskiej i dziećmi oschłej Loli Wtorkowskiej, którą zaślubił jedynie z litości.

I błady z bólu na samą myśl katuszy rozczarowań jego matki, gdyby dożyła do spełnienia swojego ideału pieśzczenia Pawełkowych dzieci — ostrym, jak stal głosem zbrutalizował dzieciarnię:

— Wynoście mi się zaraz z mego gabinetu. Mało macie miejsca w waszych pokojach?

— Możecie przenieść się do mego buduaru —

zadecydowała pojednawczo matka — mamusi wasza obecność nie przeszkadza nigdy.

Pawełkowi wypadła z rąk madonna Boticella; rozsypały się po podłodze wszystkie skarby Luwru. Znany mu oddawna ból chwycił go za serce. Przez chwilę oddychał ciężko, jak miechem. Wreszcie powstał z siedzenia i, pomimo święta — poszedł ze swoim pijackim nałogiem do martwej dziś fabryki, aby zanurzyć się po szyję w pracy swojej samotnej celi biurowej.

Zazdrościł wiecznie tym wszystkim pijakom, którym przynajmniej wódka smakowała. Bo dla niego praca biurowa była jedynie przykrym denaturatem, którego zażywał nie dla smaku, lecz dla zabicia robaka.

Wyrobił już sobie opinię pracownika o fenomenalnej wydajności, wyszkolonego do zenitu, niezbędnego dla istnienia fabryki. Lecz zarzucano mu brak biurowego giestu, fantazji, polotu, właściwego jedynie ludziom, zamiłowanym w swoim zawodzie.

Pozatem opinia zawsze tak gienjalna w wyszukiwaniu plam na słońcu bliźniego — skonstatowała w nim nie tylko brak umiejętności ekspedjowania klientów, lecz wogóle brak łatwości obcowania z ludźmi.

Te wszystkie luki w skali jego głosu aż nadto wypełniał na szczęście firmy Jureczek, niezbyt zamiłowany do „piły“ biurowej, lecz niezmordo-

wany w wyszukiwaniu korzystnych obstalunków śród nocnych pohulanek na rachunek fabryki.

Bo to jedynie z poświęcenia dla niej, dla stosunków — birbantki te — według relacji Jurka — odbywały się. I fabryka musiała głównemu panu inżynierowi wypłacać sumy bająnskie z kasy akcjonariuszów, którzy na posiedzeniach — rozżaleni małemi dywidendami — podkreślali oporem wszelkie reformy i rozwój na dalszą metę fabryki.

Wieczną solą w oku uświadomionych była ta anarchja życia pana inżyniera i rozrzutność pani dyrektorowej.

I Pawełek wiecznie mózg sobie suszył, skąd brać pieniędzy na dwutygodniową spłatę robotników, na dziurawe sito gospodarstwa żony i na wieczne „zaliczki, przyliczki, odliczki „głównego inżyniera“.

Miał uczucie, że jest zmęczoną żydowską szkapą, ciągnącą pod batogiem musu t. z. „biedę“, pełną gwarnej zgrai. Z chwilą, kiedy on padnie — wszystko dokoła się zawali. A zarówno Jurek, żona, jak i wszyscy uważali go za fabrykanta banknotów, który z wydaniem ich droży się, bo jest sknerą, dziwakiem i mrukiem. Choć on nie tylko, że pieniędzy faktycznie nie posiadał, lecz bolał, godząc się w głębi na opinię mrówki bez polotu, nad swoją nieumiejętnością wyszukiwania źródeł większych dochodów i kredytów.

Pomimo niedzieli, Pawełek napisał dnia tego w biurze kilkadziesiąt zabijająco idjotycznych firmowych listów, sprawdził stosy rachunków i wśród sekund wytchnienia zmęczonym wzrokiem rozglądał się po swoim wspaniałym gabinecie dyrektorskim, z dębowymi safjanowymi meblami, z zawieszonymi na ścianach fotografjami umedałowanych produktów i zabudowań fabrycznych, z jubileuszowymi grupami, w których na pierwszym miejscu prezyduje pan dyrektor, a dokoła niego hołdują mu tak zwani „wdzięczni“ współpracownicy.

— Nie, nie; to nie to!

Nie marzył nigdy w swojej skromności ani o epoletach dyrektorskich, ani o wielkim dębowym gabinecie, ani o licznych podwładnych i o niskich pokłonach służby.

— Gdyby ojciec dożył do tej wspaniałości swego syna dyrektora, współwłaściciela fabryki — uszczęśliwiony winszowałby mi kariery. Lecz matka odczułaby, że zewnętrzna karjera to jeszcze nie jest szczęście. Ach! życie, życie nasze! — zwierzał się cieniom matki. — Jakież ono zupełnie niepodobne do tego, jakiego byśmy pragnęli! A my sami jacyż zupełnie inni, niż byśmy chcieli!

— Czyż nie przypominamy tych kul bilardowych, pchanych wyższą siłą na zielen sukna i toczących się po niem niezależnie od swojej woli w zygzak z przypadkowym pochłonięciem przez

jedną z ustawionych przepaści? Tak, tak — kiwał smutnie głową, czując ból samotni życia w każdej sekundzie odpoczynku wśród pracy. — To jeszcze nie jest szczęście, to zalewanie robaka gorzkim jadem ze złotego pucharu bez ochłapu uznania ze strony tych wszystkich, dla których dźwiga się tę beczkę Danaïd, zowiącą się życiem!

I w tem stałem poczuciu tristesse de tout cela, w nie opuszczającym go nigdy self — control — począł, nicując własną logikę wywodów, ciskać samego siebie.

— Uznanie, wdzięczność! Od najmłodszych lat dawałem się płoszyć za poruszeniem palca — spragniony wiecznie macierzyńskiej zachęty w każdej swojej pracy z zapoznaniem dewizy Fryderyka Nietschego: „Sei hart!“ W poczuciu tej własnej mocy stawała mi zawsze na przeszkodzie wątpliwość: Czy błędy są po stronie moich przeciwników, czy też po mojej własnej.

O! Ta wieczna obrona przeciwników i ujmowanie się za nieobecnymi oskarżonymi, którem zawsze wszystkich irytował.

O! Te wieczne zwątpienia w bezwzględność wszystkich prawd, któremi tak łatwo przejmują się ci wszyscy autoignoranci, szczęśliwcy o mózgach z jednej sztuki bez zakamarków bogatszego życia wewnętrznego. O! to wieczne analizowanie

własnych wad! Być może, iż udoskonala ono duszę, lecz jakżeż osłabia pięści!

Wiedział doskonale, że był próżny. Ta jego wygórowana ambicja, aby nie można mu było — broń Boże — uczynić w czemkolwiek zarzutu — wpływała na jego poczuwanie się do wszystkich obowiązków, aby być tylko zawsze w porządku.

Wiedział doskonale, że był zdolniejszym do znoszenia uderzeń obuchem, niż do ukłuć małych szpileczek. Wiedział, że zatruwał sobie życie każdym rzuconem słówkiem, nieznajdującem uznania u słuchaczy. Wieczna mimoza!

Pojmował, że wychowany jedynie przez matkę wdowę nabył od wyłącznego obcowania od dziecka w jej kobiecem towarzystwie tych kobiecych właściwości natury, których zamaskować nie potrafił, choć się ich wstydził. I dlatego unikał odławy szkolnej towarzystwa kolegów, aby nie pochwycić ich sarkastycznych uśmiechów, w których odgadywał płoszące go od dziecka przezwisko: panienka, baba.

Zdawał sobie z tego sprawę, że, pomimo swojej koleżeńskiej usłużności, był niepopularnym. Bo wszyscy przepadali jedynie za Jurkiem, któremu ani śniło się pomagać kolegom w zadanych lekcjach, bo ich sam nigdy nie umiał.

I Pawełek, płoszony od najmłodszych lat brutalnością kolegów — przekładał ponad wszystko kobiece towarzystwo matki, wtajemniczony we

wszystkie babskie peplony, tiuniki, staniki z fiszbinami, kolje dżetowe i poduszkowe tiurniury.

I z kobiecą zawiścią zdawał sobie sprawę z tych wszystkich właściwości swoich rówieśników, które imponowały mu w gruncie, jak wszystko to, czego sam nie posiadał. I ukrywał się pod maskaradowem dominem mruka, aby nie zdradzać się z tem, że jest tak zwaną panienką — przeświadczony, że pijaństwo, tytuń, rozpusta i hazardy były faktycznie takimi zaletami, za jakie uważają je zadowoleni z siebie posiadacze tych właściwości, którym na imię miljony. A własną pracowitość, obowiązkowość i skromność uważał w ich sugiestji za coś niższego, upokarzającego, hańbiącego.

Dlatego też zrodził się w nim ów kult dla zrównoważonej męskości Jurka, który z wyrozumiałością dobrego króla tolerował tę „obcą parafję“ przyjaciela — niewolnika, odczuwającego aż do egzaltacji wdzięczność za ową szkolną opiekę, którą wyniosły królewicz roztaczał nad słabszym pokrzywdzonym. I aczkolwiek owa królewskość i męskość Jurka okazała się w praktyce większą słabością — od kobiecego ładu życia I'awotka — jednak pod skrzydłem mrówki mógł Jurczek dalej bujać sobie, jak konik polny. I ta zupełnie niepodobna do niego mrówka żywiła ku konikowi uczucie, prawie podobne do uczucia kochanków, których najbardziej pociąga do siebie i zacięka-

wia ta właśnie inszność, sfinksowość, egzotyzm — z innej parafji, z innej planety.

W biurze nie było już nikogo. I Pawełek wyczerpany tak zwaną wieczorówką, rzucił pióro i, powstając z siedzenia, przylgnął głową do zimnej okratowanej szyby więzienia biurowego — wpatrzony śród swojej handry w strzępiaste kłęby ciemnych chmur, płynących po wyblakłym niebie. Aż zatonął cały w tych liljowych oparach zmierzchu, wtrącającego jego samotną duszę w otchłań zadumy, która nie kołała go, lecz szarpała. Jeszcze nigdy własna praca nie wydawała mu się tak jałową, płaską i bezmyślną.

— Czy warto w roli tak małego kółeczka w tytanicznej maszynie świata obracać się do końca życia? W tem męczącym jarzmie o byt, w nieustannej walce z niesprawiedliwością ludzi małych, biednych i złych, jaki i sam jestem?

Zrodzony w żandarmskiej niewoli — uginał się cały w tem jarzmie; w treningu obłudy, ukrywanych intryg, propagowanych niby pro bono publico, a właściwie jedynie dla osobistej wygody.

Ach! Ta niewola całego życia od kołyski bez szans zwycięstw ideowych, bez nadziei poprawy losu innych biednych krzywdzonych! Bez nadziei ulżenia ojczyźnie, ludzkości, bez widoków swobody niewolników — jedynie dla kęsa gorzkiego chleba! Z dnia na dzień!

I po swojemu zaczął oskarżać samego siebie:

— Tak, tak. Pesymizm ludzi chybionych! Na to niema już rady. Mieć wszystkie skarby najsubtelniejszych odczuć, myśli, wrażeń, obserwacji, protestów i obrony, posiadać cudowne zioła na wszystkie bóle ludzkie — zamknięte w swojej duszy! I głodzić się z tem bogactwem, jak wieczny tułacz z perłami na pustyni! I przechodzić męki z powodu okrutności natury, która w swojej złośliwości nie dała ci klucza do tego skarbca, zamkniętego w duszy — na cztery spusty! Choć klucz ten, zowiący się siłą lub talentem miewają często posiadacze skarbonek, pełnych jedynie wytartych miedziaków lub błyszczących fałszywych paciorków.

Tak, tak. Nikt nigdy z wyjątkiem jego matki nie był ciekawy zajrzeć do zamkniętego — niestety — skarbca jego duszy. Nikt nigdy. Bo on przecież był kupcem i przemysłowcem jedynie na zewnątrz i z musu. Lecz właściwie był owym klawikordem o niemej klawiaturze lub harfą o zerwanych strunach, jaką jest każda dusza poety, pozbawionego zdolności rymowania. Chaos kłębiących się wewnętrznych myśli, uczuć i pragnień bez ujścia.

I w swoim stałym wstępie do zapewniania biurowej beczki Danaid — ubolewał nad brakiem choćby dziesięcio minutowej swobody, jaką rozkoszują się więźniowie, oprowadzani dokoła podwórza.

Bo jedyną ową gimnazjalną pauzą, do której Pawełek wzdychał wśród całotygodniowej orki biurowej były niedziele „na dole“ u Jurków.

Lecz „władza pedagogiczna“ w postaci żony skreśliła te jego rekreacje:

— Możesz przesiadywać sobie cały tydzień w biurze — godziła się wyrozumiale pani Lola. — Lecz każdy przyzwoity człowiek poświęca przynajmniej święto żonie i dzieciom.

E basta. Lapidarność logiki kobiecej jest nie do zwalczenia. Należało więc wykreślić z rzeczywistości owe dawne marzenia wspólnego pożycia obu sąsiednich rodzin, bo żony na projekty kawalerskie kładą z zasady swoje wieczne veto.

Pomimo, iż wspólny w projektach ogród, warzywa i owoce, góry, piwnice, służba, konie były już najkategoryczniej teraz przepełowione — stosunek obu pań wspólniczek sąsiadek wisiał stale na ostrzu noża. A pogodna wiecznie rozbawiona pani Lilka nazywała każdą swoją wizytę u pani Pawełkowej tańcem wśród mieczów z węzami. Lecz choćby na głowie stawiała — było wykluczonem pozyskanie choćby atomu sympatji pani Pawełkowej.

Pani Lilka godziła się sama na orzeczenie, że jest — podług określenia pani Pawełkowej — urodzoną kokietką, mizdrzącą się od natury nie tylko do mężczyzn, lecz do kobiet, dzieci, do każdego psiaka i kociaka z ulicy. Prawda Taką już

miała naturę. Ale przekonała się w końcu, że z jedynej tylko *bonne fortune'y*: z łask pani Pawłkowej — musi skwitować. Bo na to niema rady.

Na nic się nie zdało ani zrzeczenie się mieszkania, przeznaczonego pierwotnie dla Jurków. Nie pomogło oddawanie do wyboru zakupywanych przez wspólników — fabrycznych materiałów na meble lub na suknie dla żon. Pani Lola decydowała się na jeden kolor, a nazajutrz żądała zmiany. A zdarzało się, iż spostrzegłszy, jak pięknie wygląda w owej pogardzonej przez nią sukni pani Lilka — zamieniała ją powtórnie na własną, jeszcze nie użytą.

— Caramba! — zaklęła zapożyczoną od ojca hiszpańską klątwą, śmiejąc się z królewską wyrozumiałością piękna pani Lilka — nie sędzę, abym wyglądała brzydziej w sukni lilas de perse, niż w kolorze rose bouton.

Z tą samą pobłażliwością odstępowała jej swoją długoletnią służbę, wzbudzającą zachwyt u pani Loli, która ustawicznie z własną służbą koty darła. Lecz i co do tych feniksów wnet się pani dyrektorowa rozczarowywała. I wydalana służba znów do pani Lilki powracała.

— Cóż dziwnego? — usprawiedliwiała te częste zmiany przed swymi niedzielnymi gośćmi pani Lola — u mnie trzeba pracować, jak w każdym domu serjo, w którym jest gospodarstwo, dzieci, porządki, pranie, cerowanie. A tam myśli się je-

dynie albo o zabawie w domu, albo o zabawie poza domem — plotkowała, nie posądzając męża o zdradę małżeńską, lecz przeświadczona, że wyrządza mu tem przykrość wobec niezmiennych jego uczuć dla Jurków.

Choć tkwiła w niej jedynie szczegółna animozja ku kuzynce. A o winach Jurka odzywała się zawsze półgębkiem, jakby w kulcie tradycji owego jedyne go pocałunku, jaki skradł jej z ust ongi na balu.

Pani Lola nie marzyła wprowadzić o możliwości nowych pocałunków, lecz, pomimo całego żalu, jaki czuła do swego exnarzeczonego — nie mogła, lub nie chciała zapomnieć najszcześniejszej chwili swego życia. Opłacała za to wszystko nienawiścią ku jego żonie, której wdzięk i uprzejmość uważała za obłudę i za kokieterję „urodzonej hetery“.

I Pawełek identyfikował swoje świąteczne rekreacje w salonie żony z owymi prawosławnymi niedzielnymi wycieczkami, które tak skwapliwie rosyjskie belfry urządzali w gimnazjach z uczniami, gwałconymi batem „piereegzaminówek“ do tych programowych rozkoszy ze sztucznym humorem i z żarcikami z innej planety wśród symulowanej zabawy.

Zato pani Lola nazywała mężowskie wagary wizyt u Jurków — „przebywaniem u tej kokoty“, której ona w swoim domu tolerować nie może, choćby ze względu na przyszłość młodziutkiej

córki. I Pawełek tulał się w niedzielę wśród ulubionej przez żonę ciemni lamp, okrytych gęstymi abażurami; tonęły w nich cienie znudzonych obcych ludzi, którym narówni z gospodarzem domu otwierały się spazmatycznym ruchem usta, zakrywane rękami wskutek pękających od ziewania szczęk.

Poza starą Wtorkowską z wieczną miną dymisjonowanej królowej — należeli do zwykłych gości pani Pawełkowej państwo doktorstwo, buchalterstwo i jeszcze kilku innych urzędników fabrycznych z żonami. Damy te z poświęcenia dla mężowskich karier chodziły na palcach, aby nie narazić się pani domu. O inżynierowej „z dołu“ nie wolno było wyrażać się w salonach inaczej, jak z najwyższym sarkazmem. Obie damy: pani doktorowa i pani buchalterowa zalewały swoją brzydota ohydą hebanową (a jakże!) aksamitną kanapę. Może właśnie dzięki tej brzydocie zawdzięczały swoje stanowisko w salonach dziedziczki, których jedyną osłodą była suta kolacja, zwana przez Jurka „chwilą karmienia zwierząt“.

Pozatem panoszyła się tu stale atmosfera ołowiana. Bo ani Pawełek, ani goście nie grali w karty. Gospodarz wskutek swej delikatności nie śmiał wśród święta narzucać swoim podwładnym kwestji fabrycznych, z którymi poza tem nie go nie łączyło.

A i paniom tematu do plotek co tydzień nie

starczyło. Od biedy wałkowano coś nie coś o literaturze i o sztuce. Rzecz prosta, że były to jedynie zachwyty, przejęte z urzędowych podręczników i z reporterskich wzmianek, tak sztuczne i szablonowe, że aż cuchnęły.

Na niektórych poetów i malarzy uważano za właściwe oburzać się ogniem, również sugiestjnowanym ze wstępnych artykułów.

— Dokąd dążymy? Zanik moralności, losy przyszłych pokoleń i t. d. — wałkowali, jak dziewięć dziesiątych ludzi na obu półkulach o tej samej godzinie w podobnych salonach też same papuzie frazesy, przekonani, że to są ich własne opinie i osobiste wrażenia.

A Pawełkowi aż uszy puchły od fałszu tej paplaniny bez żdźbła własnego odczucia i własnej obserwacji.

Pojmował doskonale, że wyłącznym motywem i celem urządzania tej każdotygodniowej ogólnej męki była nie jedynie chęć kokietowania swemi jour-fix'ami. Bo pani Lola nie posiadała żadnych towarzyskich ambicji; i wystarczało jej w życiu w zupełności to jej codzienne piekielko intymnego domowego rozgardjaszu. Chodziło jej o coś innego: Te jej niedziele zniewalały Pawełka do spędzenia święta w domu; bo świecić nieobacznością wśród zaproszonych gości przecież nie wypadało.

I pani Lola mogła już być pewną, że mąż nie

wykradnie się do Jurków. Nie była o niego zazdrosną. Lecz najobojętniejsza żona nie dozwalała przecież mężowi bywać u ludzi, których ona sama nienawidzi.

Najbardziej jednak wyrafinowanym sadyzmem z jej strony było obmawianie Jurków półgłosem w ten sposób, aby Pawełek mógł wszystko słyszeć; a nie wypadało mu wybuchać wobec tego, że przecież niby nie zwracała się z temi opowiadaniem do niego. Zresztą Pawełek wogóle wybuchać nie potrafił. Jenó martwił się.

I do uszu Pawełka, raz bladego aż do zieloności, to znów karmazynowego aż do fioleto — wpadały stałe kalumnje i przycinki na konto jego przyjaciół:

— Znana rzecz, że mężowie nudzą się zwykle w uczciwych domach. Bo ich bawią jedynie wesole salony, będące w gruncie rozpustnemi domami schadzek, domy, w których sama gospodyni doskonale wie, że wszystkie jej piękne przyjaciółki były, są lub będą kochankami jej męża. A mężowie tych przyjaciółek są jej kochankami. Bo to wszystko jest wieczne szufladkowanie des partis carrés, jak w szóstej figurze kontredansa.

— Nie słyszały panie, o tem?

— Coś nie coś — dyplomatyzowała pani buchalterowa.

— Wróble na dachach o tem wiedzą — stwierdziła odważniej pani doktorowa.

— Po każdej premierze — syczała pani Lola — ci państwo chodzą razem do gabinetów restauracyjnych, w których pani inżynierowa śpiewa piosenki, tak tłuste, że wstydziłaby się nimi popisywać szanująca się szansonistka. Po śpiewach wszystkie zebrane w gabinecie damy tańczą kankana i zapijają szampańskie aż do świtu. Jak rodziców kocham.

— To przecież bardzo moralne są takie małżeństwa — cynizował pan doktor — w których małżonkowie bawią się razem.

— Niech pan doktor nie sądzi, że to ciepłko rodzinne w gabinecie restauracyjnym wyklucza różne inne eskapady, których pani małżonka, a innych znów pan małżonek — ani się domyślają. Bo ludzie, bawiący się lubią zmiany.

— Naturalnie. Poza jawnym cynizmem jeszcze bardziej są nęcące tajemnicze wykłamywania i zdrady — zawyrokowała pani doktorowa.

— Poza kobietami z quasi towarzystwa — tryumfowała w zgodnym akompaniamencie swoich satelitów pani Lola — panów mężów czaruje, jeszcze i demi monde i kulisy teatrów: aktorki i śpiewaczki.

— A żonom podobają się nieraz aktorzy, śpiewacy i cyrkowcy. Gdybyż — utyskiwała niby nieco ciszej — przynajmniej mąż mój nie musiał harować w fabryce od rana do nocy na te marnotrawstwa! A ja — patrzcie w jakiej chodzę

sukni! I muszę cerować pończochy dzieciom i la-
mać sobie głowę nad sprawieniem każdego no-
wego ubrania.

Podeszła do Pawełka, który przez cały wieczór
ust nie otworzył do zanudzających go najwidocz-
niej towarzyszków, ziewających w drugim końcu
salonu.

— Mógłbyś podzielić ze mną trud bawienia
gości, a nie pozostawiać cały ciężar na moich
barkach — uświadomiła go hamowanym głosem
i wnet wróciwszy do swoich dam, zwierzała się: —
Nie ma nic bardziej męczącego ponad wieczne
okowy z mrukiem. Powinny pamiętać o tem przed
zamążpójściem wszystkie panny na wydaniu.

Pani doktorowa solidaryzując uśmiechnęła
się, a pani buchalterowa, zmieniając politycznie
rozmowę podchlebiała pani pryncypałowej, jak-
najtrafniej odgadując jej myśli:

— Więc pani dyrektorowa faktycznie sądzi,
że można patrzeć na zdrady małżeńskie przez
palce?

— Czyżby on domyślał się tego wet za wet
żony? — interesowała się pani doktorowa.

— Ich moral insanity nie ulega żadnej wątpli-
wości. A w dodatku są jeszcze ludzie, uważani za
przyzwoitych — konkludowała pani Lola, pa-
stwiąc się na mężu, którego twarz mieniła się
już wszystkimi falami tęczy — którzy twierdzą,
że to stadło żyje w wiecznej harmonji i kocha się

wzajemnie, jak para turkawek. Jednem słowem modelowe małżeństwo podług opinii tych przyzwoitych ludzi, których na szczęście posądzam jedynie o ślepotę.

— Moralniejszem by już było — zdecydowała pani doktorowa — skakanie sobie do oczu.

Pani Lola poczęła zwierzać się przyjaciółkom z nowego pomysłu, który wpadł jej do głowy z tym większym uporem, iż wiedziała, że bezsilny Pawełek będzie w głębi niemym, lecz ogromnym przeciwnikiem tego planu.

Bo stara Wtorkowska niedawno nagle umarła. Wobec siedemdziesiątki lat, jaką przeżyła — śmierć jej nikogo nie zadziwiła, ani nawet jej samej, choć upierała się do ostatnich swoich dni, aby udawać, że jeszcze żyje całą pełnią życia, jak inni.

Do ostatnich dni ściśnięta gorsetem przez całe godziny poprawiała przed lustrem drżącemi starczemi rękami swoją peruczkę, zaczesaną podług ostatniej mody i wyszczerzała do gości, pomimo męki reumatyzmów i sklerozy swoje perłowe wprawione zęby, zmuszając swoje spuchnięte nogi do młodzieńczego krygowania się i bieganiny po five'ach, na których popisywała się swoją dystynkeją, wyblakłemi dowcipami i owemi szablonami większości ludzi na całym globie.

Tak stare arabskie cyrkowe konie o pięknych

czaprakach z dzwoneczkami biegną niezmordowanie dokoła areny cyrkowej aż do końca życia.

Otóż pani Lola, odziedziczywszy po matce jakąś sumkę hipoteczną (resztki fortuny starego, których zrzekł się ongi Pawełek na dożywocie starej tak, jak obecnie zrzekał się zarządu tej sumy na rzecz żony) przeznaczyła na kupno kilku włók ziemi, przylegającej do terenów fabryki. Jakieś piaski i kawałek sosnowego lasu.

— Mam już po szyję współki z tą hołotą, od której chciałabym już raz się odczepić — zamierzała na skrawku tej ziemi założyć park i wystawić dwór szlachecki z kolumnami, jak się patrzy. Nęciła ją rola dziedziczki, a nie jakiejś tam pani dyrektorowej fabryki akcyjnego towarzystwa.

Zakupioną ziemię nazwała rejentalnie Lolówką. A na zarzut, że taką Saharę trudno będzie użyżnić — odpierała sentencjonalnie:

— Wolę suszę Sahary, niż błoto, do którego zaduchu człowiek z czasem tak przywyka, że ani spostrzeże, jak w niem z lubością zatonie.

III.

Pawełek wykradał się do Jurków, jak ryba do stawu. Wszystko jedno, czy woda jest zatruta, czy cuchnąca. Jeśli się ma pragnienie — nie analizuje się jej woni i nie czuje jej smaku. Łaknie

się jej, jak powietrza, bez którego oddychać nie można, choćby było zadżumione.

Ujmowało Pawełka w domu Jurków wszystko: I urządzenie mieszkania, nieprzeładowanego grami, które jego żona otrzymała w tak obfitej ilości w spadku po starych Wtorkowskich. Bo Jurkowie jeszcze do tego czasu nie zdobyli się na zakup mebli serjo i nazywali stale swoje mieszkanie garsonierą.

Posiadało ono urok *sui generis* — zupełnie niepodobne do zatechłego wielkiego apartamentu 1-go piętra, w którym królowała tak wszechwładnie brzydka bez wdzięku pani Lola z Wtorkowskich. Królestwo w wiecznych ciemniach kunsztownych tapicerskich lambrekinów u okien, w festonach portjer u drzwi i udekorowanych źle grzejących pieców. I ta ohydna berlińska „galanterja“ pluszowych albumów do fotografii, aluminjowych figur u lamp, alabastrowych pater do biletów wizytowych i celuloidowych wazonów. Brr...

A w mieszkaniu Jurków było przestronnie i jasno. Słońce, drzewa, kwiaty, niebo — cały ogród przedostawał się tu przez szerokie okna barwnymi falami.

Zamiast biurka w gabinecie stał stół, zakryty czerwonym suknem. Na nieoszlonych i niezamkniętych półkach leżały niezbyt symetrycznie ułożone książki. Na ścianach wisiało kilka doskona-

łych nieoprawnych szkiców — które Jurek otrzymał w darze od zaprzyjaźnionych z nim w Paryżu i w Londynie zdolnych malarzy; urządzenia gabinetu dokańczył odlew cudnej bezgłowej Nike z krużganku Luwru i statuetka Voltaire'a podług Houdona.

W pokoju pani Lilki stały bardzo wygodne fotele koszykowe i kozetka z mnóstwem barwnych jedwabnych poduszek. I wieczne pęki świeżych kwiatów w majolikowych wazonach; przytym pianino i kilka first class antycznych bibelotów z brązu, agatu i kryształu.

Nowe białe łóżko z mosiężnymi antabami i ukoronkowana prowizoryczna toaleta z mnóstwem żelazek do włosów, i pilników do manikury, szczoteczek i flakonów — wszystko, jak przystało na córkę cygana z zupełnie innej parafji, niż dom „jak się patrzy“ ex panny Wtorkowskiej.

I Pawełek, pomimo swego stałego przeświadczenia, że, jako piąte koło, stoi samotny wiecznie obok życia wszystkich innych ludzi — ulegał czarowi atmosfery tego grona hedonistów z zupełnie innej, niż on planety, którzy żyją jedynie w kulcie szczęścia danej chwili. I rozkoszował się tem promieniejącem dokoła nich słońcem, humorem, wyrozumiałością i pogodą ludzi, nie wiedzących, co jest cierpienie.

U samych już drzwi spotkał go dziś śmiech i wrzawa gonitwy małżonków.

— Panie Pawełku — żaliła się przed nim zziębnięta od rozbawienia pani Lilka, prześliczna w koronkach swego różowego penjuaru, z zarumienioną twarzą, niebieskimi oczami, z potarganemi złotemi włosami i wilgotną buzią — proszę powiedzieć swemu przyjacielowi, czy to właściwe, aby człowiek z towarzystwa bił swoją rodzoną żonę. Nawet za nic w świecie nie mogę powiedzieć w jakie miejsce. Idjota! Słowo daję: Nawet z bólu usiąść nie mogę.

Zebrani goście parsknęli śmiechem z powodu dyskrecji jej zażaleń.

— Zapytaj swojej przyjaciółki — żarcikował, zwracając się do Pawełka Jurek — czy to w Sewilli, czy w Madrycie uczyli ją, aby śpiącego męża laskotała starem piórem od kapelusza. I niewiem, czy właściwem jest nazywanie swego męża i pana idjotą.

— Także mi! Pan! Od siedmiu boleści, no i od tej jednej jeszcze, ostatniej. Przepraszam: nie idjota, tylko osioł dardanelski.

— Poczekaj! — zaczęły się nowe gonitwy. — Nie, wiesz Lilka — usprawiedliwiał się Jurek po uśmierzonych harcach. — Faktycznie nie było sensu budzić mnie wśród poobiedniej drzemki. Przecież wiedziałas, że powróciłem wczoraj do domu nad ranem.

— Słyszeliście? Doskonałe sobie! Czy porządni

ludzie powinni przyznawać się do tego, że wracają do domu nad ranem? Czy pan Pawełek...

— A o której godzinie wróciła wczoraj do domu czcicielka Velazqueza z krainy Pyrenejów?

— W każdym razie zastałeś mnie już w domu.

— Jeszcze tego tylko brakowało, aby kapłanka domowego ogniska powracała później od samego...

— Kapłona? — roześmieli się z jej dowcipu wszyscy dokoła. — A pan kapłan mógłby trochę ciszej rozbierać się, aby nie budzić kapłanki.

— Udawałaś tylko, że śpisz. Wiem od służby, żeś wróciła przed kwadransem.

— Bardzo ładnie badać służbę i szpiegować. Choć wiedziałeś dobrze, gdzie byłam; podczas kiedy ja nigdy nie wiem, gdzie ty właściwie waleśasz się całymi wieczorami.

— Tyś była naturalnie u swojej przyjaciółki pani Marylki. Dom nie zbyt klasztorny. Zamiast hałbitów króluje tam mundury. Trzeba ci wiedzieć — zwrócił się do Pawełka — że wszelkie zasady moralne, wpojone mojej żonie ustają na widok mundurów ze złotymi galonami i czerwonymi lampasami, począwszy od milicjanta, skończywszy na woźnych, posłańcach i liberji dorożkarskiej.

Przez wrażliwą, jak mimoza, twarz Pawełka przebiegł mars niezadowolenia. Czarowała go wprawdzie dezynwoltura przyjaciela domu i ten tak obcy mu zupełnie hedonizm ludzi żywioło-

wych, lecz nie lubił przekraczać miary, graniczącej już z cynizmem.

Przypomniały mu się wszystkie kalumnje, rzucone na pożycie Jurków. Chciał koniecznie łudzić się co do prawdziwości wielu oszczerstw, z których niektóre wyprzedzały wypadki, a inne stawały się własnością opinii dopiero wtedy, kiedy przestały już istnieć.

Dowcip o stałym parti carré w domu Jurków był stanowczo przedawniony. Bo romans Jurka ze swywolną panią Marylką należał już do przeszłości. Pawełek dobrze wiedział, że jej następczynią była teraz pewna drugorzędna operetkowa śpiewaczka. Co zaś się tyczy męża Marylki, który miał podobno cieszyć się kiedyś względami pani Jurkowej — to wobec dość dawnej już separacji tych dwojga małżonków — nie mogło być mowy. aby te dwa stadła spędzały wieczory we czworo pospołu w gabinetach restauracyjnych.

Lecz dość głośnym natomiast faktem, był sezonowy romans u wód pani Lilki z jakimś węgierskim oficerem. I dlatego też uraziła zmysł moralny Pawełka ta aluzja wyrozumiałego co do mundurów męża, nawet w razie, gdyby żarty te miały maskować męzowskie nieuświadomienie.

Pawełka żart ten raził tem bardziej, iż cała Wtorkowszczyzna podkreślała ustawicznie wzajemną małżeńską tolerancję tej pary swoich wrogów.

Pawełek w końcu nic już nie wiedział: czy nie-

smak dowcipów Jurka wypływa z jego cynizmu, czy z nieprawdopodobnej u niego ślepej naiwności? Czy jest to prowokowana przez niego *bonne mine à mauvais jeu*, czy też podwójna gra przesadnie naiwnego udawania, że on wie, aby ludzie mogli sądzić, że on wistocie nie wierzy w to, co mówi. Choć przemądrzali ludzie nie dają się już obecnie oszukiwać ani takim prowokowaniem opinii, ani żadną inną komedjową symulacją. I odczuwający z wielką pobłażliwością tajemne zakamarki duszy ludzkiej Pawełek — nie wątpił na chwilę o jednym fakcie: oto małżonkowie być może półświadomie tolerowali wzajemne winy, ponieważ ta oportunistyczna ugodowość ułatwiała im egoistyczny kult hedonizmu życia. Lecz niezależnie od tej niewypowiedzianej musowej ugody bytu pogodnych optymistów — kochali się wzajemnie — pysznie dobrani do siebie humorem, wdziękiem i motylową lekkomyślnością oportunistów, nie buntujących się przeciwko zastrzeżeniom i serwitutom, na jakie rady niema.

Jurkowie, dostrzegłszy mars niezadowolenia na bladej twarzy Pawełka, poczęli z innej beczki: rozprawiano o wczorajszej premierze w Rozmaitościach; młody autor miał tu niebawem się zjawić.

Jurkowie byli ogromnymi teatromanami. Pawełek nie bywał już, niestety, w teatrach i na koncertach, jak dawniej.

Pani Lola uważała częsty teatr za budżetowy

zbytek; w gruncie nie lubiła teatru i obrzydzała mężowi każde przedstawienie ostrą, niewyrozumiałą krytyką i kwaśnym humorem. Lecz stawiała stanowcze veto, aby żonaty człowiek bawił się bez żony; a tembardziej, aby uczęszczał do teatrów z Jurkami.

— Domyślasz się, że nie przemawia przezemnie zazdrość — podkreślała ustawicznie fakt, że tego zaszczytu od niej nie doczeka się — lecz chodzi o przyszłą opinię moich dzieci i o przedstawiciela poważnej firmy, której wspólnik nadużywa dobrego imienia. Jeżeli zależy ci na tem, aby spędzić z tą panią wieczór, to uważam, że sam na sam z nią w restauracyjnym gabinecie jest daleko właściwszem, niż jawne afiszowanie się stałą asystą po teatrach.

Lecz dziś pani Lilka była jeszcze rozkoszniejszą, niż zwykle. Poczęła raczyć Pawelka kilkoma nieznanymi mu jeszcze pieśniami Brahmsa i Griega, po których nastąpiły prześliczne w interpretacji jej ciepłego głosu bergerety Couperin'a i Rameau.

Bardzo muzykalnie akompanjował jej do śpiewu przybyły przed chwilą jakiś przystojny młody fortepjanista, naturalnie najwidoczniej podkochujący się w pani domu.

Fertyczna i estetyczna pokojówka Krysia, w białym fartuszkach i w koronkowym czepeczku (Jurkowie nie trzymali lokaja) wniosła na tacy

herbatę, która, pomimo zarzutów pani Loli, że każda filiżanka u Jurków jest z innego serwisu — przedziwnie Pawełkowi smakowała.

I, choć pani Lilka uchodziła za najgorszą gospodynię — ciastka, wynalezione przez nią w jakiejś nieznanej cukierni — okazały się wyśmienite, a owoce, na które pieniędzy nikt w domu nie żałował — były w stokroć lepszym gatunku, niż gdzieindziej.

I to słońce, niebo, zielen i kwiaty, wpływające całemi falami z ogrodu...

I ta pogoda wewnętrzna i uśmiech nie terroryzowanej przez gospodynię Krysi, przyjmującej jakby niemy udział w każdej rozmowie z zażyłością, tak charakterystyczną w domach, w których garderobiane z jej panią łączą nici wdzięczności za dyskrecję, opłacaną nietylko hojnością lecz i pewnem spoufaleniem. I ten miły humor Jurka...

Pawełek promieniał cały, zapominając na chwilę, że te, wykradzione z biura, sekundy rozkoszy będzie musiał okupić prawie całonocnem harowaniem za siebie, za Jurka i za innych urzędników, mających ważniejsze sprawy, niż pańszczyznę biurową.

Lecz niezależnie od wdzięku pani Lilki i jej specjalnej gościnności dla przyjaciela męża — Pawełek byłby może uległ buntowi żony, uświadamiającej go tak dokładnie co do amoralności życia hiszpanki — gdyby nie zaobserwowany przez

niego życiowy fakt: Oto cała przyjaźń Jurka ku niemu zależała wyłącznie od jego żony. Bo każdy mężczyzna z całą pasywością swoich uczuć (z wyjątkiem zmysłowych) i z całym oschłym indyferentyzmem rodzinnym, przyjaznym i towarzyskim — składa w ofierze na skinienie palca nawet najobojętniejszej mu w gruncie żony — nie tylko przyjaciół i krewnych, lecz własnych rodziców, zwyciężanych stale przez synowe.

Pawełek zaobserwował najdokładniej, o ile te synowe stoją wyżej od mężów tem, że nie poświęcają dla nich nigdy dawnych znajomych i krewnych, przed którymi pan małżonek musi uchylić głowy. Nawet nie bardzo przytem się upiera ten władca w swojej inercji i w pogardzie dla wszelkiej tak zwanej przez niego czułości.

Bo pić, grać w karty i mówić o polityce można przecież byle z kim. Więc wszystko jedno, czy to są wczorajsi krewni i znajomi, czy też dzisiejsi, przez żonę podsunęci. Ustępuje też dla miłego spokoju bez zastrzeżeń siostry i rodzonych braci, a poniekąd i rodziców. I Pawełek, aby nie stracić przyjaciela — starał się być jaknajmilszym... dla jego żony. A dziś nęciła dziecięco niezblazowanego Pawełka nowa tentacja: oczekiwane przybycie Bolskiego, autora wczorajszej premiery p. t. Ranione dusze.

Sukces, jak zwykle u nas z powodu nie zdecy-

dowanej kompetencji krytyki i ogółu — połowiczny, kierowany głównie prywatą i partyjnością dziennikarską.

Nieznająca się na niczem premierowa publiczność wpatrywała się z zaciekawieniem w zagadkowe twarze obojętnych krytyków z fotelów pierwszego rzędu, którzy dawno przed premierą wiedzieli już, co o niej napiszą zależnie od tego, do jakiej partji politycznej należał krytyk i autor.

Dzisiejsze poranne wzmianki, jak zgrzyty pierwszych błyskawic zwiastowały burze i pioruny: Autor nie należał do żadnej partji politycznej; służył jedynie sztuce. Wbrew stałym zarzutom schlebienia gustom publiczności w obieraniu sympatycznych tematów i bohaterów — (Nieśmiertelni nie tylko w historii, lecz niestety i w kiepskich sztukach Anczyców i Styków: Kościuszko i Józef Poniatowski) — krytycy poczęli już w porannych zmiankach zarzucać Bolskiemu „niezgodny (?) z tradycjami narodowemi kosmopolityczny (?) pesymizm“. A Pawełek wiedział, że wymysł „ty pesymisto“ oznacza u nas taką zniewagę, jak dawniej „ty jeomentro“. Bo w sztuczce powinna tkwić pogódka. Poczul też Pawełek do autora „Zranionych dusz“ sympatię, jak do kolegi ze swojej parafji.

Do saloniku weszła pani Marylka z malarzem Pawlakiem, rezolutnym cyganem o długich włosach, w aksamitnej marynarce, z nieodłączną fa-

jeczka, którego nie zbyt udany portret pani Lilki wisiał nad pjaninem w saloniku.

Pawlak należał ongi do bardzo natarczywie starających się o względy pani Lilki. Dziś po spełnionych już zdaje się marzeniach był bardzo wyrozumiałym przyjacielem jej i męża. Nie z jednego pieca chleb już jadał. Gotowość malowania portretu kobiecego oznaczała u niego zawsze tyle, co rzucanie chusteczki padyszacha. Sugiestjonowane kobiety ulegały temu jego szałowi na oślep — niepomne, że z każdorazowem ukończeniem portretu — spełnione marzenia zgrzytały rozczarowaniem. Ot zwykły zawód artysty i co do modela i co do kobiety. Bo modela czynił odpowiedzialnym za dzieło — które nie dorównało temu, jakie stworzyć by pragnął; a kobietę, że nie dawała szczęścia, o jakim marzył.

Nieczynił za to odpowiedzialnym nigdy ani samego siebie, ani kobiet wogóle, bo musiał by — w takim razie przestać malować, kochać, czyli zginąć. Wolał więc winić jedynie ten jeden tylko portret i tę jedną kobietę. I wciąż dalej wyładowywał puszkę Pandory i pracował, szukał, mylił się, żył...

Nadeszły Bolski wydał się Pawłkowi jeszcze sympatyczniejszym od Pawlaka ze swoją prawie dziecięcą, nieco papinkową postacią i ze smutnemi oczami, któremi, jak pijak w butelkę, wpa-

trywał się w panią Lilkę — spragniony miłością zapić robaka.

Poza złośliwymi wzmiankami Bolski zdążył już przeczytać kilka obszerniejszych druzgoczących krytyk swoich „Zranionych dusz“. Dlatego to w jego pełnych bezsilnej rozpaczycy oczach błyskała owa ostatnia deska zbawienia każdego zawiedzionego artysty: Kobieta. Dlatego z taką dziecięcą niedyskrecją własnej zranionej duszy — skomlił spojrzeniem o płomień tej ostatniej gwiazdy, która by mu ciemnię życia rozświetliła.

Ta niema krzycząca modlitwa zranionego pisklęcia nie dziwiła tu zresztą nikogo. Była to jawna tajemnica dla całego otoczenia; z wyjątkiem — rzecz prosta — dla Jurka, który swoją mężowską ślepotą aż raził najbardziej wyrozumiałych. O! Ta mężowska ślepota! Kwestjonuje ona sceptycznie zagadkową ugodowość wszystkich rogaczy, którzy być może aż nadto „zgrywają się“ po aktor-sku w swojej vulgo nieświadomości.

Aby nie tknąć nieostrożnie zranionej duszy Bolskiego — poczęto mówić de omnibus rebus quibusdam alliis, unikając jaknajskrzętniej dziedziny malarstwa, literatury i sztuki.

Czasami tylko z najwyższą pogardą odzywano się o kompetencji reporterów i o kłamliwych szablonych artystycznej krytyki w niewoli politycznych redaktorów, analfabetycznych wydawców i prywaty.

Lecz wogóle prawdziwi artyści szanują zbytnio sztukę, aby uważać ją za temat burżujskich rozmówek z Ollendorfa. Stanowi ona wewnętrzną treść ich życia. I Pawełek rozkoszował się tą atmosferą, w której ta „najjaśniejsza“ sztuka, jako bożyszcze, ukrywane w świątyniach dusz, szybowała tu w swojej niemocie, lśniąc temi meteorowymi błyskami, jakimi świecą jedynie zbolale umysły szczerych artystów.

I Pawełek delektował się tym turniejem śmiałych odczuć i indywidualnych spostrzeżeń, wietrzących dożywotnią stęchliznę jego więziennego biura i filistersko zadżumionej celi domowej. Miał uczucie, jakgdyby wyprowadzono go na chwilowy spacer dokoła podwórza, w którym płuca jego zaczerpną powietrza i słońca, niezbędnego do znoszenia dalszej niewoli w ciemni podziemnego lochu.

I ani spostrzegł, jak sam począł jaśnieć błyskami, jakie roztaczają nieraz dokoła siebie zamknięci w sobie samotnicy z nagromadzonymi w duszach nieprzetopionymi na drobną monetę skarbami uczuć i wrażeń.

A kiedy młodzi przekonali się, że ten fabryczny burzuj jest bardzo interesującą figurą — zamknięte skarbcze dusz otwarły się.

— To pan hołdujesz ideałom starych holerów? — dziwił się Pawlak, którego realistycz-

nemu talentowi odpowiadał także najbardziej Rembrandt, Franc Hals i Jan van Delft.

I rozgoryczony brakiem oddźwięku własnego społeczeństwa, nie uznającego sztuki dla sztuki — począł gromić, poprawiając swoim zwykłym ruchem długą czuprynę w aureoli niebieskich kłębów swojej nieodłącznej fajeczki:

— Powszechnie znanym jest fakt, iż u nas uznaje się wyłącznie politykę w poezji i poezję w polityce. Mam dość jeszcze czasu do malowania „na pamkę“ teatralnych scen Kościuszki pod Racławicami i Józefa Poniatowskiego, tonącego na swym koniu w modrych falach Elstery. Bo ja mam jeszcze talent. A śpiewacy dopiero po utracie głosu poczynają zdartemi resztkami gwoli łatwych oklasków śpiewać popularne wiecznie pieśni narodowe, których dla samej idei wysykać nie można, choćby Bóg wie, jak je fałszowano. Bo ten quasi szczytny patryjotyzm artysty — to aseku-racja, murowany pewniak kariery. Lecz niech odważy się taki dobry patryjota zaśpiewać swoim zdartym głosem i techniką od siedmiu boleści — Bethovenowskiego Fidelia, Mozartowskiego Don-żuana lub Wagnerowskiego Zygfryda. Zgniłemi jabłkami obrzuciłaby go cała Europa. Dla mnie najlepszym Polakiem, jest ten, kto najlepiej swój zawód zna, najgłębiej swój zawód ceni i najlepszymi polskimi owocami się sławi. Chciałbym, aby polskie zegarki były najlepsze w Europie i aby

polskie rynsztoki przez najlepszych na świecie polskich stróży były zamiatane.

Pawełek z właściwą sobie wyrozumiałością dla przeciwników począł — wbrew solidaryzowaniu się z malarzem — ukazywać odwrotne strony własnych przekonań:

— To nie tylko u nas, lecz na całej kuli ziemskiej powracają stare dawne fale, choć chełpliwi nowatorowie przyklepiają do nich nowe marki. Cała Europa rozbrzmiewa dziś nowemi a raczej odgrzewanemi prądami neonacjonalizmu, neoromantyzmu na modnych neo szczudłach patosu i sztucznej wzniosłości, nie mającej nic wspólnego z ideałami Franca Halsa, Velazqueza, Szekspira lub Balzaka, tętniącego owym bel esprit national, którym gienjusz francuski tak wiecznie się szczycił.

— Sam to zauważyłem — zgodził się z Pawełkiem malarz — jak bawiące się w Tuilleries lub w Luksemburgu małe dzieci z francuską pasją jasności uplastyczniają każdą swoją obserwację tonem, giestem i podkreślanym ustawicznie: N'est — ce pas? Jak przystało na potomków Brantome'a i Rabelais'a aż po uwielbianych przez świat cały Anatol France'ach, René Doumicach, Pelissierach i Faguetach.

— Jędrne umysły naszych Rejów i Kochanowskich, Skargi, Modrzewskiego i Paska — zaprzepaściły się w tragedjach naszej niewoli,

w mglistym mistycyzmie Towiańskich i Norwidów. A ostatnio dla oszukiwania cerberów Jan-
kulja nasz bel esprit ugrzął w manjerze wytre-
nowanej mglistości i zagadkowości.

— Podług dzisiejszych imperatywów sztuka,
jak słodkie wino — powinna pokrzepiać chorego.

— I kiedyż wreszcie ustanie ta choroba? —
niecierpliwił się malarz. — Nie można wiecznie
sporządzać mikstur dla zdrowych ludzi. Nie je-
stem aptekarzem.

— Można być zdrowym i lubić słodkie wino —
bronił Pawełek (wbrew własnym swoim ide-
ałom) spraw nieobecnych tu swoich przeciwni-
ków, irytując jak zwykle taką obroną zebrane
audytorjum.

— O! Przepraszam cię, mój Pawełku — zape-
rzył się ze swego stanowiska Jurek. — Możesz
sobie wyrokować o sztuce, o ile ci się podoba.
Ale pozwolisz, że w kwestji wina uważam się za
bardziej kompetentnego od ciebie. W cienkiej,
nienaturalnie osłodzonej lurze mogą gustować je-
dynie baby i dzieci.

Pawełek, spłoszony jego brutalnością — za-
czerwienił się, jak ktoś, dotknięty w najslab-
szą swoją stronę. I Jurek, podrażniony w swojej
specjalności znawcy i smakosza, nie przestawał
ogniście bronić podniesionej tezy:

— Nawet lekarze pojęli to już wreszcie, że
skuteczniej leczyć chorych kieliszkiem koniaku

lub czystego esencjonalnego węgryzna, niż łyżeczką osłodzonej fałszywie mikstury.

— Mój drogi, nie cytuj stałości lekarzy — rozgał się Pawełek z całym zapasem argumentów mruka, paradykującego bogactwem skrycie nazbieranych skarbów. — Lekarze bardzo często zmieniają swoje zbawcze środki. Pamiętam, kiedy będąc dzieckiem, byłem zamęczanym ciętymi bańkami i pijawkami. A potem opychano mnie tranem, kumysem i serwatką. Mody trwają krócej, niż życie człowieka — począł dowodzić, jak wszyscy ludzie pro domo sua. — Niecierpliwa młodzież nie darowywa tym niewielu już pozostałym starcom braku taktu, z jakim upierają się niedelikatnie żyć jeszcze. Biedacy muszą bronić się resztkami sił od zamiany staroświeckich szat, do których tak przywykli — na nowomodne, w których tak im nie do twarzy. Młodzi lekarze zakrakaliby starego kolegę, który upierałby się przy definicji choroby: febra (chłopi mówili ongi: frybra), kiedy weszła w modę malarja, a następnie influenza, a potem infekcja, ukrainka, hiszpanka. Potęga przejściowej mody nakłada swoją pięść żelazną na wszystkie przejawy życia, uwięzione bezapelacyjnie w jej szponach. Cenzuruje się jaknajostrzej nie tylko literaturę, sztukę, moralność i etykę; lecz sama nawet natura musi uchylić swoją potęgę przed despotyczną władzą mody.

— Pawełku, to zapewne bardzo mądre, coś powiedział — wtrącił przekornie Jurek — ale ja tego nie rozumiem. Natura pod władzą mody? Przeżegnaj się!

— Nie pamiętasz, kiedy ranione płuca leczono cieniem sosnowych lasów? Dziś opustoszałe ongi latem Włochy — są przepełnione suchotnikami, duszącymi się w skwarze rozognionego modnego słońca. Pomijam już strzyżenie szpalerów i całych drzew. Lecz w starych parkach wycinają przepotężne, tytaniczne cieniste drzewa i sadzą jedynie dla szerokich nagich perspektyw modne karle krzewy. Kobiety defasonują naturę, skracając sztucznie podług mody niektórych epok (Rzym, Cesarstwo) stan swój aż poza piersi. To znowuż w innych czasach (Renesans, epoka Ludwików) przedłużają go prawie aż do bioder. To znów ściśnięte całe w szponach fiszbinów, z figurą, cienką w pasie, jak osy — podnosiły sobie obfite piersi prawie aż do szyi.

— Słuszną uwagę — potwierdził malarz. — Nasze babki nie ukazały by się za nic w salonie bez cudackiej, śmiesznej w gorsecie figury. A nasze najzacniejsze matki nie wstydziły się karykaturować swoich kształtów ohydną, wprost nieprzyzwoitą tiurniurą. A przecież jeszcze niedawno, zazdroszcząc pawiom, zamiatały kurze uliczne trenem swoich sukien, choć dziś po dywanach

salonów kroczą w sukienkach znacznie krótszych, niż dawne podlotki.

— Tak, tak — śmiał się Jurek — z tyłu liceum a z przodu muzeum.

— No, no! Tylko bardzo prosimy — ujęły się damy — bez drwinek!

— Pod tym samym bezapelacyjnym rozkazem mody — rozgadał się dziś mruk Pawełek — śniade brunety bielily sobie ongi twarze i pudrowały lub złociły włosy, broniąc alabastru cery od atomu promyka słońca wualkami, parasolkami, wachlarzami, w nieodłącznych rękawiczkach. A dziś prażą się aż do bólu godzinami w ukropie promieni słonecznych z obnażoną, wymastowaną tłuszciami pierśią, z jedynem marzeniem, aby ich twarz, ręce i szyje przywdziały modną barwę cynamonu i czekolady Aidy, czerwonoskórych i murzynów, których tańce kakewalki, onestepy i maczycze sobie przyswoiły. W chodzie i w ruchach obecne elegantki du dernier cris naśladowują stanowczość dragonów, podczas kiedy jeszcze w mojej dziecięcej pamięci panowała wyniośle błada interesująca kobieta, wpadająca — pomimo wiecznej koronkowej chusteczki od łez i flakonu z orzeźwiającemi solami — w modne ongi ataki omdlewań i spazmów.

— A to idjotki! — śmiała się pani Lilka. — I pomyśleć, że czyniły to wszystko dla was!

— A ci niewdzięcznicy wyśmiewają je teraz

za to, że zależało biedaczkom na tem, aby wam się podobać — broniła swojej płci pani Marylka.

— Naturalnie — ujęła się za kobiety pani Lilka — że to wszystko dla was.

— Bo wy hołdujecie modom nie mniej, niż kobiety. Mężczyzna jest urodzonym satyrem.

— Nie zarzucałem tego specjalnie kobietom — bronił się Pawełek. — Jeszcze i my w młodości nosiliśmy długie włosy i cienkie chrystusowe brody. I, aby odróżnić się od wulgarnych, wiecznie pogodnych rządców folwarcznych — byliśmy prawie wszyscy pesymistami. Pesymiści podobali się kobietom, ponieważ je „rozumieli“. A każda kobieta lubiała wtedy uchodzić za „niezrozumianą“. Bo w ten sposób określało się ongi wiecznie tkwiącą we wszystkich tristesse de tout celà, o której teraz wspominać nie wolno. Jedynie pesymistów drukował ówczesny Przegląd Tygodniowy, tak nielitościwy w swojej pogardzie dla słodko tkliwej pogodnej wodnistości.

— Bo jedynie pesymistom przyznawano wtedy, że dzięki ich niezadowoleniu i szczerości, z jaką obnażali gangrenę ukrywanych konwencjonalnych kłamstw — świat w swojej ewolucji porzucił złe przeszłości. A dziś? Wynoszone ongi pod obłoki kwiaty duszy ludzkiej w postaci cichej zadumy, żalu, melancholji zowią nietolerancyjnie zżyzdzeniem, a wyraz „pesymista“ brzmi prawie tak pogardliwie, jak wyszło już z mody zagad-

kowo obraźliwe przezwisko: „Ty, jeomentro, sufraganie!”

Wszyscy się roześmieli — pod urokiem miłego głosu rzadko odzywającego się mruka. I, ulegając szczerości jego smutnych oczu, tak ujmująco harmonizujących z wyrozumiąłym uśmieszkiem jego świeżych ust — zakonkludowali, jak jeden mąż, nie wyłączając dam, że Pawełek jest nie tylko kulturalny i dowcipny, lecz i niezmiernie miły. A Pawlak w zgodnym entuzjazmie z wywodami rozgadanego mruka zadecydował:

— To dziwne, że ten pogardzony obecnie pozytywizm wyhodował dusze subtelne, tkliwe, romantyczne, kiedy w trenningu obecnych przesadnie szczytnych ideałów — grasuje taka obfitość gruboskórnych burżujów i filistrów.

— Bo szczerzy pozytywizm — godził się Bol-ski — wnikał wyrozumiale w rdzeń duszy ludzkiej. A obecnie chodzi jedynie o zewnętrzny patos wzniosłych utartych komunałów i o nienawiść nietolerowanych przeciwników.

→ Co mi się najbardziej podoba w obecnych czasach — nie porzucił swego stanowiska sympatycznego nieponia Jurek — to koedukacja. Człowiek tyle musiał dawniej się nabiegać za szwaczkami! A oni mają sobie teraz pod ręką swoje koleżanki w biurach, w uniwersytetach, w kancelariach, wszędzie. Spotykam takie parki koleżeńskie nieraz w Łazienkach. Aż ślinka idzie:

żadnych niepotrzebnych ciotek, matek, guvernantek. Dokoła niebo, kwiaty, łąbędzie. I żadnych fjoków, żadnych trenów, żadnych wualek. Też same białe, czy też cynamonowe czapeczki, co i u kolegów na takich samych czuprynkach, jak u koleżanek. Włosy nie targają się, sukienki się nie gniotą. Żyć, nie umierać.

— Nie wiedziałam — zauważyła pani Lilka — że tak często bywasz w Łazienkach. Widocznie nie tylko białe czapeczki dobrze się tam bawią.

— A ty nigdy nie chodzisz do Łazienek?

— Nigdy, jak mamę kocham.

— O! Nigdy! Widzicie, ja dlatego nie badam nigdy mojej żony, ponieważ ona nigdy nie przyzna się do niczego, nawet do tego, co jadła wczoraj na śniadanie. W ten sposób ocalam ją od kłamstwa.

— O! Uświadomiła cię co do mojej obłudy moja rodzinka: Ciotka Wtorkowska et consortes.

— Wszystkie kobiety są jednakowe. Gdybyś powiedziała mi kiedy: Wracam teraz od mego kochanka — nie uwierzyłbym ci.

— Idjota jesteś! — zapewniła go tonem tak komicznym, aż wszyscy dokoła roześmieli się.

— To bardzo trudno mówić prawdę — wyrwała się pani Marylka.

— Bo czemuż oni nas wiecznie o wszystko badają, jak niewolnice? Taka niedyskrecja z ich

strony — to poprostu piła — przekomarzała się ślicznie pani Lilka.

— Zgadzam się z panią Marylką — ujął się Pawlak — że to bardzo trudno mówić prawdę. Bardzo słusznie pedagogowie nakazują swoim młodocianym uczniom opisywać dzieje dnia poprzedniego lub poprostu opowiedzieć, co się wczoraj robiło. Otóż okazuje się, że dzieci stale twierdzą, że jedli gruszki u babuni — ubrani w niebieskie ubranka, kiedy faktycznie biało ubrani — byli u ciotki i spożywali jabłka. Podsluchując rozmowy pospólstwa, stwierdzamy w ich wiecznych kłamliwych opowiadaniach, o ile fantazjowanie i egzagieracja jest łatwiejszą od obserwacji i od zapamiętywania szczegółów analizy faktów.

— Naturalnie — godził się Bolski. — Przecież u wszystkich narodów fantastyczne legiendy rozdziły się zawsze przed epopejami; a murzyni, aszanci i lud żyją jedynie ozłacanemi baśniami i klechdami. Bo nie dorosli do obserwowania pięknego nastroju i poezji w otaczającej ich naturze, często dżdżystej, ze sztafażem ludzi z wadami i z ułomnościami.

— Na „pamkę“ malować bardzo łatwo — zawyrokował malarz — lecz zjesz djabła, zanim nauczysz się rysować „z modelu“.

Śród wyjątkowo ożywionej dziś rozmowy jedynie pani Marylka upornie milczała, jakby zaskiostjonowana pewną parą smutnych oczu na bla-

dej twarzy, które tak ujmująco harmonizowały z wyrozumiale pobłażliwym uśmiezkiem na ładnie narysowanych wąskich ustach...

Aż pani Lilka, znając doskonale „temperament“ swojej płóchej przyjaciółki, wzruszyła niecierpliwie ramionami. I cała pod urokiem towarzyskiego powodzenia, jakie osiągnął dziś Pawełek, jej przyjaciel dotąd, a nie kochanek — przy-milała się mu swoją zwykłą zabawną manjerą:

— Wie pan, panie Pawełku, pewien „malarz, który bardzo lubi alasz“ zakochał się dziś w panu. Mówię „malarz“ jedynie dla rymu i dla utrudnienia zagadki. Bo to jest właściwie dramaturg.

Pawełek zamrugnął oczami. Poznał się już na tej taktyce pani Lilki, która, schlebając jego miłości własnej, usiłowała zawsze pozyskiwać w ten sposób sympatję Pawełka dla młodzieńców, którzy jej w oko wpadali. Przypomniawszy sobie, że tej taktyki trzymał się także Jurek, ilekroć zależało mu na tem, aby pozyskać sympatję Pawełka dla swoich kochanek.

I pobłażliwy, wyrozumiały uśmiezek jego ładnie narysowanych ust zatonął nagle w melancholji smutnych oczu mimozy. Choć przez myśl mu nie przeszło, że właśnie ten smutek źle ukrywanej melancholji podrażnił łatwo zapalną panią Marylkę, jakby żarem jesiennego słońca i upajającą wonią więdnących już kwiatów.

I ani śniło się jej ukrywać wrażenia, jakie spra-

wił na niej ten źle zbudowany, podtatusiały już jegomość o włosach koloru poivre et sel, ze zbyt rozrośniętym skutkiem biurowej pracy korpusem na zbyt cienkich, niewytrenowanych sportami nogach i o bladej twarzy ze smutnymi oczami świętych lub apostołów, w których życiu niepokalanem nie ukrywała się ani jedna plama.

I motyla pani Marylka poczęła już nazbyt wyraźnie zgadzać się z każdą definicją Pawełka; zbyt jawnie zachwycała się każdym jego dowcipem — zbyt niewolniczo wpatrzona w niego, wsłuchana, oczarowana.

Aż pani Lilka, także pod ogólnym wrażeniem ujmującego obejścia Pawełka, musiała zgromić nietakt swojej t. z. przyjaciółki, tego „starego nienasyconego podlotka w ekstazie“ wabionego nową sensacją, która ją zmysłowo zaciekawiała.

— Uprzedzam cię, kochana Marylko, że szkoda tych wszystkich twoich daremnych strzał, które obijają się o puklerz ogniotrwały.

— Nie jestem leniwą. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, wbrew zakazom — dałam na sobie sukienki, wdrapując się ku rozpaczyci matki na najwyższe drzewa. Nigdy nie lubiłam owoców, które same na nos wszystkim spadają.

— Bardzo pięknie, o ile tylko nie zachciewało ci się gruszek... na wierzbie.

— Gruszki na wierzbie — to nonsens. Ale po-

trudzić się po kafelki z pieca — to bardzo nęcące.

— Ależ to jest człowiek zupełnie serjo.

— Cóż z tego? Nie cierpię patentowanych don-żuanów, którzy nie są gourmands na smakołyki, lecz są poprostu żarłokami. I przypominają mi te stare omnibusy, które za poruszeniem parasolki byle kogo — stawiały na rogu każdej ulicy.

— Woli pani extra pociągi, które nigdy nie stają? Od kiedyż to? — wtrącił sarkastycznie Jurek.

— Marylce zachciało się solidaryzować z Putyfarą — cynizowała pani Lilka, której Pawełek — z chwilą, kiedy przekonała się, że ma rywalkę — podobał się dziś bardziej, niż kiedykolwiek.

— Z Putyfarą. Być może.

— Niezmiernie żałuję, że nie będę mogła niestety — powiększyć twojej tentacji rywalizacją; pomimo, że zdradzanie przyjaciółki jest jeszcze bardziej nęcące, niż wdrapywanie się po owoce zakazane.

— Naturalnie. Ale wobec tego, że w szczeróść tej wspaniałomyślnie ofiarowanej mi przez ciebie carte blanche nie wierzę...

— Jaka ty jesteś podła! — żarcikowała trochę zaczerwieniona pani Lilka.

— Co? Użeracie się jeszcze wciąż o mego przyjaciela? — roześmiał się Jurek tak głośno, że aż Pawełek, powracający z tarasu z Bolskim

i Pawlakiem, skrawek tej rozmowy musiał usłyszeć — chociaż skóra jeszcze na baranie... Otóż tak pewny jestem ogniotrwałości jego, że choć bardzo kocham moją żonę, a jeszcze bardziej obecną tu, lecz nie bardzo przytomną dziś panią Marylkę — zostawiłbym was z nim sam na sam na bezludnej wyspie. I tam nawet nie byłoby obawy, abyście były narażone na płacenie mu alimentów za utraconą cnotę. Nie znacie przysłówia: „Kobiety do obrazu, a chłop ani razu?”

— Głupi jesteś! — zawyrokowała żona — takiego przysłówia niema. Uczyła cię widocznie przysłów — panna Petronela.

— E! — pocieszała się pani Marylka. — Przyjaciele są najmniej kompetentni w ocenianiu zalet bliźniego. Ależ nawet na pustyniach udawało się przecież niebrzydkim grzesznicom zwyciężać nawet świętych. Chyba, że pański przyjaciel nie jest mężczyzną.

— Marylka zapaliła się nie na żarty do swojej roli Putyfary.

Pawełek, mrużąc oczy z ujmującym w jego latach rumieńcem na bladej twarzy, nie zwracając uwagi na jakieś pytania Bolskiego, wsłuchiwał się niepostrzeżenie w cały ten kobiecy dialog.

Z właściwą sobie przesadną skromnością, wpajaną mu mimowoli przez rodzoną matkę, był przeświadczony, że nie może wzbudzać zachwyty ko-

biety, nie znającej zalet jego charakteru, a jedynie cielesną, zewnętrzną powłokę.

Wyzywającą kokieteryję pani Marylki uważał jaknajmylniej za drwiny, a raczej za cyniczny sposób maskowania uczuć, skierowanych w inną stronę. Zachwyt dla pocziwca, który się nie liczy — to jedynie niezręczny parawan. Rola piętego koła!

— Za parawanem — uczył go nieraz Jurek — bardzo często niema nikogo. A ja wtedy nawet, jako parawan — potrafiłbym korzystać z sam na sam z kobietą.

— Czyli na bezrybiu i rak — ryba. Dziękuję — spojrzał z przerażeniem na zegarek.

Był już najwyższy czas na niego do biura, z którego wykradł się, pomimo, iż pozostawił huk nieskończonej roboty, skazującej go na nocną mordęgę. Zresztą miał już dość towarzystwa ludzi. W biurze przynajmniej nikt mu jego pięt Achillesa nie dotyka, i pożądał legowiska tej samotnej nory, jak raniony bojownik w panice krwawego deszczu nowych strzał — tęskni do samotnej ciszy, która ukołysałaby go do snu, choćby wiecznego.

I bez pożegnania, cichaczem wymknął się z mieszkania Jurków. Bo rola Józefa wobec Putyfary nie była w jego przeświadczeniu ujmą. Lecz dotykała go jedynie dlatego, że wiedział, iż świat jest w tej kwestji innego zdania. A nie

trawił drwin nawet z motywów, z którymi nie solidaryzował. I, zamykając za sobą drzwi wchodowe mieszkania Jurków — odetchnął pełną pierś:

— Uf! Nareszcie sam!

IV

Zaledwie Pawełek opuścił gwarny, rozbawiony salon Jurków z marzeniem o cichej, samotnej pracy, naraz jakiś lęk przed więzienną klatką biura pochwyił go w kleszcze. I nagły głód przestrzeni, nieba, łąk, powietrza i ciszy, tego jedyne go balsamu dla piersi samotnika — począł go kusić despotyczną myślą przechadzki.

I Pawełek, skrećiwszy w bok od willi, otworzył furtkę parkanu fabrycznego. Był nareszcie sam. Wkoło niego roztaczał się tak zwany przez burżujów brzydki pejzaż.

Jak gdyby cuda tonów atmosferycznych i zmieniających się co sekundę boskich świetlanych efektów słońca — były mniej czarowne na uto-
rach i bagnach, niż nad zatoką neapolitańską!

I Pawełek pochłaniał z łakomstwem smakosza ten brzydki podmiejski pejzaż bez charakteru: Te sterczące tu i owdzie cienkie kominy fabryk i te brzydkie, czarno wypapowane dachy budynków fabrycznych, które tak brutalnie biją się swoją kulturą z sąsiednimi przedpotopowymi

chałupami o słomianych strzechach wśród stosów zuzła i wybojów kamienia polnego.

I cały ten chaos kłócących się, krzykliwych barw: podmiejskiej czerwieni fabrycznej cegły, złotych słoneczników w ogródkach przed chatami oraz jarzącego srebra kulturalnych lamp elektrycznych pospołu z nędzą wietrzonej na sznurach żebraczej pościeli — zatapiało w swoich opalach powietrze, przetykane srebrem promieni słońca.

I cała natura, skąpana w szafirach nieba, w złocie i w rubinach zachodzącego dnia z bladymi szmaragdami biednej podmiejskiej zieleni, cała w ametystowych blaskach cudnych półtonów, ustrojona w ciszę, balsamowaną wiatrem — rozkoszowała swoją krezusową potęgą nie tylko oczy, lecz nos, uszy, całą duszę smakosza.

Lecz naraz słońce zaszło. Zniknęły przesiewane srebrem tony opalowe. I cały pejzaż zanurzył się w zimnym, ołowianym kobalcie.

I naraz ta samotność, która wydawała się Pawłkowi deską zbawienia — zawiodła go, jak ostatnie nieskuteczne lekarstwo. Przejmujący ostry ból szarpał mu zbolące piersi. Bo te drzewa, niebo, każde źdźbło trawki zosobna — nie były mu braćmi, zrodzonymi z jednego Ojca Boga, mogącymi mu współczuć w jego ludzkiej niedoli. Nie, nie. Zimna natura z technieniem prawieków dyszała egoizmem. Każde drzewko, trawka, wiaterek i kamień — żyły własnem swoim życiem,

własną duszą i własnymi tajemniczymi celami narodzin, istnienia i śmierci.

I Pawełek pojął, że jedynie człowiek człowiekowi mógłby być blizkim, gdyby trenowano go w tym kierunku i nie oblagowywano, — tytanicznymi ideałami, które tandetnym płomieniem jedynie zewnętrzne życie oświećla. Lecz gdyby sugiestjonowano go poprostu dobrymi uczuciami ku stworzonemu z tej samej, co on gliny — biednemu Pawłowi i Gawłowi.

I Pawełek niezmordowany wyciągał wśród tej ciemni ramiona do przyjaźni, braterstwa, współczucia, wyrozumiałości i miłości; do wszystkich „małych“ prawd, lekceważonych przez quasitytanów. Był pewny, że to jest jedyne lekarstwo na wszystkie cierpienia ludzi, czujących dziś pustkę wśród tłumu t. z. przyjaciół i współpraci.

To jest ideał życia, do którego świat powinien dążyć. To są hasła, jakie na sztandarach kultury powinny być wyryte złotymi zgłoskami: Bądź dobry! A wszystko inne — to błądzenie po mylnych drogach pustyni.

Naraz zadumę jego spłoszył jakiś nieśmiały dźwięk głosu:

— Czy szanowny pan nie bardzo by się na mnie gniewał, gdybym ośmielił się towarzyszyć mu w tej cudnej przechadzce?

— Bolski? — zdziwił się Pawełek i po swojemu zamrugał oczami: Przypomniał mu się świat

cały i pani Lilka z ohydą ludzkich słabości, z jaką usiłowała wtrącić go w swoje życiowe brudy. Przypomniały mu się jej słowa, — jakimi chciała go przekupić:

— „Wie pan, panie Pawełku, pewien malarz, który bardzo lubi alasz, zakochał się w panu“.

I Pawełek bardzo zimno godził się na wcale nie nęcącą go propozycję Bolskiego, pomimo, iż przed godziną młodzieniec ten wydawał mu się bardzo sympatycznym.

— Proszę bardzo. Jeżeli pana to nie nudzi...

— O! Mam już dość towarzystwa. A powrót do syreniego grodu wprost mnie przeraża...

W oczach młodego poety tkwiło tyle rozpaczy, że wzbudził wnet współczucie w tkliwym Pawełku.

Przecież jeszcze wczoraj Bolski żył marzeniem ujrzenia swego dramatu w Rozmaitościach! A więc tak wyglądają marzenia, kiedy się spełniają?

I Pawełek usiłował zdusić w sobie niechęć ku młodzieńcowi, którego posądzał o przyprawienie rogów Jurkowi. Czynił sobie nawet wyrzuty z nie-
lojalności względem swego przyjaciela, bo uczuwał ojcowską litość dla tego młodzieńca, którego zraniona dusza była najwidoczniej nie tylko tytułem utworu, lecz krwawym bólem własnej duszy młodego pisklęcia, nie umiającego jeszcze dać sobie rady z cierpieniem.

Domyślał się doskonale jego tragiedji spełnio-

nych marzeń. Bo znał dobrze sam tę różnicę pomiędzy marzeniami a faktami, z których nie zdawał sobie dotąd sprawy jedynie ten debiutant życiowy, bankrut w saldzie ideałów: miłości kobiety i wymarzonej sławy. He, he! Wierność pani Lilki, rozkosze premjery!

I Pawełek dzięki własnemu zrównoważeniu, które przeszkadzało mu wprawdzie w odczuwaniu szczęścia, lecz pomagało w znoszeniu niedoli — litował się nad Bolskim i przebaczał mu winę rozgoryczenia i nienawiści, o jaką go posądzał, przekonany w gruncie, że bierna nienawiść, to, jak zepsuta broń — nie sprawia krzywdy przeciwnikowi, lecz gangrenuje jedynie duszę samego strzelca.

Chciał jedynie bronić się od roli powiernika człowieka, który zdradzał Jurka; lecz nie chciał go ani sądzić, ani nienawidzić. Bo nienawidził nienawiści. Lecz zraniona dusza Bolskiego, nie zważając na ustawione tamy — wybuchła szumiącym potokiem krzykliwej, nietaktownej szczerości:

— Bezparejalność tych niby najuczciwszych moich wczorajszych krytyków polegała na tem, że unikając kłamstw, zamilczeli jedynie o zaletach; a uczciwie przedstawiali tylko istotne wady. I jakżeż z ich protegowanymi, którym podkreśla się jedynie zalety, zamilczając o wadach, można było równać moją pracę, w której zamilczało się o zaletach, a podkreślało jedynie wady?

I z tą pewnością własnego rozumu, jaką posiadają wyłącznie głupcy — bronili swoich własnych bożków z zaciętrzewieniem obalania wszelkich ofiar, składanych w innych kapliczkach, hołdujących przecież temuż samemu jedynemu bóstwu: wiecznie świętej sztuce. A ogół leniwych mózgów idzie zawsze owczym pędem za prowadzonymi w zachwycie dla ich pawich pióropuszków, których karierowicze nie pozbywają się nigdy. Bo wiedzą że poza karierą — jeszcze nie każdemu jest do twarzy w negliżu prostoty i szczerości. Bo tylko połowa z nich nie potrafiła mnie ocenić, a druga połowa — nie chciała. O! ciężko jest żyć w czasach, kiedy poza proletariatem dziewięćdziesiątych świata należy do sympatyków nacjonalistycznej prawicy. I kiedy nawet rewolucje tworzą nie przyjaciele uciśnionych, lecz jedynie wrogowie uprzywilejowanych z duszami, zgangrenowanymi nienawiścią niewoli. Ciężko jest żyć w czasach, chlubiących się niby olbrzymimi wynikami kultury dziesiątków stuleci, które zapomniały jednak niestety o takim drobiazgu: Nie uczyniły człowieka ani mądrym, ani dobrym, ani szczęśliwym.

— Zarzucają mi smutek. He, he! Jak oni śmia nawet żądać odemnie wesołości! Jak śmia żądać, aby artysta kłamał, ubierał się w dzwonki kłowna, kiedy jego dusza płacze. Jak śmia? Dusza targana 100-letnią niewolą, zraniona okrucień-

stwem katów i złością związanych u tej samej taczki — niewolników — ma być pogodną? Jak oni śmiać żądać odemnie pokrzepień? Od nędzarza z rozdartą duszą? Jak śmiać? — upierał się w kółko głosem, dziecinnie nabrzmiałym od łez.

Dokoła nich zapanowało owo ciężkie milczenie, brzemienne w niewypowiedziane myśli, jakie własną orientacją i przeżyciami omotały wrażliwy mózg mruka. I nie wyjawione ciążyły ołowiem w otaczającej ich atmosferze:

— Tak, tak — myślał Pawełek, broniący się od nieetycznych przyjaznych uczuć ku grzesznikowi, za jakiego bądź co bądź powinien Bolskiego uważać. — Życie — to bardzo smutna pieśń! Lecz ból jest jedynem nasieniem, z którego powstają arcydzieła, które, jak kwiaty — nie rozkwitają bez rosy łez twórcy. Bez tak najmylniej zwanych kobiecych właściwości, to jest: bez tych wszystkich, jakie żadna kobieta w gruncie nie posiada; a więc bez cienkości i subtelności — nie masz prawdziwej sztuki.

— Zgadza się pan, że słodka, równa i pogodna sztuka nie istnieje? — przerwał brzemienne niewypowiedzianymi myślami ciszę Bolski.

— Czy ja wiem? — bąknął mruk, przekonany w gruncie, że powinno się kochać sztukę tak, jak donżuan kocha kobiety: Każdą, niezależnie, czy jest brunetką, czy blondynką. Bo artysta, rzucając okowy chwilowej opinii i krytyki, nie powi-

nien płoszyć się labiryntami poza ogólną ścieżką, na których przestrzega napis: Tędy chodzić niewolno.

— Jeżeli jego dusza jest pogodną — poprawił się Bolski — może on malować słońce bez plam, jeżeli faktycznie ich nie widzi. Byle nie kłamał dla mody, prawda? Lecz czyż artysta smutny i szczerzy powinien milczyć?

— Naturalnie, że nie — zgodził się mruk, po kórego głowie zawily się wspomnienia, z których jednak Bolskiemu się nie zwierzał. A te wspomnienia i obserwacje w mózgu brzmiały:

— Pamiętam, kiedy ćwierć wieku temu młodzi ubierali się w rozwichrzone włosy i w smutek tak, jak obecnie stroją się w siłę i w pogodę. A co lepsze? Pi! Bezapelacyjny wyrok na suknie, tak czy owak skrojone jest prawomocny tak długo, póki nie przechodzi. A potem zapanowują wszechwładnie ten trzeci wyrok, obowiązujący jedyny, ten przedtem i potem wyszydzany. Bo akademicki despotyzm pozwala wiecznie głosić prawdy jedynie... nieboszczykom. A żyjącym zasię. I zarówno w sztuce, jak i w salonie jest shoking człowiek, zdradzający się z tem, że nie jest równie głupi, jak inni. Tak, jak źle wychowanym nazywają takiego, kto nie potrafi estetycznie w ich towarzystwie nudzić się. Trzeba nie zważać na przeszkody krytyki i nie naśladować tych starych aktorek, które zamiast mówić na scenie tak, jak

się mówi w życiu, mówią w życiu tak, jak się mówi na scenie. Nie o modę chodzi w sztuce, lecz o szczerość, choćby to nie było łatwo potrafić się na nią zdobyć.

— Wie pan, czego najwięcej się obawiam? — zwierzał się niezrażony milczeniem mruka Bol-ski. — W walce życia można stać się złym. Bo krew pieśni poety, zatruta jadem świata — powraca do niego przemieniona w żółć. Ach! Przestać być młodym z przekonaniem, że udało się przejść całe życie bez zabłocenia! Choć nie, nie! — poprawił się. — Młodzieńcze pragnienie nieistniejącego szczęścia jest większem szczęściem, niż starcza abdykacja. Pragnąłbym jednego: Być pewnym, ale to tak zupełnie pewnym, że wszyscy krytycy są niesprawiedliwi, a cały nie-uznający mnie ogół jest głupi — jęknął, zdradzając w końcu kwintesencję wszystkich swoich zwątpień. — Ach! Być pewnym, że żadna ukochana nie zdradza, że w zaklęciach swych nigdy nie kłamie i nikt ich poza tobą od niej nie otrzymał! Ach! Posiadać pewność tych wszystkich autoigno-rantów, nie wiedzących, że znacznie trudniej jest znać duszę własną, niż duszę hotentota! — Tak, tak. Znaj siebie samego, jak bliźniego swego. — Proszę utrwalić mnie choćby w tem jednym: Czy ta prawda, pogardzana najbardziej w epokach upadku sztuki pod batem najróżnorodniejszych imperatywów, a rozświecająca wszystkie ciemno-

ści, jak robaczki świętojańskie, daje to szczęście, do którego wiecznie wyciągam spragnione ramiona? Jak pan sądzi? Subordynacja, czy swobodne loty? Bezwzględna prawda, czy programowa dyplomatyczna obłuda?

Pawełek wstrząsnął ramionami, choć wiedział, że subordynacja jest konieczną w wojsku, równowaga w życiu, układność w salonie, lecz że niema nic ohydniejszego nad sztukę subordynującą się, zrównoważoną i układną. Bezwątpienia. Lecz burzujom wydaje się, że jedynie modlitwa powinna być szczerą, a nie sztuką. Choć jego samego aż pasja nieraz porywała, aby wydobyć się z kagańców całego świata i zakrzyczeć pełnym głosem na całe gardło:

— Protestuję. Wszystko, co mówicie, jest fałszem. Nie solidaryzuję z nikim. Wbrew wszystkim jestem taki i owaki. I jedynie tym protestującym niezadowolonym — ludzkość zawdzięcza wieczną ewolucję i pęd z hasłem: Excelsior, ad astra! Wyżej, wciąż wyżej! Bez zmęczenia wciąż hen! dalej ku zmianom na lepsze!

Lecz nieuleczalny hiper self control Pawełka wziął w nim górę; zamurował mu usta; bo naraz przyszła mu nowa refleksja, czy nie właściwiej, zamiast dolewać oliwy do ognia — oblać Bolskiego zimną wodą:

— Człowiek gra we wszechświecie znacznie

mniejszą rolę, niż mu się samemu wydaje. Szczęście jego nie zależy ani od zwycięstwa, ani od porażki żadnej partji zarówno politycznej, jak i estetycznej. Przedewszystkiem powinien nienawidzić nienawiść. I kochać czasowo nie tylko Anglików i Japończyków dlatego, że ich nie zna; lecz i wojska sąsiadów nie powinien nazywać bandą dzikiego żołdactwa, kiedy okrucieństwo własnych wojsk nazywa szczytnie bohaterstwem nadryczy. A jeśli jest Polakiem, powinien kochać nie tylko Polskę, lecz i Polaków. Bo rany, zadawane przez żandarmerję wroga, nie ranią w setnej części tak, jak strzały rzucane z poza płotu przez współbraci. Choć znowuż prawda, że najbardziej utyskują nad obojętnością ludzi egoiści, wylewający łzy żalu jedynie z powodu własnej niedoli. Bo jeżeli ktoś chce być gentlemanem zawsze ładnie uczesany — powinien wystrzegać się rozczochrania własnej duszy. I z dwóch dróg do wyboru: tworzenia rzeczy wartościowych lub też podobających się wszystkim — powinien wybierać tę drugą. A jeśli już wybrał zamiast zwykłej drogi zabronione ścieżki — nie powinien tracić zimnej krwi, kiedy na niego napadają. Bo osaczony wśród walki zatraci w transie świadomość własnych atutów. I wtedy to dopiero napastnicy powalą szamocącego się rozpaczliwie, jak w matach nieprzytomne zwierzę. I bezsilnego, jak piccadorowie w cyrkach dobijają już z łatwością —

nie mógł wybrnąć z tego chaosu myśli Pawełek, uświadomiony co do komplikacji prawdy w różnych oświeceniach.

— Znamy wady własnych utworów — kajał się Bolski. — Wyrastają one w dziełach artysty, zasiane przez szatanów, jak chwasty. Może zbyt skwapliwie unikałem utartych gościnców jedynie dlatego, że inni nimi już chodzili. Lecz kokietować najjaśniejszą publikę sympatycznymi tematami... Brr! Bo cóż zowie się talentem, jeśli nie wieczne poszukiwanie drogi bez drogowskazów? W wiecznym kulcie dla chaosu życia wewnętrznego, bez zdarzeń i zamiarów, bez ludzi, dzielonych szematycznie na tak zwane typy ujemne, lub dodatnie z jednej sztuki. O! Ta pogódka ich sztuczki! O! To ich życie podobne do pudełkowych w krakowskich kostjumach marjonetek! O! Te pogodne, najpokupniejsze ideały! O! Ten wieczny patos, deklamacja o cnocie, ten paskarski wyzysk patryjotyczny karierowiczów, przeświadczonych, że niekiedy dobra opinia jest jeszcze korzystniejszą, niż łajdactwo.

— Oczywiście — przyznał Pawełek. — Najwygodniejsze jest schlebienie i hołdowanie popularnym ideałom większości.

Nie królewski czczy symbol ojczyzny należy kochać, lecz własnych współbraci; a potem wszystkich ludzi na świecie. Niestety nienawidzić jest łatwiej, niż kochać. W pogardzie dla du-

szy kobiecej twierdzimy zawsze, że to one nie-
nawidzą się bardziej wzajemnie, niż my. Nie-
prawda. One tylko jawniej ze sobą się kłóć.
Nieprawdą jest także, że one są większymi od
nas komedjantkami i obłudnicami. Fałsz. Są
mniej skryte i mniej dyplomatyzują, niż męż-
czyźni, szczycący się swoim zrównoważeniem,
które jest maską naszej duszy. Zgadza się pan?

— Naturalnie — zgodził się lakonicznie Pa-
wełek, snując w myślach dalszy wątek nici, z któ-
remi wciąż milcząc, mniej lub więcej solidaryzo-
wał się:

— W kulcie dla prawdziwej sztuki artysta nie
powinien ubierać się ani w togę taniej moralności,
ani w dzwonki kłowna, ani w czapkę sędziego lub
pedagoga. Lecz winien, jak każdy przeciętny pra-
cownik napełniać beczkę Danaid bez megaloma-
niji, że sam jest bez skazy i bez przesadnej
skromności, że jest bez zalet. Kółka zegarowe są
tem użyteczniejsze od łatwo ustających ludzi, że
nie analizują doniosłości własnych zasług. Tem
wyższe od ludzi, że nie mówią; tem szczęśliwsze,
że nie pragną, tem użyteczniejsze, że nie myślą,
tem lepsze, że nie żyją.

— Człowiek musi pragnąć pragnień; musi
spieszyć się w przeświadczeniu, że życie jest mu
jedynie na krótki czas pożyczone do zwrotu. I nie
może pozostawać w inercji z obawy dotkliwych
zarzutów niesłusznych i tych dotkliwszych jesz-

cze: najślusznieszych. Trzeba umieć śmiać się i płakać i pamiętać, że ambicja — to jak arszenik: w małej dawce ocala człowieka, w wielkiej zabija.

— Najważniejsza rzecz — zakonkludował po długim milczeniu Bolski — trzeba umieć żyć. Nie należy unikać namiętności, bo one w małych dawkach, jak dobre wino, ogłuszają ból życia. A należy jedynie wystrzegać się narowu pijaństwa i narkotyków morfinisty.

— Na rozpustników — sceptyzował w myśli Pawełek — oburzają się najbardziej nałogowi gracze, a na karciarzy pijacy. Wyrozumiałymi na wszystko są jedynie ludzie bez żadnych win, t. j. tacy, jakich na świecie niema.

— A najzgubniejszym z narkotyków — upierał się przy swoim Bolski — jest ta niby po-krzepiająca ducha, panosząca się na całej kuli ziemskiej konserwatywno-prawicowa etyka i moralność, jako jedyne (jak ongi pigułki Morisona) lekarstwo na wszystkie wątpliwości niegrzecznych i nieposłuszných dzieci. Ta cała apteczka ze zdawkowemi, szematycznemi środkami, o których skuteczności wątpić nie wypada obywatelom porządnym i statecznym.

Doszli już temi podmiejskimi bez charakteru wertepami piasków aż do krzyża na rozstajnych drogach, którego chore ramiona trzęsły się z osłabienia, ponieważ było „nie dozwoleno“ przez wła-

dzę ustawiać podpórki chwiejącym się ze starości pomnikom. Promienie zachodzącego słońca już zgasły. I cały świat, jakby skąpany w ołowiu — nabrał jakichś tonów zimnych, smutnych spopielających.

Zawrócili ku domowi. Bolski, zmrożony milczeniem Pawełka, zamknął usta na cztery spusty. Przeświadczony teraz, że łatwiej wynaleźć dziesięć kochanek, niż jednego przyjaciela — wyrzucał sobie swoją słabość wywnętrzenia się przed obojętnymi na obce bóle ludźmi. I nie zdawał sobie sprawy, że te najszczerze wprowadzie zwierzenia maskowały jednak myśli, których wyrazić nie mógł, czy też nie chciał.

Bo czuł ku staremu dziwakowi faktycznie tę przyjaźń, o jakiej wzmiankowała Pawełkowi pani Lilka, nie domyślająca się, że właśnie tem pośrednictwem — wzajemność „mimozy“ ku swemu kochankowi zmroziła.

Lecz w piersiach Bolskiego poza zawodem poety wrzał inny ból: Była to owa młodzieńcza miłość, jak burza wiosenna — szamocąca od wiatrów, piorunów i błyskawic. Owo wieczne pragnienie, aby ukochana była inną, niż jest, choć kochał ją taką, jaką była.

Bolski wiedział od pierwszej chwili poznania, że pani Lilka była kokietką. Przecież to tej jej płochości zawdzięczał, że po Pawlaku i po wielu innych — na jego konkury dość prędko się zde-

cydowała. A teraz jakaś mucha naraz go ugryzła. Że jego samego wybrała — zgoda. Bo on to zupełnie coś innego, niż inni. Lecz jakżeż mogła przedtem godzić się na innych? Począł być zazdrosnym o jej przeszłość. Nie uspokajały go jej zapewnienia, jakimi broniła się od jego grymasów:

— Przecież wtedy nie znałam jeszcze ciebie. Więc to nie była zdrada? Czemuś nie zjawił się wcześniej? Czemu mi nie ufasz i czemu wierzysz we wszystkie męskie i babskie plotki?

Teraz, kierowany jakąś logiką od siedmiu boleści przebaczał jej wszystkich. A oburzał go jedynie jej poprzedni wybór, najbliższego jego przyjaciela: Pawlaka, któremu ją odebrał i którego teraz nienawidził. Ot, zwykłe nielogiczności zakochanych.

Teraz miałby ogromną ochotę mówić trochę o pani Lilce i o Pawlaku, lecz nie śmiał; dlatego rozprawiał tak długo o tem i o owem.

Pawełek to jego nagłe bolesne milczenie zrozumiał. Czytał zawsze w myślach ludzkich, jak w otwartej książce. Technika bardzo łatwa: Należy tylko nie wierzyć słowom.

I zwalczał w sobie mimowolne dla tego pisknięcia współczucie, którego się wstydził, pojmując, że nie może być powiernikiem kochanka żony przyjaciela.

Szli obok siebie, przedzieleni murem milczenia,

z pragnieniem, aby ten męczący spacer jaknajrychlej się skończył. Pawełek poczuł mękę powracającej do jego zgangrenowanej duszy handry: Był to znany mu ból w okolicach serca. Bardzo przykry niepokój kręcącego się w piersiach kółeczka, uczucie, jakgdyby ktoś wetknął mu ostrze zardzewiałego sztyletu. To był zawód co do ostatniego kwiatu na pustyni. Nie ukoła go oaza domu Jurków. Nie byli tacy, jakimi pragnął, aby byli. Ostatecznie pani Lilka była kokieta, a Jurek wietrznikiem. I Bolski djabła wart ze swemi miłostkami i z osobistemi żałami z powodu niepowodzenia wczorajszej premiery, i Pawlak, i pani Marylka... Przypomniały mu się ułkucia wszystkich trafnych strzał gniotących jego pięty Achillesa.

Przypomniało mu się lisie, celowe pochlebstwo tej przemilej pani Lilki.

— „Wie pan, panie Pawełku. Pewien malarz, który bardzo lubi alasz, zakochał się w panu“.

I zanurtował w nim zgrzyt posłyszanych poza plecami drwinek ukochanego przyjaciela z lat dziecięcych o „ogniotrwałym pancerzu“, o wyspie bezludnej i o „chłopie do obrazu“. Bo choć go nie martwiła opinia kiepskiego donżuana, lecz wiedział, że w pojęciu Jurka uchodzi to za hańbę; hańba, której nie wahał się jednak Jurek z krzywdą przyjaciela rzucać na niego.

Miał tych najmiłszych na świecie ludzi już po

szyję. Zateśknił do swojej zatechłej fabrycznej nory, aby zanurzyć się aż do zapamiętania w gorzkim narkotyku obojętnej pracy.

Doszli nareszcie do bramy fabrycznej. Pawełek pociągnął za dzwonek. Bolski uchylił z przesadną grzecznością kapelusza.

— Przepraszam, że narzuciłem się swoją osobą panu dyrektorowi, pomimo, iż pan dyrektor przekłada zapewne samotne spacer — żegnał się konwencjonalnie Bolski potocznym już głosem, jakim mówi się zwykle do zupełnie obcych ludzi.

— Przeciwnie — ceremonjował się jaknajbardziej bardzo zmęczony już Pawełek — było mi bardzo przyjemnie. Dziękuję za miłe towarzystwo — z bladym, wymuszonym uśmiechem wyciągnął rękę, kładąc w uścisku odrobinę więcej tkliwości, a raczej bratniego współczucia dla win słabych bliźnich, niż mógł wyrazić w słowach.

A w tym samym czasie pozostałe w salonie pani Lilki całe towarzystwo po angielskiem, bez pożegnania „zniknięciu dwóch gości („tego dziwaka“ Pawełka i „nerwowca“ Bolskiego) układało program zabaw na rozpoczęty dopiero wieczór.

— Ja nie mogę — bronił się od projektów zabawy Jurek.

— Ty wogóle od jakiegoś czasu nie nie możesz — oburzała się pani Lilka na męża, który wymawiał się jakimś taterzałem, w którym miał ujeżdżać dziś po raz pierwszy proponowanego

wierzchowca. — Gadaj zdrow! Małe dzieci nie uwierzą w twoje taterzale.

A jednak okazało się, że to był fakt, i to w następstwach dość smutny.

Ów nieujeżdżany jeszcze dotąd młody wierzchowiec pod siodłem niezbyt wytrawnego jeźdźca, płoszony szpicrutą, stawał wciąż dęba — aż w końcu zwałił się na ziemię, całym ciężarem przygniatając Jurka. Obecny przypadkowo w rait-szuli lekarz skonstatował u omdlałego z bólu zwichnięcie nogi i złamanie obojczyka. Nieprzytomnego przeniesiono w lektyce do jego mieszkania.

Wobec tego, że nie było w domu ani pani Lilki, ani nikogo ze służby — u łóża chorego zasiadł zciągnięty z biura Pawełek. Nagromadzone w jego sercu zapasy dobroci, współczucia i chęci ofiar znajdowały zawsze najlepsze ujście w wychodzących poza normę dramatycznych sytuacjach, jakie tak płoszą zwykle oficjalnych towarzyszy zabaw.

Sprowadzony najznakomitszy chirurg, skonstatowawszy nie tylko złamanie obojczyka, lecz i nogi w kilku miejscach, ogipsował ją, a strwożony ogólnym stanem chorego — zalecił — w przewidywaniu wstrząśnień mózgowych — zimne okłady, lód i inne środki zaradcze.

Przewidywania lekarzy, jak większość złych prorocstw — sprawdziły się. Choroba okazała się groźną, bardzo uciążliwą i przewlekłą.

I kapryśny chory, jakby kwitując z oportunistycznej ugodowości, jaka panowała w zewnętrznej harmonii ich małżeńskiego pożycia — wybuchął teraz jaskrawym żalem; jakgdyby wewnątrz nie solidaryzował z winami żoninej płocności i zdrady, jakgdyby niezdolny w chorobie do noszenia maski udawanej ślepoty.

I każde zjawienie się w pokoju pani Lilki, typowej kobiety, jakiej się pragnie jedynie, kiedy się jest zdrowym, a nie znosi się u łóża choroby — wywoływało w pacjencie szal zniecierpliwienia i podrażnień.

I rozkapryszony, w negliżu szczerości choroby, łaknął teraz Jurek jedynego zbytku: obcowania z ludźmi czystymi, bez plam i kłamstw, ukrywanych w sumieniu. I, pomimo dawnej pogardy dla safandulstwa, ekliwoci i babstwa Pawełka, rozkoszował się teraz wśród bezsennych nocy jedynie widokiem pielęgnującego go przyjaciela, którego smutne, czyste oczy, czuły głos i miękka ręka, gładząca delikatnie jego rozpalone, zbolące skronie — kołły balsamem nie tylko ciało, lecz i duszę chorego.

I uwolniony chwilowo ze swoich nałogowych ciągłych pożądań cielesnej piękności kobiecej — Jurek tajał cały w lubych duchowych wspomnieniach dziecięcych: Słyszał stale głos matki, która kochała go jedynie na świecie tak, jak nikt go już kochać nie będzie. A we wszystkich tych mło-

dziennezych wizjach tuż obok matki jaśniała cicha postać czystego i dobrego przyjaciela, który całe życie u stóp Jurka złożył.

I w żarze maligny, która swojem jasnowidzeniem rozświećlała dawną ciemnotę zdrowego nałogowca — zajaśniały teraz wszystkie ofiary Pawełka, na każdym kroku: Owe ostre kary moskiewskiego belfra za napisanie na mankiecie przysłówków łacińskich: Ante, apud, ad, adversus... I ta kilkogodzinna koza za utajenie autora rysunku na tablicy... I to niezdradzanie tajemnicy mieszkania Aurelki przed Witoldem. I to kwitowanie z filologii i z marzeń uniwersyteckich, aby — pogodzony z nienawistną mu przyszłością urzędnika bankowego i kupca — mógł pomagać mu korepetycjami w 6-o klasowej szkole realnej!

— A jego żeniaczka z brzydką panną, której zaślubić mi się nie chciało, bo wpadła mi w oko jej piękna kuzynka, przeznaczona przecież dla Pawełka?

— Tak na każdym kroku, od dzieciństwa do mogiły.

I Jurka tyranizuje myśl, że nie potrafi teraz wśród swej niemocy wyrazić uczuć, w których tonie, jak w rozkosznej kąpieli z wonnych, czarownych kwiatów.

I chory przypatruje się tym kwiatom niedomkniętymi, zmęczonemi maligną oczami: Kwiaty

te spadają deszczem drobnych perełek i gwiazdkami z brylantów...

— Skąd one się tu wszystkie wzięły? Co to za kwiaty, perełki i gwiazdki z brylantów?

To — niewypowiadane dobre myśli ludzkie... To wszystko — niewypowiadane dobre myśli ludzkie...

I choremu do głowy nie wpadło, że kiedy wyzdrowieje, tembardziej nie potrafi wyrazić przyjacielowi tych myśli, nie mieszczących się w morwie życia potocznego; utoną one wraz z czarem kwiatów i brylantowych blasków fantasmagorji.

Lecz Pawełek nie dba o tę zapłatę — wsłuchany ślepo w despotyczne kaprysy chorego śród nocy.

— Wody! Poprawić poduszkę! Nie Lilka. Ona nie potrafi. Panna Petronela niech już idzie spać. Tylko Pawełek! Jezus Marja! Nie stąpajcie tak ciężko! — jęczał, czując w złamanej goleni każde ugięcie się podłogi i każde dotknięcie krawędzi łóżka — czemu, kiedy Pawełek chodzi, nie mi nie dolega?

Pawełek, stale przeświadczony, że nie ekspansuje w swoim życiu setnej części tkwiącej w nim dobroci i złości, uczuwał skrzydlatą ulgę w tem nowem ujściu nagromadzonych w jego duszy skarbów uczucia, które tem bardziej mu ciążyły, iż — zupełnie niezdolny do nienawiści — nie wydobywał nigdy z siebie impetyzmu.

I wnet w swoim stałym self control począł nad łożem chorego wśród ciszy nocnej poswojemu przewartościowywać nakazy moralne:

— Bo należy niby kochać wszystkich pospół; naturalnie. Lecz z osobna — od biedy jedynie rodzonego brata; a przyjaciela — to już dziwactwo, a raczej anormalność. Już raczej ostatnią heterę, bo to świadczy o temperamencie, przed którym wszyscy uchylają czoła. Zaś ckliwość przeżytych pospół lat dziecięcych jest poprostu śmieszna, jeśli nie zagadkową. Ha! Trudno! Jestem już takim, jakim jestem. Na to rady niema.

Pani Lilka nie zrażona brutalnością chorego, usadowiona zdążyła, aby nie razić go swoją obecnością — nie odstępowała — pomimo swego hedonistycznego kultu jedynie dla zdrowia i pogody — od łoża małżonka.

Coś ją do tego zacisznego pokoju z niezdrową atmosferą lekarstw ciągnęło. Nie poczuwała się nigdy do spełniania jakichkolwiek uciążliwych obowiązków; tembardziej nie uważała się za stworzoną do roli pielęgniarzki. Więc skąd ta nagle metamorfoza?

— Skąd? — objaśniłby jaki zręczny agent policyjny. — Trzeba w każdej kobiecej sprawie szukać... mężczyzny.

Rzecz prosta, że ani starej pannie Petroneli, ani Pawełkowi, przykładającemu swemi kobiecemi rękami kompresy i poprawiającemu podusz-

ki — nie wpadło do głowy konstatować wśród ci-
szy i ciemni nocy tego faktu, że pewna para ko-
biecych pięknych niebieskich oczu napawa się
miękością ruchów dobrego człowieka, który tak
uległe pielęgnuje całymi nocami chorego przyja-
ciela. To nie był rak na bezrybiu, lecz typ męż-
czyzny, jakiego zdumiona pani Lilka dotąd w ży-
ciu nie spotkała.

Ta dobroć bez żdźbła zółci, cierpliwość bez za-
dnych podkreślań poświęcania się, altruizm bez
pozy wzbudzania podziwu — podniecał wiecznie
zaciekawione zmysły pani Lilki tak, jak każdy
egzotyzm; jak coś dalekiego, czego jeszcze dotąd
zblizka się nie widziało. Tak, jak w dalekich kra-
jach działa na nas nie tylko odrębność pejzażu,
klimatu, roślinności, lecz i inne zwyczaje, inna
rasa, inna parafja, inna psychologia.

I te samorodne, nie premedytowane objawy
dobrej duszy Pawełka, jego biała twarz o smu-
tnych uduchowionych oczach i ten wyrozumiały
pół-uśmiech wązkich ust działały w półtonach
nocnego abażuru sypialnianej lampy stokroć po-
nętniej, niż wyzywające miny patentowanych
donżuanów.

— Pojmuję — przemknęło po głowie pani Lil-
ki — psychologię Putyfary.

I, siedząc w fotelu przy oknie zdala od łoża
jężącego męża, całymi nocami, upierała się w za-
ciętem niemem prowokowaniu. Nie zrażało jej

niedoświadczenie Józefa, który w swoim przejęciu się rozkapryszonym chorym — nie przestawał ani na chwilę zmieniać mu worków z lodem, zmuszał do przyjmowania łyżeczek z lekarstwem i mierzył temperaturę, notowaną na kartkach z niezmordowaną dokładnością biuralisty.

— Kafelki z pieca, gruszki na wierzbie! — powtarzała sobie epitety Marylki uparta pani Lilka — wreszcie zadecydowała bardzo stanowczo z ufnością w swoją siłę pięknej kobiety:

— Wprawdzie nie wdrapywałam się nigdy na drzewa, lecz nie zdarzyło mi się dotąd, abym nie dosięgła w razie, kiedy mi na czymś zależało. — Caramba! — zakłęła po swojemu. — Tak źle chyba jeszcze ze mną nie jest — uśmiechnęła się do ginącego w półmroku lustra. — Przecież on ostatecznie jest chyba także tylko mężczyzną. Wierzę bardziej w uświadomienie intuicyjne Marylki, niż w oszczerstwa Jureczka. Od tego są przyjaciele, aby najbliższych nie doceniali. Ten niezdara ma jednak dwoje dzieci, najniezawodniej własnych, bo by innego ojca dla nich Lola nie znalazła. A o dzieciach zucha Jureczka dotąd nie słyszałam. A jeszcze w dodatku z Lolą! No, dziękuję. Biedaczysko!

I naraz pod wpływem niewytłumaczonej i nie własnowolnej asocjacji myśli poczęła ni stąd ni zowąd kielkować w jej głowie ulubiona piosenka Jurka, który wypisał ją specjalnie z Paryża dla

żony i nauczył jej z ogromnym tinglowem zacięciem panią Lilkę — podług wzoru zapożyczonego z Folies bergères w interpretacji „tout ce qui a de plus canaille“ młodziutkiej panny Ivetty Guilbert.

Piosenka ta o dwóch współnikach, mieszkających we wspólnym domu: panu Dupond i panu Dufond głosiła: ogród, stangret i kucharz pana Dupond były ogrodem, stangretem i kucharzem pana Dufond. Tak samo, kwiaty, konie, owoce pana Dufond i t. d. A w ostatniej zwrotce panna Ivetta z bajeczną pensjonarską minką konkludowała: A żona pana Dupond była żoną pana Dufond, a dzieci pana Dufond były dziećmi pana Dupond...

— O! Biedny Jureczek! — roześmiała się prawie głośno. — Nie zazdroszczę mu żony pana Dufond. Bo ta biedna Lola w negliżu. Brr... A dzieci pana Dufond... Boki zrywać!

V

Brzydka już zupełnie, zaniedbana i zestarzała pani Lola przez długi czas świeciła w swoim jardin secret wspomnienia o zamienianych z Jurkiem rozkosznych pocałunkach na owym pamiętnym wieczorze, który ongi poprzedzał dzień jej zaręczyn i niedoszłego zamążpójścia z miłości...

Pani Lola wykreśliła już oddawna tę świętość

ze swego kalendarza. I nieraz, wyczerpawszy tematy oskarżania pani Lilki, skierowywała dla rozmaitości nienawistne pociski w stronę Jurka:

— Prawda, że w Lilce tkwiła już w jej krwi odziedziczona po rodzicach płochość, która jednak pod dobrymi wpływami moralnemi — mogłaby wyszlachetnić. Lecz nawet z najszlachetniejszego gniazda kobieta pod kierunkiem takiego męża musiała by przemienić się w Carmenę. Przecież to on sam zapoznał ją z gabinetami i z szampanem. To on uczył żonę tych bezecnych piosenek tinglowych. I który z mężów żarcikuje w ten sposób z żoną przy obcych ludziach? Te pieszczoty, zresztą zupełnie nieszczere, są właściwe z metresą, lecz nie z żoną. Zresztą, gdybyż faktycznie tak bardzo się kochali — to przecież nie zdradzaliby się wzajemnie — on — ją, a ona — jego.

Pani doktorowa przyznawała pani dziedzicze, że nie widziała w życiu nic podobnego.

— Naturalnie — potwierdziła pani buchalterowa. — Bo można albo kochać i wtedy już nie zdradza się. Albo jeśli się zdradza — to pocóż ta komedja czulących się wiecznie turkaweczek?

Lecz teraz nienawiść pani Loli ku Jurkowi odnalazła bardziej realistyczne podstawy. Bo oto Jurkowi nie wystarczała ani znaczna inżynierska pensja, ani dywidendy, ani premja, ani zaliczki. Wszystko, jak dziurawy worek, pochłaniała anarchja jego życia, hulanki, wino, metresy i żona,

która jak zwykle w podobnych razach każe sobie w roli „zdradzanej ofiary“ opłacać hojnie pozadomowe zabawy męża.

Jurek wystawiał weksle lichwiarskie, bardzo uciążliwe i bardzo kompromitujące z coraz częstszymi protestami, z widmem sekwestru jego akcji, z grożącą subhastacją, komornikiem i t. p.

Uświadomieni akcjonariusze nie szczędzili wymówek w tym względzie, skierowanych bezpośrednio nie ku sympatycznemu szalawile Jurkowi, lecz ku „głowie“ firmy. I Pawelek zdecydował się ostatecznie dla uniknięcia skandalu uregulować wszystkich wierzycieli Jurka uciulaną mozolnie sumą, zahipotekowaną na posiadłości „pani dziedziczki“, która przeznaczyła te ulokowane oszczędności męża na posag dla ich córki Kazi. Pozbawionemu zaś dywidend od swoich przechulanych już akcji Jurkowi, znajdujących się od niedawna w rękach ratującego go od sromu przyjaciela — Pawelek wyrobił na ogólnem zebraniu akcjonariuszów znaczną podwyżkę jego inżynierskiej pensji. Wzamian pan dyrektor Szylert kwitował z przyobiecanej mu oddawna przez zarząd fabryki tantjemy za szczególne osobiste zasługi dla dobra firmy.

Pani Lola, dowiedziawszy się o tej całej tranzakcji od swoich szpiegów — wpadła w szal. Z całym arsenałem łez, spazmów i wrzasków, skierowanych w stronę winowajcy wszystkich swoich

nieszczęść, t. j. męża, zaczęła wzorem wszystkich żon od Adama i od Ewy:

— Przez całe życie nie usłyszałam jednego miłszego słowa. Boś nie miał na to nigdy czasu, aby być mężem i ojcem własnych dzieci. Nie znałam jednej chwili szczęścia od czasu zamążpójścia. Zapomniałam, co jest teatr, co jest zabawa. Nie sprawiłam ani jednej balowej sukni. Całe życie harowałam na równi ze służbą od rana do nocy. Podczas kiedy ty spędzałeś chwile wytchnienia jedynie w ich domu. Bo tam było wesoło! Za pieniądze, zapracowane kosztem twego zdrowia i humoru, którym błyszczałeś jedynie w salonach tej ladacznicy i tego alfonsa! A dla mnie pozostawało jedynie pielęgnowanie męża, kiedy pozostawałeś w domu — chory z przepracowania dla państwa inżynierstwa. Musiałam przygotowywać bieliznę, pantofle, pamiętać o obiedzie i o lekcjach dzieci. Nie mogłam jaśnieć wtedy wdziękiem i humorem, jaki nabywa się po szampańskim winie w gabinetach i po schadzках z kochankami. Znosiłam to wszystko z tajoną uległością niewolnicy — przechwalała się upojoną własną wymową. — Godziłam się na ofiarę całego mego zmarnowanego życia. Lecz, przepraszam, teraz tu nie chodzi już o mnie; chodzi o przyszły los mojej córki, która za kilka lat będzie już dorosłą panną na wydaniu. Zniszczyć własnych dzieci nie pozwolę. To podłość spłacać

posagiem Kazi grzechy łotrostwa tych nędzników, którzy chcą stać się nie tylko zgubą mojego życia, lecz i moich dzieci. Posag panny na wydaniu powinien być umieszczony na pewnej hipotece, a nie w akcjach fabryki, rządzonej przez ludzi takiej moralności, jak twój przyjaciel. Nie miałeś prawa przeznaczać tych usuniętych z hipoteki pieniędzy na inne cele. Pamiętaj, aby ręka Boska nie dosięgła i ciebie za wszystkie grzechy, jakich dopuszczasz się względem własnej żony i rodzonnego potomstwa — powtórzyła ponownie swój atak płaczu i szlochań.

Pawełek pochylił aż głowę od trafności niektórych pocisków. Żona miała słuszość. Nawet jeśli dostrzegał, że jego dzieci nie są zupełnie takie, jakimi by je widzieć pragnął — to nie usprawiedliwiał go wcale fakt, iż okazywał im za mało uczucia. Bo dzieci przecież nie są nigdy identycznie takie, o jakich się marzyło. A jednak pomimo to, kocha się takimi, jakie są. Tak samo i żona, jako spełniona już rzeczywistość — nie jest nigdy podobną do wyśnionych marzeń. A czy biuro jest podobne do takiego, jakiego by sobie życzył? A całe życie jest takie, jakiego by pragnął?

Lecz jakież poważniejsze zarzuty mógł żonie uczynić? Czy jest złą matką, czy jest szukającą poza domem płochą kokietką? Czy faktycznie nie poświęca całego życia domowi, gospodarstwu

i jego dzieciom? Przecież ona ma słuszość, iż on czuje się dobrze faktycznie jedynie u Jurków, którzy przecież także nie są bez zarzutu. Broniąc się od bezkrytycznego kultu, pomimo całej swojej uczuciowości — zdawał sobie z własnych win sprawę:

— Tak, tak — borykał się w tych sprzecznościach, w których obie nieprzyjacielskie strony miały i swoje winy i swoje słuszości. — To wszystko prawda, a jednak...

A jednak afekt wziął górę. Coś silniejszego od logiki i od sprawiedliwości łączyło go z Jurkiem: To była świętość wspomnień dziecięcych. Owa pierwsza wizyta Jurka, złożona jego ś. p. matce w czytelni na Lesznie, kiedy on sam, z poświęcenia się dla kolegi, przesiadywał gimnazjalną kozę. Następnie owe zachwyty Bubuśki nad wytwornością młodego koleżki — paniczka, który z takim szacunkiem pocałował biedną skromną kobietę w rękę, w tę drogą spracowaną rękę, która warzyła swemu pisklęciu pokarm w norze poza sklepem przy łóżku.

I te zabawy wspólne przy ulicy Inflanckiej, bocznej odnodze Pokornej, stanowiącej St. Germain całej dzielnicy, ciągnącej się hen ku rogatom marymonckim! O! Ten palant, na podwórzu dworku Szałowskich, i te bicia dziecięcych serduszek, kiedy, hazardując ostatnią stawkę, rzucało się piłkę i biegło dla ocalenia „bachorów“.

Jak stado ptactwa, pędem aż do mety! Zręcznym odruchem „jako bachor“ wiwinąłeś się od pocisku skierowanej w ciebie piłki! Honor Jurka ocalony! Partja wygrana!

A potem te wszystkie życiowe etapy: śmierć matki i zgon rodziców Jurka... A potem ta galerja w Rozmaitościach, pierwsze kochanki, biuro bankowe, inauguracja fabryki i wspólne konkury...

Takie wspomnienia — to puklerz nielada. Spazmy też i płacze pani Loli na nic się nie zdały. Pojęła, że to praca nie byle jaka — pozrywać te wszystkie młodzieńcze więzy, o które tak zazdrośną bywa każda żona, nie tolerująca ani sekundy męzowskiego życia bez jej udziału — pełna wiecznej niechęci dla jego rodziców, sióstr i starych kawalerskich przyjaciół.

Przekonawszy się, że Pawełek tak wyrozumiale godzi się na wszystkie najdokładniej znane mu przewinienia swego przyjaciela, pani Lola z zaciętością kobiecą nie dała za wygraną — przeświadczona, że należy wymyśleć nowe pociski. A czas i okoliczności najlepiej sprzyjają wszelkim taktykom.

Zdarzyło się, że wkrótce potem Krzysia pokłóciła się zupełnie serjo ze swoją panią, z którą dotąd tak zażyłe łączyły ją stosunki. Bo pani Lilka tolerowała wprawdzie nieco późne wizyty przyjaciela Krzysi, subiekta z okolicznego sklepu kolonialnego. Lecz paląc za sobą nierozważnie mo-

sty, nie mogła powstrzymać się od wybuchu gniewu wobec nielegalnie używanego przez Krzysię dla uczczenia wizyt pana subiekta peniuaru pani Lilki.

Znalazła też w kufrze swojej powiernicy zapasy skradzionych perfum, pudru i pomadek do ust, także widocznie dla uczczenia tegoż przyjaciela ze sklepu kolonialnego. I pani Lilka w nieobliczalnym impecie — wymówiła Krzysi służbę.

A że żonę Pawełka nęciło zawsze wszystko, co posiadała „pani Dufond“ — pani Lola przyjęła natychmiast wydaloną od Jurków Krzysię do swego domu — w nieświadomem może przeczuciu, że jej bliźnia wyrozumiałość dla udowodnionych win wydalonej pokojówki będzie w przyszłości hojnie wynagrodzoną.

I faktycznie Krzysia, nie mogąc strawić żalu do swej pani, nie odczuwającej, że całą winą niewolnicy było jedynie pragnienie stania się podobną do swej mistrzyni — postanowiła zemścić się. Czuła zresztą żal nietylko do swojej niewdzięcznej pani, lecz stokroć większy do stokroć niewdzięczniejszego Jurka. Był to ów zwykły bezmierny, mściwy żal kobiety do mężczyzny, który demonstracyjnie nie chciał domyśleć się, iż ona, nie gorsza od burżujek, kochała go skrycie, a jeszcze i dotąd, nienawidząc, kochać go nie przestała. Niestety bez żdźbła wzajemności. Cierpliwość Krzysi wyczerpała się. Ach! Ci burżuje!

Z największem okrucieństwem obala się bogi, dla których czuło się kult, a które nas zawiodły. I Krzysia poczęła... plotkować.

I tak już ogromnie uświadomiona w kwestji alkowianych tajemnic swoich sąsiadów — pani Lola zbogaciła teraz swoją wiedzę nieznanemi jej dotąd nazwiskami kochanków pani Lilki i kochanek Jurka.

Lecz ku własnemu zdumieniu uczuła się na punkcie tych sensacji zblazowaną: Opinia kieruje się tylko pewną normą, poza którą już dalej nie sięga: Trzech kochanków to prawie więcej, niż trzydziestu.

I pani Lola pojęła doskonale, że i Pawełek, kierowany tą samą etyką, nie żdziwi się, ani oburzy z powodu nieznanych mu dotąd przewinień, skoro tyle innych z tej samej beczki już strawił.

— Takim wszystko już wolno! — machnęła ręką pani Lola, kwitując już z tych grot erotycznych — w poszukiwaniu innego rodzaju broni, dotąd nie wyzyskanej. Śród walk — nie wybiera się broni. Wszystko jedno — łódź podwodna, czy gazy trujące. Mściwa Krzysia, w ogromnych obecnich łaskach u swojej nowej pani — nie przestawała plotkować, drażniąc rozkrwawione wiecznie rany pani Loli szpileczkami złośliwych doniesień, aż chora usta z bólu zagryzała. Dopiero teraz dowiedziała się pani Lola, że u Jurków nie nazywają jej inaczej, jak z sarkastycznym przeką-

sem „panią dziedziczką“ a jej zakupiony skrawek ziemi — „kluczem z dziada pradziada“. Lecz podrażniona pani Lola śledziła głównie oszczerstwa, które mogłyby stać się w jej rękach bronią odwetu. I dopiero pewnego ranka śród ceremonjału rozczesywania przez pokojówkę jej rzadkich włosów — wsłuchana w plotki Krzysi — uderzyła się palcem w głowę — niezdolna do wykrzyknienia klasycznego: Eureka!

Bo choć u Jurków ceniono bardzo umysł i charakter Pawełka, obmawiano go zwyczajem wszystkich bliźnich — poza plecami. Pani Lola wiedziała, zarówno jak całe otoczenie, iż Pawełek od czasów dzieciństwa był przesadnie wrażliwym, szczególnie na zimne drwiny, tembardziej, kiedy spadały na niego od ludzi, których chciał kochać. Nie obrażał się wtedy, lecz gorzej: zrażał się i cierpiał.

I pani Lola poczęła gromadzić swój arsenał, coraz nowe miny, armaty, całe góry prochu. Teraz była już pewną swego zwycięstwa. Dziś właśnie dowiedziała się od Krzysi, jak Jurek doskonale imituje niezgrabny chód Pawełka, jego drobne krocзки, jakimi po kobiecemu wysuwał pospiesznie cienkie nóżki; jego zmrużanie oczu, chrząkanie, jąkanie się, głośnie wycieranie nosa i specjalny jego sposób posługiwania się nożem i widelcem przy jedzeniu. Podobno wszyscy dokoła

śródt tych popisów Jurkowych pokładali się ze śmiechu.

Krzysia nie kłamała. Zmieniała jedynie ton, który stanowi jednak znaczenie pieśni. Bo w tych żartach nie tkwił w istocie jad, jeno zwykła złośliwość oszczerstw, któremi dla zabicia czasu ludzie obrzucają nieobecnych, tak zwanych przyjaciół, a w gruncie najobojętniejszych nam bliźnich.

Cały dom był też wtajemniczony przez Jurka, iż w szkole nazywano ogólnie Pawełka panienką. Cały dom nie nazywał go też obecnie inaczej, jak babą i, choć przyznawano mu pewien estetyzm w lubowaniu się dobrze skrojonym ciemnym tużurkiem i śnieżną, zawsze bielizną, lecz wyśmiewano jego sknerstwo nicowanych wiecznie ubrań, zelowanych trzewików, pranych rękawiczek i odświeżanych kapeluszy.

Wyszydzano też jego pasję bronienia nieobecnych, konstatowania plam na słońcu zarówno, jak światła w cieniach i przesadną drażliwość naskórka.

I pani Marylka, zanim się w nim zakochała, przez długi czas znieść go nie mogła; i wszyscy inni, choć przyznawali mu wiele zalet, godzili się iż krępował swoją powagą całe towarzystwo. Zdarzało się nawet nieraz, że, kiedy śród zbyt już ożywionej ogólnej zabawy, spostrzegano go zakradającego się z fabryki ku ich mieszkaniu — pani Ma-

rylka proponowała, aby zapuścić story w oświetlonych oknach i aby Krysia oświadczyła, że państwa w domu niema. Wszyscy zachwycali się tym pomysłem, protestowanym przez Jurka pojednawczo:

— Trudno, trzeba godzić się nieraz na piłę. Bo nie znacie tej baby. Gdyby dowiedział się o tem — gotówby rozplakać się z żalu. Jest tak tkliwy i uczuciowy.

— Uczuciowy? — zaprotestowały jakoby damy. — To jest bryła lodu.

— Przeciwnie — drwinkował Jurek w interpretacji Krzysi — Pawełek zakochiwał się czasami, lecz zawsze w tych samych kobietach, do których i ja się zalecałem.

— O! Biedny Jureczek posiadał tak groźnego rywala?

— No! — miał roześmiać się wyniośle Jurek — ostateczne zwycięstwo było zawsze po mojej stronie.

— Biedne mrużysko! Więc on nie posiadał nigdy żadnej kochanki?

— Przeciwnie. Lecz musiały mu zawsze wystarczać jedynie brzydkie kuzynki moich kochanek — pastwił się podobno nad nieobecnym przyjaciół Jurek z tą wyniosłą pogardą, pod którą wszystkie płocze koniki polne ukrywają zawiść w stosunku do pracowitych mrówek.

— O! Bardzo cię przepraszam — ujęła się jako-

by z udaną urazą pani Lilka — proszę nie obmawiać mojej kuzynki Loli. Bo ani ja nie byłam nigdy twoją kochanką, ani Lola nie jest żadną pastraną.

Wysłuchana w te plotki Krzysi pani Lola zagryzała do krwi wargi z powodu niewłaściwości cytowania szczegółów tej ostatniej rozmowy.

— Trudno żądać delikatności od pokojówek — pocieszała się, ciągnąc Krzysię za język — niezmordowana w zbogaceniu arsenału, którym zamierzała ewentualnie powalić swoich wrogów.

Przybyła nowa rewelacja Krzysi. Spoufalcona pokojówka (ze zdumiewającą obserwacją, której nie wystrzegano się w domu lekkoduchów) — wywnioskowała, że głęboka niechęć pod płaszczykiem ironji i sarkazmu pana inżyniera ku panu dyrektorowi — wzrosła znacznie w ostatnich czasach.

Krzysia nie domyślała się powodu.

— Co? Jeszcze wzrosła w ostatnich czasach? Nie! Wicie państwo, to już szczyt wszystkiego! — zasyczała pani Lola. — To wdzięczność za to, że ocalił go posagiem mojej córki od zguby!

Są dwa przysłowia o kobietach: jedno francuskie, wspominające coś o Bogu, i drugie polskie — o djable. Pani Lola wybrała drogę, na którą sam diabeł, nie mogąc — ją posłał. W tym celu wynalazła truciznę, działającą nie odrazu, lecz zadawaną choremu codziennie po łyżeczce.

Chory, choć ten arszenik niby trawił, lecz bladł, tracił sen i apetyt, a wyraz jego oczu zdradzał męczarnię.

— Przecież z palca sobie Krzysia tego wszystkiego nie wyssała. — Oto jak zrozumiano tę całą twoją akcję ratowniczą! Oto wdzięczność za to, żeś potem własnej pracy karmił przez całe życie próżniaków, których wydobyłeś z kleszczy lichwiarzy.

Pawełek mrugał oczami, wycierał głośniejsze, niż kiedykolwiek, nos i poruszał konwulsyjnie rękami.

Lecz pani Lola z okrucieństwem chirurga, dążąc bezlitośnie do wycięcia gangreny — skierowała ostrza w najbardziej zaognione jądra rany. I w tym celu dobyła z wciąż bogacącego się inwentarza swojej apteczki nowy, najostrzejszy środek — który nie mógł podlegać żadnej wątpliwości wobec autentycznych szczegółów domowych, znanych jedynie obu starym przyjaciółom. Wyostrzony ten lancet syczał:

Oto Pawełek (w stałych krotochwilnych interpretacjach Jurka) miał, według relacji Krzysi, przypominać, jak dwie krople wody, swoją zmarłą matkę, jeszcze stokroć brzydszą i komiczniejszą od syna.

To po swojej matce oddziedziczył Pawełek ten niezgrabny chód, zmrużanie oczu, głośne ucieranie nosa i cudacki sposób manipulowania widel-

cem i nożem. Były to wszystko manjery z Leszna, inspirowane przez małą mieszczkę z Pragi, udającą podupadłą damę z towarzystwa, za którą wszyscy odwracali się ze śmiechem na ulicy, kiedy wychodziła w niedzielę w uroczystych nicowanych szatach i w kapeluszu własnego pomysłu i mody.

Oto Pawełek, według opinii Jurka, interpretowanej przez Krzysię i cały swój romantyzm oddziedziczył po tej właścicielce czytelni, a raczej rupieciarni starych, zatłuszczonych z wybrakowanymi kartkami romansideł. Wszystkie kumoszki wiedziały, że jego matka, naczytawszy się różnych Marcinów Podrzutków, Rodzin Romarierta i Rubinowych cystern — uroiła sobie, iż jakiś bezdzietny szpakowaty aptekarz wdowiec zamierza ją zaślubić, a Pawełkowi zapisze cały majątek. Kumoszki domyślały się, że ten wdowiec, zarówno jak jego zamiejski dom z ogródkiem i konie, któremi Pawełek miał jeździć codziennie do szkół, są wyśnione z przeczytanych romansów. I naigrawały się z suchotnicy, która im bliżej czuła się grobu, tem częściej lubowała się w tem oczadzaniu się chimerami.

— Patrzcie państwo, co za los u schyłku życia — drwinkowały kumoszki. — A gdzie jest właściwie ta jego apteka i jak on się nazywa? I kiedyż da już na zapowiedzi?

— Tak, tak, to wszystko prawda — musiał Pa-

wetek wierzyć w te zasłyszane przez Krzysię rewelacje, udzielane następnie pani Loli, bo sam przypomina sobie teraz matczyne opowiadania o aptekarzu, którego nigdy — rzecz prosta — nie widział.

— Moja biedna Bubuśka jedyna — wyśmiana, wyszydzana! — zakotłowało Pawełkowi w mózgu, jak w hali maszyn, kiedy naraz puszczają w bieg wszystkie tokarnie, walcownie ze wszystkimi transmisjami o sile setek parowych koni.

— Nareszcie dziś dowiedziałam się — dobijała go ostatnim ciosem mściwa pani Lola — co jest powodem tej niechęci ku tobie „twoich najserdeczniejszych“. Oto dziś dopiero mam informacje z najpewniejszych źródeł, że ich ubodło, czy wiesz co? Oto ofiara, jaką im złożyłeś z posagu twojej córki.

— Jakto? Nie rozumiem — wybełkotał oczadzony Pawełek.

— Jurek pienieł się, że gwoli swojej ambicji dorobkiewicza, chcącego pozbyć się współnika — pozbawiłeś go jego akcji. Zniżyłeś dawne jego stanowisko współwłaściciela do roli zwykłego najmity, którego teraz za poruszeniem palca można będzie pozbyć się z fabryki. Zapomniał przytem biedaczysko, że te akcje oddawna już nie należały do niego, lecz do żydów, lichwiarzy, którzy za te pieniądze umożliwiali mu zabawy w gabine-
tach z szampanem z przyjaciółmi i z kokotami.

— Zapomniał, że ci jego starozakonni dobroczyńcy grozili mu nietylko ostateczną ruiną, lecz kompromitacją i skandalem — terkotała mu nad głową w ten sposób od godziny.

Pawełek nie mrugał tym razem oczami, nie zaciskał swoim zwyczajem rąk, nie chrząkał nerwowo. Dawka lekarstwa okazała się zbyt silną. Cóż z tego, że operacja się udała, kiedy chory z bólu konał. Powlókł się, jak raniony zwierz, do swojej biurowej nory. Prawda, że oddziedziczył po matce łatwość łzawienia się oczu. Lecz te kompromitujące jego męskość łzy wypływały mu jedynie na widok rannego psiaka lub w teatrze na dźwięk minorów lub rzewności kantyleny. Lecz kiedy prawdziwa rozpacz wśród czterech ścian go tarmosiła — oczy jego całemi bezsennymi nocami pozostawały suche, jak badyle pustyni.

— Konia z rzędem za ożywczą rosę, królestwo za łzę! — miał ochotę wykrzyknąć, warjując z bólu z uczuciem, że wściekle psy rozszarpały mu na kawały duszę. Bo oto najbliższy mu na świecie człowiek, z którym łączyły go najświętsze wspomnienia dzieciństwa, człowiek, któremu poświęcił tyle myśli w swoim życiu, poniósł tyle ofiar — oplwał zaocznie wśród obcych szyderców nie tylko jego samego, lecz całą świątynię wraz z ustawionem w niej bóstwem. Wyśmiał Leszno i Bubuškę. Oszaleć można.

— O! Życie, życie, życie! — dyszał ciężko, nie

zdając sobie sprawy, czy ten brak oddechu jest skutkiem przedwczesnej rozedmy płuc, czy też osłabieniem mięśni sercowych.

— Nie, nie! — buntował się przeciwko tej męce. — Lola nie powinna była nawet dla mojego dobra leczyć mnie takimi końskimi środkami. Prawda jest zbyt okrutną. Nie można żyć bez złudzeń; raczej być okłamywanym do końca życia. Przecież to już niedługo. Krzysia, tylko patrzeć, jak pokłóci się z Lolą. Wtedy z kolei spadną gromy pozaplecowego cynizmu oskarżeń Loli, Zyzia i Kazi, jak to znów oni odzywają się o mnie i o mojej matce poza mojemi plecami. Będę już wtedy najdokładniej uświadomiony co do wszystkich najbliższych. Nie chcę dalszych uświadomień. Nie chcę prawdy. Boję się...

Powrócił myślą do jedynej na świecie istoty, która nie osądzała, bo go kochała:

— Moja śmieszna ukochana, święta Bubuska! — zawodził, beznadziejnie kiwając zmęczoną głowę, z rękami, złożonemi, jak do modlitwy.

— Potem mrówczych rączyn i mrówczego mózgu wykarmiłaś i wychowałaś człowieka, może małego i słabego, lecz bez plamy. A dobry, czysty człowiek — to wielka rzecz! Nie wyhoduje go nigdy guwerner w książęcym pałacu, lecz jedynie skrzydło kochającej śmiesznej biednej starej matki. Bubuska! Odgadłaś, że będę w życiu wiecznie sam. Lecz nie wątpiłaś, że pozostanę czy-

stym, wiecznie czystym — wzdrygnął się naraz w złych przeczuciach, uświadomiony co do własnych wad: słabości, ambicji i przesadnej wrażliwości. A złość ludzka bywa w obcowaniu tak zaraźliwą — wzdrygnął na myśl w wiecznej obawie zabłocenia się. — Przecież gdybym nie mógł szczycić się wśród tej mojej nory sam przed sobą tem, że jestem lepszy od innych — uważałbym się już nietylko za rozbitka, lecz za bankruta. I czy starczyłoby mi nawet wtedy sił do tego, aby stąd odejść? Nie wiem. Boję się...

VI

Pani Lilka nudziła się. Romans jej z Bolskim chylił się już oddawna ku upadkowi. Okazało się, jak zwykle w podobnych razach, iż dusze ich nie rozumiały się, charaktery okazały się zbyt różne. Pani Lilka — podług wyrażenia francuskiego — „miała miłość i wino — wesołe“, czyli pijana — lubiła śmiać się, a Bolski upojony — nabierał marsa i stawał się posepny. Miał miłość i wino — smutne.

— Powinien założyć sobie zakład pogrzebowy — żaliła się na niego przed mężem pani Lilka. — Nie wolno być do tego stopnia wiecznie niezadowolonym, prawda, Jureczku?

W ostatnich czasach jakaś nowa mucha Bolskiego ugryzła. Strzeliło mu do głowy być zazdro-

snym o Pawełka, choć powinien rozumieć, że zbyt jawne uprzejmości ze strony kobiet są mniej groźne od tajonych lub od afrontów. Lecz Boiski, rozgoryczony partyjnemi napaściami na jego działalność dramatopisarską, stał się faktycznie ostatniemi czasy nie do zniesienia. I bardzo nie-szczęśliwy wyprawiał kochance bardzo przykre sceny. Aż wreszcie wyczerpany żalem do współbraci — zwyczajem polskich poetów wyemigrował na żebraczą kilkoletnią tułaczkę do Paryża.

— Enfin seule — wykrzyknęła ze szczerą ulgą pani Lilka. Spadł jej kamień z serca. Lecz niebawem bez ciężaru tego kamienia poczęła się nudzić. Pozostał jej jedynie platoniczny Pawełek. Machnęła pogardliwie ręką. Jak każdej kobiecie, pragnącej nie poszukiwać, lecz być poszukiwaną — sprzykrzyło się wreszcie to pożądanie gruszek na wierzbie i wyciąganie rąk po zbyt wysoko umieszczone kafelki z pieca.

Zresztą opinia potrafi obrzydzać ideały; rzucone kalumnje trudno się odlepiają. Szczególniej ostatnie relacje Jurka w kwestji jakości nielicznych „bonnes fortunes“ Pawełka — ochłodziły znacznie płomiennność Putyfary względem opornego Józefa. Bo kobiecie może podobać się męczyzna najbrzydszy, lecz nigdy człowiek, który nie posiadał pięknych kochanek.

— Biedactwo! Dziedziczył jedynie pokraki, odrzucane przez Jurka! — litowała się nad nim

pani Lilka, jak nad istotą, godną tylko pożałowania, lecz niczego więcej. — Zwycięzać jedynie tę okropną Lolę nie jest przecież żadnym tryumfem. Niech sobie spoczywa w spokoju! Szczęść Boże dobranej parze! — wzruszyła wyniośle ramionami. — Dziedziczyć starzyznę po Loli brr... Dziękuję.

Lecz jej życiowy régime nie mógł długo obyć się bez jakiejś zakulisowej miłostki, tak nęcącej tym całym skomplikowanym repertuarem kłamstw i niebezpieczeństw zdrady małżeńskiej, do której tęskniła, jak ryba do cuchnącej wody.

Ta cała hipokryzja udawań, wykrętów, emocji, tajnych schadzek i ukrywanej kompromitującej korespondencji — stanowiły kwintesencję tego jej régime'u odaliski na musowym chwilowo urlopie. I, jak nudzący się w potocznem życiu nałogowiec — tęskniła do pijatyki.

Przykrzyło jej się to szare, codzienne wylegiwanie do południa, zapijanie w łóżku kawy z chrupaniem sucharków. I ta całogodzinna kąpiel, manikiura, ondulacja i nakładanie koronkowego penjuaru, w którym wskakiwała na kolana mężowi, przychodzącemu z fabryki na drugie śniadanie! Uściski przyjmowane przez Jurka już nie z tym entuzjazmem, co w latach miodowych! Ot, uściski dożywotnika! I to całodzienne następne dolce far niente z francuskimi romansidłami na kanapie wlokło się już z południowem iście

lenistwem aż do godziny 7-ej, kiedy wraz z dźwiękiem pary wypuszczanej z komina fabrycznego — mąż jej po skończonych zajęciach powracał do domu na obiad!

I ta bieganina za sprawunkami po magazynach, której kobiety znaczną część żywota zwykle poświęcają — nie nęciła jej; bo nie zależało jej na tem, aby podobać się mężowi, o którym wiedziała, że może wprowadzić wertować przeczytana książkę, lecz nie go w niej już nie zaciekawi. A już najmniej czasu zabierało jej małe domowe gospodarstwo, które przy dobrze wytrenowanej służbie zupełnie bez czynnego udziału gospodyni domu obywało się.

I znudzona pani Lilka poczęła znów marzyć o niedozwolonym szale, który nęcił ją swoją tajemniczością, kłamstwami, wykradaniem się z domu i awanturniczością przygód z obawą zdemaskowania. Znajdowała by znów cel strojenia swojej urody w piękne suknie, w uśmiechy, w pieśni i w spojrzenia. Mieszkanie zdobiłaby w kwiaty, a kuchnię w smakołyki. Porzuciłaby kanapę, kłopotowałaby się, cieszyła, martwiła... żyła...

Nareszcie zjawił się!

Pani Lilka poznała go w Dolinie Szwajcarskiej na balu, wydanym przez Stowarzyszenie Komedjomanów. Był to jeden z wielu powstałych, klubów, który pod przylepioną byle jaką marką — ukrywał różne towarzyskie męty dla propagandy

karcianych hazardów i różnych innych lukratywnych ciemnych sprawek.

Jurek miał nadzieję, iż pozna na tym balu wpadłą mu w oko pewną piękną rozwódkę, o której słyszał, iż była podobno ongi żoną rejenta z Kalisza i że nie oddawna zamieszkuje Warszawę z zamiarem wstąpienia do szkoły dramatycznej. Chcąc być zupełnie z nią korrekt, naśladowując rycerskość wielkich panów w hołdzie dla urody — przedstawił na balu ową piękną rozwódkę swojej żonie.

Wyrozumiała pani Lilka z przelotnym, znacząco pobłażliwym uśmiechem bez cienia zazdrości wyciągnęła do niej dłoń. Sama już zdążyła tego wieczoru zakochać się „na śmierć i życie“.

Ów nowy kandydat na Romea o nazwisku dziwnie brzmiącym: Arkadiusz Probierzko był jakoby studentem medycyny. Lecz wobec bojkotowanego przez młodzież polską rusyfikowanego uniwersytetu warszawskiego — nie chlubił się noszeniem czapeczki uniwersyteckiej, tak ongi ukochanej w opinii całej Warszawy, a szczególnie w sercach młodych Warszawianek.

Jedynie bardzo wyrozumiali toleranci, nie solidaryzując z łamistrajkami, patrzyli przez palce na tych nielicznych biedaków, którym nie starczało środków na zagraniczne studia, a którzy dla ideału wiedzy skazywali się na taczkę i kajdany nie tylko ciężkie, lecz i niepopularne.

Trzeba przyznać panu Arkadjuszowi, iż był wyjątkowo przystojnym zdrowym zuchem. Kształtny, śniady brunet o orlim nosie z ruchomemi nozdrzami, o czarnych, jak smoła, oczach, o silnych szczękach z białemi psimi zębami, jaśniającemi śród czerwieni zmysłowych warg zwierzęcą siłą — zmuszał do ogólnego stwierdzenia:

— A to ci piękna bestja!

Wiecznie w aureoli kłębow dymu papierosów, z którymi nie rozstawał się, nie silił się ani na intelektualizm, ani na galanterję, ani na uwodzenia donżuanów. Jego ofiary same do ramion mu się garnęły.

Pani Lilka dojrzała go w tłoku framugi, której prawie nie opuszczał, bo tańczył niechętnie i nieświeźnie. Dopiero spostrzegłszy błysk jej oczu i rumieniec, jakim go ta ładna blondynka obrzuciła, kazał przedstawić się jej specjalnie, aby móżdż w tańcu przyciskać ją do swych szerokich ramion. Pozatem znać było, iż bał go nudził. Porozumiał się w tym względzie z Jurkiem, któremu przedtem przedstawił się. Obaj panowie uczuli z miejsca ku sobie pewną sympatję. A że i piękna rozwódka utyskiwała, iż w tym ścisku tańczyć nie można, (a i środowisko, sądząc z nieświeżego zachowywania się dam, śród których niema żywej duszy znajomej, dość podejrzane) — całe towarzystwo zgodziło się, że ten cały bal jest shoking,

a cała publika — mówiąc po prostu — to zgraja hołoty.

— Lilko, czy nie uważasz — zaproponował Jurek — że byłoby najlepiej odrazu opuścić tę tanzbudę? Tylko że ja jestem wściekle głodny, a w twoim świetnie zagospodarowanym domu zapewne nawet głodna mysz dziś by się nie posiliła. Może by więc pojechać gdzie na jaki kotlet i kieliszek wina? Co? Może byś zaproponowała pani i panu Sergjuszowi, aby razem z nami pojechali. Jak uważasz?

— Ty wiesz — żarcikowała wytrenowana przez lekkomyślnego męża nie na przeciętną, czyli w jego pojęciu na nudną żonę, lecz na zabawną w gabinetach z szampanem soupeuse'ę — że każdy rozkaz mego pana i małżonka jest dla mnie świętym. Jeżeli tylko ty sobie tego życzysz — hamowała niezręcznie swoją radość.

— O! Wiem, ty złotowłosa Carmeno, która się poświęca.

— Nie wiem faktycznie, czy każda żona zgodziłaby się na twój projekt — dawała mu do poznania, że wie, iż chodzi mu o piękną rozwódkę — uszczęśliwiona jednak nadzieją spędzenia wieczoru z Sergjuszem.

— I ja nie wiem — odciął się, odgadując powód jej dzisiejszego rozbawienia — czy każdy mąż zgodziłby się spełniać twoje ukrywane pragnienia.

— Nie rozumiem tego cynizmu — zaczerwieniła się pani Lilka.

— Dobrze, dobrze. Teraz chodzi już jedynie — zwrócił się Jurek do pięknej rozwódki — czy pani godzi się na tę naszą propozycję?

— Ja i owszem. Lecz wątpię, czy ciocia zgodzi się jechać z nami. Jest taka śpiąca i zmęczona.

Lecz śpiąca i zmęczona kanapowa jakaś wymalowana stara ciocia zgodziła się od razu jechać sama do domu, zapewniwszy siostrzenicy opiekę Jurków, co do których, pomimo kwadransa znajomości — nabrała od razu ogromnego zaufania. A na bardzo ostrożną propozycję Jurka, czy może i ciocia zgodziłaby się swoją obecnością uświetnić towarzystwo — odcięła się ze wzruszającą godnością dawnych matron:

— Proszę pana, ja jeszcze nigdy w życiu w gabinecie restauracyjnym nie byłam.

Odwieziono ciocię do domu, i sprawa była załatwiona. Z panem Arkadjuszem — rzecz prosta — nawet takich ceregieli nie było, bo, asystując przy tych układach, sam się narzucił jeszcze przed propozycją Jurka, czy państwo pozwolą, aby im towarzyszyć, ponieważ i on jest bardzo głodny, a towarzystwo klubu Komedjomanów stanowczo mu nie odpowiada.

W gabinecie restauracyjnym po wódce i ostrzygach okazało się, iż towarzystwo niezależnie od świeżości stempla zapoznania i różności parafji —

jest jak na najlepszej drodze do zgrania się ze sobą — niby orkiestra po nastrojeniu już instrumentów. To — wino i powiew skrzydeł amora sprowadza ludzi z różnych planet do wspólnego mianownika.

Bo amor, choć nie nosi opaski na oczach, bywa bardzo wyrozumiały. I afektu Jurka ku pięknej rozwódce nie oziębiło wcale stwierdzenie, iż pani rejentowa z Kalisza jest nieco wulgarną i wcale nie zdradza odziedziczonego po cnotliwej ciotce nieuświadomienia debiutantki gabinetów restauracyjnych.

Nie przeszkadzało to jednak wcale Jurkowi podniecać się pod wpływem figlarnych chochlików bożka Amora tym nieznanym mu, odrębnym, nie warszawskim wdziękiem, jakiego dotąd nie spotykał: Inne dowcipy, prowincjonalna manjera, genre nie kokoty, nie aktorki i nie kobiety z towarzystwa.

I pani Lilka spostrzegła wnet, że pan Arkadiusz, choć jest zbliżka jeszcze przystojniejszym, niż w tłumie sali balowej, jednak nie jest ani zbyt rozmowny, ani interesujący, ani w obejściu gładki. Lecz milczy przyjemnie i uśmiech ma bardzo przebiegły.

— To nawet może być kanalja — przemknęło jej po głowie, kiedy zauważyła, że pan Arkadiusz lubi bardzo koniak, do którego jest przyzwycza-

jony i który zapija, jak wodę. — Czyżby miał być nałogowcem?

Bo sprawiał wrażenie człowieka, który dobry na strój i pewność siebie zawdzięcza jedynie kieliszkowi, bez którego nie ukazuje się światu od samego rana.

Lecz ta *sui generis* dezynwoltura i szczególny blask oczu przy niepospolitej jego urodzie wydał się przepalonemu smakowi pani Lilki djabelnie zniewalającym. I za podszeptem szatanów godziła się, że kanalja może nieraz bardziej nęcić kobietę, niż wszyscy stateczni mężczyźni razem.

Obawiała się jedynych powodów rozczarowania: aby nie był shoking, co jest gorszem od przestępstwa; aby nie okazał się śmiesznym, co jest gorszem od zbrodni. I przejęta obawą tych rozczarowań — zmonitowała męża ukradkiem wnet po przyjeździe, kiedy rozwódka poprawiała sobie włosy, a student pobiegł do szatni po jej etolę:

— Słuchaj Jurek, co by świat powiedział na tę naszą nocną eskapadę z ludźmi, których zaledwie poznaliśmy?

— Powiedziałby — odrzekł ze zwykłym swoim pełnym wdzięku, żartobliwym sarkazmem, pod którym niewiadomo, czy ukrywał mężowską ślepotę, czy też cyniczną ugodę rogacza — że jesteś najzacniejszą ofiarą męża brutala, którego dziwnym zachciankom musisz *contre coeur* ulegać.

— No, przecież nie ja nagle zakochałam się — broniła się półżartem w stałych quasi przekomarzaniach — w tej pani rejentowej z Kalisza, czy też z Radomia, której nazwiska nawet nie mogę spa pamiętać.

— Nie; to ja zakochałem się nagle w panu Arkadiuszu Probierzce, którego nazwiska nie mogę zapomnieć, ani wymówić.

— Ej! Bo ci oczy wydrapię, ty wstrętny cyniku. Dla ciebie niema nic świętego. Jak mamę najszczerzej kocham, on mi się wcale nie podoba.

— Wiem. Ty szalejesz jedynie za rozwódką z Radomia, a to ja zakochałem się w Arkadiuszu.

— Wiesz, idjota jesteś! — odcięła się po swojemu.

Lecz wszyscy dokoła, jak jeden mąż, musieli niebawem skonstatować, że towarzystwo dobrało się, jak w korcu maku, i że cały ten wieczór należy zaliczyć do najbardziej udanych.

Po koniaku i po węgrzynie zadysponowano szampana, do którego pan Arkadiusz dolewał sobie porteru. Humor dam rósł, jak na drożdżach. Pani Lilka śpiewała piosenkę o panu Dufond i pani Dupond. Rozwódka wygrywała na rozklekotanem pianinie jakieś odwieczne prowincjonalne polki i walce. Pan Arkadiusz zaprosił do tańca panią Lilkę, a potem przy akompaniamencie gwiżdżania studenta, który — podług określenia dam

gwizdał o wiele lepiej od słowika — zatańczono we dwie pary kadryla.

Jurek, ogromnie podochocony, za szematycznym już podszeptem szataników wyraził zwykłą męzowską ochotę wypicia „bruderschaftu“ z przyszłym kochankiem swojej żony, którego naraz faktycznie bardzo polubił.

— Arkadiusz — zaopinjował Jurek w różowym humorze — to brzmi zbyt przewlekłe. Będę cię nazywał Arką. Jesteś Arką, w której przewieziono wszystkie przedpotopowe zwierzęta, a raczej symbole odwiecznych bestji, mieszczących się w człowieku, począwszy od pradziadków Adasia i Ewuni, skończywszy na obecnych.

— Obecnych zawsze się wyklucza — zmonitowały Jurka damy.

— Wszystkie nasze złe skłonności: obżarstwo, pijaństwo, obłuda, zawiść, złość, kłamstwo i pożądanie żony bliźniego niech żyją! — wzniósł do góry kieliszek zupełnie podochocony już Jurek.

— Jurku, bracie mój — rzucił mu się w objęcia pan Arka, obstalowując jedną butelkę szampa za drugą. I panią Lilkę, trzeźwiejszą, pomimo zapijanego wina, od męża — radowała najbardziej jedna myśl: Nie rozczarowała się do Arki. Bo nawet przy bliższej analizie okazało się, że nie tylko piękna jego śniadość, rysunek kształtnego nosa, białość zębów i czerwień warg są bez zarzutu. Lecz nadto zdał wobec niej najostrejszy

egzamin ze wszystkich drobnych szczegółów, charakteryzujących indywidualność każdego osobnika. Te specjalne właściwości wpływają przecież, że podoba się bardziej Paweł od Gawła, to owo coś nieokreślonego, niewidzianego, zagadkowego, zaciekawiającego, czem się różni Zosia od Jadzi.

I panią Lilkę pociągał jego egzotyczny, przeciągły akcent mowy, złe wymawianie litery r, pieprzyk na lewym policzku i specjalny rysunek dobrze utrzymanych paznokci.

Nie żądała nigdy bogactw od swoich kochanków. Nie przyjełaby od żadnego z nich najskromniejszego po za kwiatami podarunku. Lecz zmroziłoby ją, gdyby wybrany kwestjonował dokładność rachunków restauracyjnych, lub dawał zbyt małe napiwki służbie. I nie zniosłaby, aby przyjął kolację w całości zapłaconą przez jej męża. Lecz Arka okazał się przy rozplacie wspólnego rachunku zupełnie korrekt; garsoni restauracyjni kłaniali się „jaśnie panu“ do samych nóg.

I uszczęśliwiona pani Lilka mogła już najbezsronniej zapisać ukochanemu na cenzurze rzymską piątkę, uwzględniając nawet, że domyślała się, iż nie był gołębiem i że o nagrodę cnoty nie ubiegał się.

Kiedy wreszcie po skończonej już libacji zajęły przed uiluminowany westybul restauracyjny dwie dorożki, piękna pani rejentowa, kaprysząc, zdecydowała, że nie pojedzie sam na

sam z żadnym z tych panów, ponieważ są pijani; a nawet i ona sama za siebie nie odpowiada. I rzuciła się pani Lilce na szyję z prośbą, aby jej sam na sam z żadnym z nich nie pozostawiła.

Wsiedli więc do jednej dorożki razem we czworo. Odwieziono panią Lilkę, jako w najodleglejszej dzielnicy zamieszkałą. A Jurek musiał potem odwozić piękną rozwódkę, aby ją strzec od zbyt niebezpiecznego Arkadjusza.

Pani Lilka położyła się do łóżka. Lecz pomimo zmęczenia i napojów — o śnie nie mogło być mowy. I przewracała się wśród swoich poduszek z боку na bok, spędzając bezsennie białą noc wśród jaknajbardziej różowych marzeń. Z mózgu nie wychodziło jej króciutkie zdanie, które Arkadjusz przylepił jej gorącemi wargami do ucha w chwili, kiedy Jurek hołupcował oberka z rozwódką:

— Jutro o godzinie 2-iej w salonie Zachęty, dobrze?

Brak jej odpowiedzi oznaczał zgodę. A jednak taka propozycja w sam dzień poznania raziła nieco panią Lilkę tempem, zbyt przyspieszonym w duecie z kobietą z towarzystwa.

— Prawda — usprawiedliwiała w myślach to jego allegro vivace — że gdyby wszyscy kochankowie mieli temperamet Pawełka, to Romeo w najważniejszym akcie musiałby już być łysym, a Julia Kapuletówna wychodziła by na balkon,

jako siwa już staruszka. W życiu trzeba się spieszyć.

Dopiero nad samem ranem zareflektowała, że sąsiednie mężowskie łóżko jest puste i że Jurkowi udało się zapewne wśród jazdy pozbyć towarzysztwa niezbyt skwapliwego prawdopodobnie Arkadiusza.

— A wygodna ciotka pięknej rejentowej z Kalisza, czy też z Radomia musi mieć sen żelazny.

— A jednak ten Jurek — to także porządne ziółko! — zadecydowała, usypiając zmęczona bezsenną nocą.

Upłynęło zaledwie kilka miesięcy od pamiętnego balu Klubu Komedjomanów; kilka miesięcy od czasu naznaczenia pierwszej schadzki z Sergjuszem w salonach Zachęty!

Ach! Ten dobry czas, który tyle krwawych ran goi, ileż on nowych rozkrwawia! Ach! Te pomyłki życiowe, rajfurowane przez szatana! Czemuż dopiero po niewczasie biedna pani Lilka doszła do wniosku, że jeżeli w niezdrowych marzeniach symbol zła może sadycznie swoją potęgą demonizmu uwodzić — to w życiu potocznem bestja a w bardziej wulgarnem wyrażeniu „szuja“ — wzbudza niesmak, jak cuchnąca woda, którą przy największem nawet pragnieniu odstawia się ze wstrętem. Nie chodziło tu już nawet o wstręt, lecz poprostu groziło przepaścią.

Pani Lilka z najwyższym przestрахem poczęła

zdawać sobie sprawę, że zeszła w bardzo niebezpieczną kałużę, z której nie wie jeszcze, jak się wydostanie; bo pojęła, że wpadła lekkomyślnie w szpony skończonego łotra, który ustawi zapory, aby nie mogła ocalić się tak łatwo z pułapki.

Okazało się, że niewiadomo skąd przybyły pan Arkadiusz Probierzko, nawrócony na prawosławie unita — był synem rusińskiego popa. Po opuszczeniu z powodu jakichś niewyjaśnionych zajęć seminarjum duchownego zapisał się na kursy weterynaryjne.

Pan Arkadiusz Probierzko był w obejściu z kobietami wogóle, a z panią Lilką w szczególności — jak się sama wkrótce przekonała — wyjątkowym brutalem. I pani Lilka w samooskarżeniach biczowała się spóźnionymi refleksjami:

— Przecież od pierwszej chwili poznania skonstatowałam fakt, że ten szczególny błysk jego oczu, stałe podniecenie, sui generis dezynwoltura — świadczą, że jest nałogowym pijakiem, który od samego rana nie ukazuje się światu inaczej, jak pod dobrą datą.

Pani Lilka dowiedziała się już teraz, że posiada rywalkę w pewnej starej bogatej damie. To za pieniądze tej starszej damy pan Arkadiusz mógł zadawać szyku w restauracjach, w których garsoni kłaniali się tak nisko „jaśnie panu“. Teraz owa starsza dama, stwierdziwszy zdradę swego kochanka, groziła mu zerwaniem i — rzecz naj-

ważniejsza — cofnięciem znacznych zasiłków, które w ostatnich czasach, mszcząc się za jego winy, wypłacała mu coraz nieregularniej.

Pan Arkadiusz zapijał coraz większe kłopoty materialne i coraz większą natarczywość lichwiarczy coraz większą liczbą już nie zbyt drogich koniaków, lecz poprostu monopolówką. A czyniąc panią Lilkę odpowiedzialną za wszystkie jego kłopoty z doletnią lecz bogatą wdową — stawał się dla niej coraz bardziej brutalnym, tembardziej, kiedy przekonał się, że jego powabna przyjaciółka ma rachunki w magazynach niezapłacone, a w portmonetce posiada jedynie drobne na drożki i na ciastka.

Pani Lilka oddała mu już jedyną pamiątkę po matce, sznurek pereł ze staroświecką sprzączką szmaragdową. Pan Arkadiusz przyobiecał jej najsolennie, że pamiątkę tę, zastawioną w lombardzie, wykupi niebawem. I pani Lilka, nie śmiąc ponawiać przypomnień, drżała na samą myśl, jakie wykombinować kłamstwo w razie, gdyby Jurkowi wpadło badać ją, czemu pereł tych od pewnego czasu nie nosi.

Zresztą pani Lilka zarzucała swemu kochankowi nie tylko utratę rodzinnej pamiątki, nie tylko brutalność i zanik wszelkiej moralności. Kobieta chce być kochaną, choćby przez opryszka; lecz nie wybaczy mu nigdy, stwierdziwszy, że ten opryszek woli karty, totalizatora, bilard, cygara

(nie mówiąc o koniaku, bez którego zupełnie już być się nie może), niż ją. Prawdziwy donżuan składa całe swoje życie bez zastrzeżeń u stóp kobiety. Tylko jedna niepodzielna namiętność może dojść do potęgi, lecz nigdy zbiór różnych namiętnostek razem.

Wytrzeźwiona pani Lilka pojęła, że pan Arkadiusz pod żadnym względem nie mógł równać się z jej mężem. Marzyła teraz o jednym: W jaki sposób z nim zerwać, aby mu się nie narazić. Miała jakieś złe przeczucia. Poczęła go się bać.

Dziś wezwana liścikiem — stawiała się w używanej Arkadiuszowi garsonierze jego przyjaciela: w dwóch zadymionych, brudnych pokojach na czwartaku, bez firanek, z tandetnymi meblami, ze szczotkami i butami pod stołkiem, pełniącym obowiązki umywalni.

Teraz w przechowywanym tu stale peniuarze pośpiesznie poprawiała sobie żelazkiem włosy w złamanem lusterku, pomiędzy pudełkami gilz i próżnymi butelkami koniaku, ustawionymi na chwiejącym się stoliku.

Arkadiusz, bardziej pijany, niż zwykle, rozwalony w kłębach dymu papierosa na zniszczonej otomanie, upierał się despotycznie, aby podpisał mu na wekslu sumę, niezbędną do karcianej zapłaty długu „honorowego“ w Klubie Komedjomanów. A jeżeli ona nie zgodzi się spełnić tej ostat-

niej prośby — to groził jej nowym argumentem: On tym oto rewolwerem palnie w łeb jej i sobie.

— Jej Bogu! — zaklął, używając zwykle w podnieceniu języka moskiewskiego.

Pani Lilka zadrżała. Ostatnie bielmo z oczu jej spadło. Przekonała się, że z nim żartów niema. Wpadła w pułapkę łotra, z której może żywcem nie wyjść. Machinalnie rzuciła wystraszonem okiem ku drzwiom wyjścia. Były jak zwykle zamknięte, a klucz schowany. Jednocześnie śród tej paniki ogarnęła ją jakaś uporczywa zaciętość drażnionej ofiary. Niechaj dzieje się, co chce. Wyskoczy oknem, a tego weksłu nie podpisze. Prawie nieprzytomna poczęła szukać swego ubrania.

— A ubranie twoje schowane w szafie — szedł po pijacku, zaciągając się papierosem pan Arkadiusz.

— Gdzie klucz od szafy? Mów! — siłała się białym głosem na odwagę, choć wargi i ręce trzęsły się jej, jak w febrze.

— A weksel podpiszesz?

— Nie! Nie podpiszę. Nawet, gdybym miała tu zginać.

— Nu ładno! — wyśpiewał akcentem najwyraźniej zdradzającym jego pochodzenie. — A wot, co ja zrobię z twojem ubraniem — zerwał się z kanapy, wyjął z szafy chowaną jej suknię, żakiet i kapelusze i z najchłodniejszą krwią począł rozdzierać wszystko na szmaty.

— Oszalałeś? — broniła ostatkami sił niewolnica własnych win. — Podły, podły!

— Won! — brutalizował ją, odpychając — zaciekle w deptaniu nogami resztek kapelusza i podartej na kawałki sukni.

— O! Podły, podły! zabij mnie! — jęknęła z pianą rozpacz na wargach i z beznadziejną twarzą, zakrytą rękami — bezsilnie padła na krzesło.

— Nu, sama tego chciałaś. A teraz zobaczmy, co z tego wyjdzie. Przecież w negliżu po ulicy spacerować nie można, a w domu na ciebie czekają, a i klucz od zatrzasku tu pod poduszką u mnie — chwiejąc się na pijackich nogach, dotarł do swojej otomany, wyciągnął się jak długi, odwrócił głowę do ściany, zachrapał i zasnął.

VII

Pani Lilka uważała się za zgubioną. W jej małżeńskiej anarchji były jednak zawsze zachowywane święcie pewne względy ładu, których nie przekraczano. Pani Lilka nie spóźniała się nigdy do domu ani na obiad, ani na kolację. Dość już pogardy dla samej siebie czuła z powodu zmarnowania naszyjnika pamiątkowego, który może nawet przyczynił się częściowo do ochłodzenia jej flamy ku kochankowi. Bo nie sprzedawała się nigdy nikomu ani za miljony, ani nawet za doroż-

ki, cukierki i kwiaty. Lecz teraz znienawidziła tego niewdzięcznika, który — wbrew bezinteresowności jej uczuć — ośmielił się czyhać na jej spokój, na jej dobrą opinię mężatki, grożąc skandalem, przed którym stale wśród swoich grzesznych eskapad drżała, jak swywołny sztubak przed karą kozy, złym stopniem cenzury, lub przed grozą wyrzucenia ze sztuby.

Jej stała wizja kary za grzechy jej drugiego, tajnego, pozadomowego życia, przed którą jej natura zabobonnej hiszpanki nieraz wśród nocy truchlała — ucieleśniła się nareszcie. Skończyła się farsa; a teraz rozegra się dramat lub tragedja ekspjacji.

Lecz jednocześnie zwierzęca chęć życia pchała ją do obrony. Węszyła wytrzymałość klatki i sposoby ucieczki. I upierała się przy swoim: ona nie może spóźnić się do domu. Musi wystać się z tej zasadzki *à tout prix*. Lecz weksłu nie podpisze.

— Nigdy, przenigdy!

W przekonaniu, że Arkadjusz śpi — sięgnęła ręką pod jego poduszkę, aby wykraść mu klucze. Lecz Arkadjusz zbudził się i odepchnął ją brutalnie, aż się zatoczyła.

— Won! — krzyknął z uporem niewytrzęźwionego pijaka.

— Co zamierzasz ze mną uczynić? — jęknęła spragniona jakiegoś sensu i logiki wyroku.

— Powiedziałem ci już: Nie wyjdiesz z tego pokoju, zanim mąż twój nie zjawi się tu. Jutro rano wyślę do niego przez stróża ten oto list, w którym donoszę mu o twojej obecności tutaj. Chyba, że przedtem złamiesz swój upór i podpiszesz weksel, co?

— Nigdy — zacięła się pani Lilka — nigdy. Raczej zginę.

— Jak uważasz. Tylko nie myśl, że uda ci się podczas mego snu wykraść klucz z pod poduszki. Chyba, że oknem z czwartego piętra zechcesz wyskoczyć.

— Sądzisz, że zgubiwszy mnie, wyjdiesz z tej sprawy cały?

— Ja się skandalu nie obawiam. Tak, czy owak ja — człowiek stracony — odwrócił się do ściany, rozbrzmiewając wśród ciszy pokoiku świstem nosa i rzeżeniem zdrowych piersi.

Wystraszona pani Lilka, węsząc jakby wydość się z klatki — zbliżyła się do szyby okna czwartaka. Śród niezmaconej ciszy szarego podwórza, obmurowanego 4-piętrowymi oficynami, — stróżka zamiatała z charakterystycznym szmerem miotły asfalt czcigodnego domu „ze wszystkimi wygodami“, zamieszkiwanego przez lokatorów z wierzchu żyjących, jak się patrzy. Z otwartych okien dochodził dźwięk fortepjanu. W kuchniach siekano jakieś potrawy. Na balkonie karmiono cukrem kanarka.

Napół przytomna pani Lilka przypatrywała się błędnie leżącemu na stoliku przy łóżku zdradzieckiemu listowi, adresowanemu do jej męża. Tuż przy liście leżał rewolwer. Spojrzała na otwarte okno dusznego i niskiego pokoju na czwartaku.

— Śmierć? Nie, nie — cofnęła się przed grozą. I naraz, jakby w natchnieniu, wpadła jej do głowy ostatnia deska ratunku: Pawełek!

Tak wśród grozy każde dziecko wzywa jedynie matki, a każdej kobiecie przychodzi tedy na myśl człowiek, bliższy jej, niż wszyscy inni, jedyny, któremu ufa. Pawełek!

— Nie łotr ten wyśle stąd przez stróża list, denuncjacy mnie; lecz to ja zadenuncjuję jego.

Sięgnęła do swego woreczka, wyrwała z małego damskiego notatnika welinową kartkę, na której drżącą ręką skreśliła ołówkiem pod adresem Pawełka: „Wpadłam w zasadzkę nędznika, który grozi mi śmiercią lub skandalem. Ratuj mnie pan! Lilka“.

„P. S. Choć wszystkie pozory są przeciwko mnie, jestem niewinna!“

Porozumiawszy się przez otwarte okno na migi ze stróżką, rzuciła jej na asfalt podwórza zawiniętą w pięciorublowy papierek zapisaną kartkę, błagając rozpaczliwym wzrokiem, aby nakaz bez chwili zwłoki pod wskazanym adresem spełniła.

Litościwa stróżka zmiłowała się nad piękną i hojną nieznajomą damą, która wpadła tak lek-

komyślnie w szpony niewypłacalnych, hulających lokatorów czwartaka.

Pawełek po powrocie z samotnego ożywczego spaceru po okolicznych wertepach dążył ku furtce fabrycznej, gdzie czekała go ciężka praca prezydowania na walnem posiedzeniu akcjonariuszów, kiedy wręczono mu na ulicy tajemniczą kartkę.

Litościwa stróżka udzieliła Pawełkowi nadto niektórych dopełniających osobistych informacji co do tych niespokojnych lokatorów, u których nieraz już różne brewerje się działy, a jedna z kobiet nawet się truła.

Cała sprawa przedstawiała się bardzo poważnie, a nawet groźnie. A tu, jak na złość, wyjątkowo ważna sesja. Pawełek bezsilnie mrugał oczami. Lecz naraz dojrzał na drugiej stronie pustej zamiejskiej ulicy komisarza Iwanowa, dążącego w towarzystwie dwóch cywilnych gentlemanów o ohydnej powierzchowności, najwyraźniej tajnych łapaczy.

Pan kapitan Iwanow był zaprzyjaźniony z Pawełkiem, a raczej z akcyjną fabryką Szylert, Szałowski i Ska o tyle, iż otrzymywał z fabryki stałą roczną pensję, która przemieniła tyrana całej dzielnicy, szykanującego na każdym kroku, w gotowego do różnych usług baranka.

I Pawełek ze wstrętem zarówno dla samej osoby kapitana, jak i dla tej cuchnącej sprawy u-

chwycił się jedynej przyplływającej deski zbawienia.

Podszedł do komisarza, przywitał go i, wręczyszy list od „pewnej damy“, pytał o radę lub o pomoc. Komisarz wręczył do przeczytania list dwum swoim towarzyszom, cywilnym gentelmanom o ohydnej powierzchowności. Litościwa stróżka zdradziła incognito bohatera tej sprawy. Trzej panowie ogarnęli się znaczącemi uśmiechami.

— Nu, my wiemy dobrze, kto jest ta „pewna dama“. Nu, niewinna koniecznie. A mąż jej czort znajet, coby zaraz o tem pomyślał. A tego gagatka my mieli oddawna na oku. I jego Klub Komedjomanów, w którym grano znaczonemi kartami, i jego różne sztuczki. I jaki on tam student! Mołodiec! I nazwisko fałszywe i paszport nie w porządku. Tfu! Czort znajet, czto takoje! Bo i jedna znajoma jego dama umarła nie tak, jakby należało. A głupie żandarmy — (kapitan Iwanow, w wiecznym antagonizmie moskiewskiej policji wrogo rywalizował z zasługami i prerogatywami żandarmskich odznaczeń) — dopatrywały się wciąż w tym „sukin synie“ przestępcy politycznego. A my im pokażemy że to „prosto swołocz i skatina“. Nie cytadela dla naszego brata, a prosto kryminał. A wot i minie gołubczyków żandarmów odkrycie socjalistycznego spisku. Nu, pojedziemy tam razem z panem dyrektorem,

aby gołąbek nie wyfrunął, jak to wyfruwają zwykle z rąk żandarmskich polityczni.

— A czy nie można by bezemnie? — spłoszył się nagle Pawełek, szczególnie przejęty dzisiejszem zgromadzeniem akcjonariuszów, gotowych przebalotować wiele spraw pierwszorzędnych, wbrew jego opinii. Lecz wnet zawstydził się tej swojej wymawianej mu przez żonę i przez wszystkich solidności urzędniczej, z jaką nie porzucał dla biura — lekceważonych najważniejszych własnych spraw osobistych i domowych. W dodatku Iwanow zachęcał przekonywująco:

— Lepiej byłoby z panem. Przecież chodzi tu o tę damę.

— Doskonale — zdecydował Pawełek. — Oto jest dorożka. Jedziemy. Ha! trudno! — usprawiedliwiał w myślach swoją eskapadę, jakby to były sztubackie „wagary“. — Nie można lekceważyć tak poważnej sprawy, boć ta niepcważna Lilka jest przecież, pomimo wszystko — bardzo mi blizką. Biedna, lekkomyślna kobieta!

Nie upłynęła i godzina, kiedy zakołatali do zamkniętych drzwi czwartaka:

— W imieniu prawa otworzyć!

Zbudzony ze snu nieprzytomny pan Arkadysz zerwał się na równe nogi i, jak tropiony zwierz, bezcelowym automatycznym ruchem położył do sąsiedniego pokoju. Pani Lilka lamparcim sko-

kiem chwyciła za rewolwer i z łoskotem rzuciła go przez okno na podwórze.

— Gdzie rewolwer, ty podła? — zakipiał nędznik, rzucając się z pięściami na jęczącą z bólu kobietę. Lecz wysadzone siłą drzwi — otworzyły się i wśród nieznanych ludzi pani Lilka dostrzegła bladą twarz Pawełka.

— Jestem ocalona! — jęknęła, padając w omdleniu na łóżko. Pawełek chustką, zwilżoną w wodzie, rozcierał jej skronie. Otworzyła oczy, lecz płakać nie mogła. Było jej tak strasznie... A tu ani jedna łza, ani jeden okrzyk bólu lub radości z powodu ocalenia...

A w trakcie tym gentlemani o ohydnej powierzchowności nałożyli na ręce pogodzonego z losem pięknego pana Arkadiusza żelazne obrączki. Pawełek wsunął im w ręce jakieś łapówkowe banknoty i szepnął komisarzowi Iwanowi:

— Nie zapomnę panu kapitanowi tej przysługi. Do jutra.

— Niczewo. Pustiaki! — uśmiechnął się z prześlicznie wyrozumiałym uśmiechem pan- komisarz i zadecydował: — Nu, a teraz pozwoli pan student z nami. Dorożka przed bramą czeka. Na ratusz! Madame! — złożył bajeczny ukłon pani Lilce „zgrywając się“, zwyczajem rosyjskim, w swojej europejskości.

Pani Lilka z zakrytą rękami twarzą nie była w stanie podziwiać ani jego rycerskich manier, ani

szarmanckich ukłonów gentlemanów o ohydnej powierzchowności, którzy bladego, jak ściana, pięknego pana Arkadiusza z sobą uprowadzili.

Teraz wysłano pocziwą stróżkę po zakup jakiegokolwiek ubrania i kapelusza, aby módz pokazać się na ulicy. Pani Lilka określiła jej szczegółowo kolor, krój i długość płaszcza, fason kapelusza i grubość woalki. I dyktowała adres dość odległego magazynu konfekcji, w którym była stałą klientką. Okazująca ogromną pojętność, hojnie opłacana stróżka obiecywała spełnić wszystkie polecenia i rozkazy jaknajdokładniej.

Pawełek i pani Lilka pozostali wreszcie w pokoju sami. I steroryzowana brutalnością tego całego skandalu i ocalona cudem od miecza, którego ostrze czuła już ponad głową — wybuchła wreszcie pierwszemi cichutkiemi dziękczynnemi łzami. Łzy te ożywczo, jak rosa podziały na wyschłą od znoju posuchę jej duszy, którą tarosił teraz jedynie ciężar wstydu. W braku krzeseł Pawełek tuż przy niej zasiadł na otomanie. Nie przemówili dotąd do siebie ani słowa. Bo mowie ludzkiej brak wyrazów wdzięczności dla zbawcy, który samem swoim ukazaniem — powrócił jej naraz, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, opinię, spokój i życie.

Pawełek wydawał się także bardzo przejętym i wzruszonym tą obecnością kobiety, którą ongi zdaje się — kochał i która miała nosić jego na-

zwisko. Czy mógł był kiedy w najpesymistyczniejszych myślach wykombinować sytuację, wobec jakiej dziwne losy ich ze sobą dziś połączyły?

Z zaciekawieniem krótkowidza pochłaniał całą jej postać, prześlepiając pewne skazy, które nieliłościwy czas swoim rylcem wyźlabia. Olśniony wszystkimi temi właściwościami jej urody i młodzieńczego wdzięku, które ongi w niej go tak zachwyciły — nie widział żadnych zmian. Wydała mu się tą samą dawną panną Lilką Aranduro. Choć pani Jurkova — rzecz prosta — zmieniła się znacznie od tego czasu: Zatraciła już oddawna harmonijność linii tanagrowej figuryнки, ewolucjonizując się w białoróżową damę o kształtach rubensowskich proporcji.

Lecz Pawelek z lubością konstatował jedynie też samą dawną foremność owalu jej głowy, zadarty filuternie nosek wiecznie łaszacej się kotki, wilgotne wargi, świecące tylko co wyjętą z torebki świeżą pomadką, o której w najdramatyczniejszych chwilach nie zapominała. Też same złote, czy też talmigoldowe włosy rasowej hiszpanki i jeszcze staranniej, niż ongi, utrzymane te same cudnie piękne małe alabastrowe rączki, specjalne do pieśczot, żywcem wzięte z królewskich portretów jej ziomka Velazqueza.

I naraz wśród tej niemej kontemplacji ani spostrzegł, jak pani Lilka pochwyciła jego rękę i przytuliła ją do swoich ust.

— Nie, nie trzeba — bronił się miękko w swojej wiecznie pogardzanej przez wszystkich roli Józefa wobec Putyfary, wyjątkowo dziś ponętnej w białych koronkach swego negliżu, w nastroju, wychodzącym poza normę powszedniości.

Nie przemawiali do siebie ani słowa i wydawali się coraz bardziej zmieszani oboje... Nie, nie, należało co prędzej opuścić ten pokój, tętnący dziejami kuszących grzechów... A stróżka nie wracała...

Pani Lilka nie wypuszczała już z uścisku dłoni Pawełka. I z bólem ranionej gołębiczy, omal ocierając się o niego — potulna i zawstydzona — wybuchnęła żalem samooskarżeń:

— Upaść tak nisko... i być zmuszoną wtajemniczać w ohydy życia właśnie takiego, jak pan Pawełek człowieka... Cóż to za straszna ironja życia! Cóż za straszna kara! I co za wstyd! Czyż nie byłoby lepiej, aby o tej kałuży, w której ugrzęzłam po szyję, dowiedział się raczej cały świat, wszyscy. Byle nie pan. Tylko nie pan, panie Pawełku. Bo oni wszyscy, o ile na gorącym uczynku nie dadzą się złapać — są nie o wiele więcej warci odemnie. Jedyny bez plamy, czysty, jak kryształ! — unosiła się w ekstazie nad Pawełkiem, który począł wstydić się tej swojej czystości, tak poniżającej wobec niego innych mniej czystych. A pani Lilka upierała się wciąż dalej przy swoim:

— Bo oni wszyscy — o ile nie dadzą się złapać się

na gorącym uczynku — są nie o wiele więcej warci odemnie. Jedyne bez plamy czyste, jak i za pan Pawełek, jedyny człowiek, którego czcę, na którym zależało mi, aby nie czuł dla mnie pogardy, jedyny na świecie człowiek — rozplakała się, ocierając chusteczką zaczerwieniony nos i oczy. — Pan mnie znał przecież jeszcze w czasach, kiedy nie byłam lotrzą.

— Życie plami; — gładził miękko jej cudną alabastrową rączkę wzruszony jej żalem — złość ludzka jest zaraźliwa. Złe czyny, jako wybuchały zatruty kwiat złych myśli — rodzą dobre refleksje niestety dopiero po narodzeniu się już złych czynów. Smutno!

— Tak, tak. Jedyne złość rodzi złe czyny. Byłam zła, taka zła — rozplakała się znowu.

— Wyrzuty sumienia nie są płodami złości, je-no — słabości.

— Byłam słaba i zła — upierała się podniecona z głową opartą na dłoni, błędnie w dal wpatrzona — wszystko, co było dobrem w moim sercu — łączyło się jedynie z czystymi myślami o panu, o moim narzeczonym, mistrzu i opiekunie — poczęła unosić się w błękitne koszmory ideałów, jakie hoduja w zakamarkach swoich dusz najwięksi zbrodniarze. — Oparta na ramieniu człowieka, przeznaczonego mi przez Boga, miałam z ufnością przejść przez niziny życia, pewna, iż on wesprze mnie swoim ramieniem wśród przepaści i błota,

w razie, gdybym sama ich ominąć nie potrafiła. Święta moja matka osierociła mnie zbyt wcześnie, nie zdoławszy zdusić we mnie instynktów lekko-myślnego ojca cygana. A dalsza rodzina moja? Widział pan Pawełek, jakim murem obojętności moją dziecięcą wrażliwość mroziła. Dziwili się, że nie wywnętrzam się przed nimi. Czynili aluzję do mego niby odziedziczonego po ojcu kabotynizmu. I w tym nastroju śledzili mnie i badali, jak przestępcę, zanim jeszcze coś złego robiłam. Cóż dziwnego, że w tym treningu oskarżeń i pogardy zaryglowałam swoją duszę, narażając się na ich oszczerstwa, że jestem obłudną i że kłamię. Bo musiałam bronić się od ich lodowatej indagacji i macoszej niedyskrecji. Jakieś złe losy rzuciły wpoprzek mojej drogi Jurka. Pokochałam go tak, jak pan go pokochałeś. Jak pan — pokonana fascynującą zwycięską siłą jego wdzięku towarzyskiego — połączyłam swoje losy z jego losami na całe życie. Nie posiadałam tej siły charakteru, co pan, aby nie uleść pokusom jego cynizmu, opromienionego tym czarem jego pogody i humoru, któremu wszyscy ulegali. Cóż więc dziwnego, że słaba, głupia kobieta...

Śród chaosu myśli odnalazła naraz z radością błądzącego po manowcach wędrowca — właściwy gościniec. I wybuchła, rozcinając węzeł gordyjski własnych win, temi nagromadzonemi oskarżeniami, jakimi zdradzające mężatki czynią odpowie-

działnymi za swój upadek jedynie własnych mężów. I jakby w transie, nie zmieniając ruchu głowy na ręce opartej o kolano — wpatrzona halucynacyjnie w jeden punkt, wyrzucała ze zmęczonej myśli dławiące ją słowa:

— Jestem sprawiedliwą względem Jurka. Prawda, nie słyszałam od niego nigdy brutalnego słowa wybuchu. Pan Pawełek go zna. Nie był nigdy ani impetykiem, ani brutalem. Z wyrozumowaną logiką egoistycznego hedonisty unikał oporu i kłótni. Bo złość piękności szkodzi i dobremu trawieniu. Dlatego też ten wiecznie pogodny, miły i uśmiechnięty zimny egoista i wytworny sceptyk zgangrenował słodką wyperfumowaną trucizną całą moją jaźń do szpiku kości. Czas szybko bieży; czy pan wiesz, że już blisko od dwudziestu lat jestem żoną Jurka? Od dwudziestu już blisko lat żyję w atmosferze tej upajającej trucizny sztyderstw i drwin ze wszystkiego, co — dobre, co szlachetne, co uczciwe. Aż wstyd przyznać się, jaką jestem już starą. A już dwadzieścia lat temu odrazu pierwszym pocałunkiem rozpoczął trenować we mnie nie kobietę żonę, lecz kochankę odaliskę, która powinna być „zabawną“, a nie imponującą mu czemkolwiek lepszym lub pogardzającą jego złem. Od pierwszych dni naszego pożycia począł uczyć mnie, nie, jak żyć, lecz jak należy używać życia. Prowadził mnie do gabinetów, jak uliczną dziewczynę; poił szampanem, uczył sprośnych pio-

senek i zapoznawał jedynie z przyjaciółmi — podług jego ulubionego wyrażenia — „zabawnymi“, których towarzystwo przekładał od pocziwców wegietujących, a nie żyjących. Bo żyć — znaczy używać „wesolutko“. Bo poza tem jedynem — wszystko inne jest „piłą“, przesądem i idjotyzmem. To on zapoznał mnie na balu z tym nędznikiem, z którego szponów pan mnie wyrwał. To on zaprowadził mnie z nim do gabinetu restauracyjnego, abym mu szapronowała z moim przyszłym kochankiem w jego umizgach do jakiejś rozwódki z pod ciemnej gwiazdy. I aby mu było wygodniej zdradzać bez szkopułów, zgodził się, abym i ja jego zdradzała. Bo w swoim sybarytyzmie godził się raczej na rolę rogacza, niż na niewygodne sceny zazdrości uczciwej żony, która wet za wet nie odpłaca.

— I co się zrobiło z tej dawnej panny Lilki, narzeczonej pana Pawelka, którą mu tak nikiemnie odebrano? Pan Pawelek przynajmniej potrafi cierpieć, a ja nie potrafiłam. I wpadłam w błoto, którem pan stale pogardzasz — poczęła znowuż płakać cichutkiem, spazmatycznym łkaniem, jak małe krzywdzone dziecko; zawsze jeszcze, pomimo nieco zbyt rozrosłych kształtów, ogromnie ponętna w bieli swoich koronek, ze swoim perłowym ciałem, z cudnie utoczonymi alabastrowemi ramionami i z nieco zaczerwienionym od płaczu filuternym noskiem łaszczącej się nieszczęśliwej kotki.

— Biedna, dobra, mała pani Lilka! Biedny Jurek! Wszyscyśmy biedni — litował się Pawełek z serdecznem współczuciem nad tą niesytą pieszczot gołębicą, która pod terrorem kłamstw, tolerowanych jedynie pod maską drzwi zamkniętych — popadła w kałużę.

O! Ta ugodowa obłuda, jakżeż często prowadzi najlepsze natury do bezprawia, nieraz do zbrodni! O! Te nakazy form i zachowywania pozorów kosztem gangrenującej nas obłudy. Uczuł taki bezmierny żal dla jej anarchji życia, dla pogardy, jaką musiała czuć dla samej siebie, wspominając ze wstrętem tych wszystkich obcych jej duszy przechodniów, w ramionach których nie zdołała zatopić swego smutku.

I Pawełek począł wstydzić się własnego bogactwa cnoty, w której tarzał się, jak krezus, wiecznie sam jeden wśród zawiści splamionych nędzarzy, zazdroszczących mu tej czystości, jakiej sami nie posiadali — w wiecznem nienawistnem posądzaniu go o to, że on nimi pogardza.

To — to był ów wieczny mur chiński, jaki oddzielał go od reszty świata. Ów brak plam na jego życiu, owa wieża kryształowa, którą zamieszkiwał o niezapuszczanej nigdy portjerze, bo nie było z czem się ukrywać. O! Te jasne, bez jednej ciemnej tajemnicy oczy, ręce czyste, nieugięty kark i myśli wyniosłe i nieustępliwe!

I Pawełek począł się wstydzić wyżyn pyszności

swojej królewskiej wieży z kości słoniowej, z której tronu nie zniżał się nigdy do moralnej nędzy suteryn zwykłych śmiertelników. I dlatego począwszy od Bodurkiewicza, Budziszewskiego, Gębarskiego i Gębickiego, całej listy alfabetycznej szkolnej ławy i całego świata, skończywszy na Jurku — wszyscy uważali go stale za obcego przybłędę z innej planety, którym niekiedy się posługiwali, lecz nigdy nie łączyli.

Sprzykrzyła się już Pawelkowi ta korona fenomenu, wyrodka muzealnego. Sprowadzony do wspólnego mianownika kanalii takich, jak wszyscy — nie byłby już sam, i nie wiałoby taką pustką dokoła niego.

— Tylko ci nędzarze moralni z suteryn wraz ze swoim brudem i plamami są ludźmi.

— Biedna, mała, dobra, zbrukana pani Lilka! — gładził coraz mniej litośnie miękkie, odurzająco wonne włosy ponętnej kobiety, coraz bliżej siedzącej w negliżu koło niego, aż w końcu już prawie tuliła się do jego ramion w trwodze przeżytej męki i we wdzięczności dla oswobodziciela.

— Nie, nie — oparła głowę o jego piersi, owiewając mu twarz zapachem swojej twarzy. — Nie chcę jedynie współczucia, jako dla żony przyjaciela. Nie chcę, aby Jurek stał wiecznie pomiędzy nami. Mielśmy oboje dość czasu przekonać się, że on nie wart tego, abyśmy poświęcali mu bez zastrzeżeń całe życie, które on z wyniosłością oschle-

go króla przyjmował u stóp swęgo tronu, jako należne mu ofiary, jedna za drugą. To on oderwał mnie od ciebie. To on dla własnej rozrywki uczynił ze mnie odaliskę. To on narzucił ci brzydką żonę, którą sam wzgardził, a która zatrula ci całe życie. To on każe pracować ci bez wytchnienia na jego wieczne biby, cygara i kobiety. Wiecznie on! Jureczek!

Znała na pamięć życie tych dwóch przyjaciół i poczęła wyliczać Pawełkowi wszystkie ofiary, jakie złożył na tym ołtarzu przyjaźni, poczynawszy od najmłodszych lat, kiedy został zapisany w sztubie do „czarnej księgi“ za to, że nie chciał zdradzić, kto gwizdał na lekcji. A potem ta dwugodzinna koza za podpowiadanie Jureczkowi. A potem porzucenie ukochanej filologii dla szkoły realnej specjalnie w celu, aby mózdz przyczynić się pomocniczymi korepetycjami do ukończenia szkół leniucha.

— A potem kto wyróbił Jurkowi posadę w banku? — wyrzucała w najwyższem rozżaleniu jednym tchem — kto zbudował fabrykę, kto ją prowadzi? I to wszystko jego królewska mość przyjmuje w hołdzie bez litości i bez wyrozumienia, bez sekundy skruchy, bez jednego „Bóg zapłać“ — przedzielony od nas wszystkich murem grubej skóry zimnego sfinksa, satyra, wyśmiewającego szyderczo zaprzędanych mu niewolników.

— Bo ty nie wiesz jeszcze — ugodziła w niego

najostrzejszą strzałą — oto on, zazdrosny o twoją czystość, o twoje życie bez plamy, w zawiści konika polnego o pracowitość mrówki — wyśmiewa od dwudziestu lat całe wasze wspólne życie. Nie było dnia, aby nie wyszydzał twojego dziecięctwa lat młodzieńczych.

— Wiem, wiem wszystko — przerwał boleśnie zatruty oddawna relacjami Krzysi, udzielanemi mu przez żonę. — Nie oszczędzał nawet moich wspomnień rodzinnych. Mniejsza, że naśladował moje ruchy, mowę, wyśmiewał moje myśli i czyny, lecz nie powinien był tykać najświętszych moich wspomnień. Jak mógł to uczynić! Jak mógł!

— A czy ty sądzisz, dzieciaku — tryumfowała, przewidując zwycięstwo — że gdybym ja nie zapraszała ciebie wciąż do naszego domu i nie podkreślała ustawicznie faktu, jak mi jesteś sympatyczny i jak mi na twoich odwiedzinach zależy — czy on zapraszałby cię do swego domu? Zateśkniłby, nie widząc ciebie tydzień, miesiąc lub lata całe? Czy odwiedziłby cię kiedykolwiek? To mnie jedynie zawdzięczałeś jego przyjaźń i gościnność. Bo to ja jedynie żyć bez ciebie nie mogłam. Nie cn. Przysięgam na pamięć mojej matki.

— Byłem tego pewnym — zgodził się z bólem Pawełek, zagłuszając cynizujących szatanów, które kusily go w myślach:

— „A jeżeli odrzucisz teraz miłość jego żo-

ny — to utracisz także i męża. Wybieraj: Albo oboje, albo nikt. Paradne, co? He, he, he“.

— Wiem, wiem — kiwał głową Pawełek. — Rozumiem wszystko. Byłem dla niego niczem. Oplwał, zbezczeszczył wszystkie wspomnienia, które mnie z nim łączyły. Bo jedyną nicią mogłaby być tylko podłość. Jedynie podłość łączy z ludźmi, którzy się ponad nią wzniesć nie potrafią. A gdzież szukać takich, którzy się ponad nią wznoszą?

— On nie wart naszych uczuć, naszych poświęceń, naszych myśli — kusila go szatańsko kobieta, identyfikując zbrukana swoją duszę z białymi skrzydłami Pawełka. — Całe nasze życie było jednym bolesnym zawodem, straszną pomyłką, nieporozumieniem, mistyfikacją. Bo życie to nie szekspirowska krotchwila „Komedia pomyłek“, lecz najrozpaczliwsza „Tragiedja pomyłek“. W ośchłości swego dobrodusznego szyderstwa i egoizmu eksploatował w nas każdy atom tkliwości, bez której my oboje życia nie rozumiemy — w wiecznem poszukiwaniu kogoś, dla kogo można by poświęcić całe swoje życie.

Siedziała już teraz prawie w objęciach Pawełka i gładziła wrzającą ręką czoło, policzki i wargi, które przylgnęły do jej rąk, czoła, oczu, policzków...

— O! Ty mój, przeczysty! gołębiu, dziecia-ku! — przytuliła swoją twarz do jego twarzy, łaskocząc go złotą oczadzającą pelą swoich włosów.

— Nie pogardzaj mną. Weź mnie! Przecież byłam twoją narzeczoną. Byliśmy przeznaczeni dla siebie. Od wielu lat marzyłam tylko o tem, pomimo, iż nawet przez myśl ci nie przeszło, że należę do ciebie. Nie odtrącaj mnie, nie pogardzaj! Kocham cię.

Uwodzonemu przez piękną Putyfarę Józefowi zaszumiał w uszach z porady tychże szatanów szyderczy głos bezlitosnego niewdzięcznika Jurka brzmiały:

— „O! Pawełek jest ogniotrwały. Zostawiłbym własną żonę z nim sam na sam na bezludnej wyspie“.

A głosowi temu zawtórował chórem śmiech wszystkich kolegów Pawełka w alfabetycznej liście z pierwszej klasy gimnazjum: Bodurkiewicz, Budziszewski, Gębarski, Gębicki, tych wszystkich, od których oddzielał go wieczny mur życia bez skazy; zaszumiał mu chór tych wszystkich, z których ani jeden nie zawahałby się przed uwiedzeniem żony przyjaciela.

Pawełek nie chce imponować im swoją wyższością; chce kochać ich takimi, jakimi są wszyscy z wyjątkiem jego jednego. „Mruk, dziwak, piąte koło“ — obali mur, który go od nich wiecznie oddzielał: Połączy się nicią podłości ze wszystkimi braćmi z jednej parafji, z jednej gliny, z jednej komety.

I Pawełek spojrzał w piękne, rozmarzone oczy

tulącej się do niego rozkochanej kobiety i zrzucił z siebie tę wiecznie wymawianą mu przez wszystkich z najwyższą pogardą ogniotrwałą skórę Józefa wobec Putyfary... I przylgnął swemi pijanemi ustami do jej ust... I zatonął w nich cały, jak w falach czarownego oceanu wraz ze swoją egoistyczną ambicją chlubienia się przed sobą samym swojemi cnotami, które tak poniżały nienawidzących go z tego powodu i wydrwiwających wszystkich Bodurkiewiczów, Budziszewskich, • Gębarskich, Gębickich...

I dopiero teraz w uszach po raz pierwszy dudniały mu słowa ich uznania, iż potrafił tak zuchowato przypiąć rogi temu zbyt pewnemu sobie Jurkowi...

.

Kiedy po upływie godziny pani Lilka w świeżo zakupionym przez stróżkę ciemnym płaszczu po kolana i w kapeluszu z gęstym wualem dążyła wraz z Pawełkiem przez czyste podwórze, zabudowane „przyzwoitemi“ 4-piętrowemi oficynami „z komfortem i ze wszystkimi tegoczesnemi wygodami“ — hojnie opłacona przez Pawełka stróżka, szorując miotłą jak się patrzy czysty asfalt porządnego domu z fortepjanami i z kanarkami, zakonkludowała:

— To jakieś bardzo porządne państwo. A ona—

to pewnikiem nie żadna lafirynda, jeno mężatka. Coprawda — uśmiechnęła się filuternie do swej miotły, wycierając sobie nos fartuchem — czasu darmo dziś nie traciła. Bo i ten drugi to rychtyg także nie mąż. Ale czy to korona od tego któremu z mężów ze łba spadnie? — zadecydowała w zwykłym rozżaleniu magnifik do swoich małżonków. — Toć wiadomo, że wszystkie chłopcy są djabła warcie. I tyle.

Pawelkowi oczy dumnie, jak nigdy, świeciły.

Miał uczucie, jakgdyby pozbył się sromotnego garbu, ciężącego mu od najmłodszych lat sztuby, która nim stale pogardzała.

Teraz jest już zupełnie podobnym do innych, do tych wszystkich, którzy nie tworzą nowelek pokryjomu i nie palą poezji, dramatów i sonetów. Był ocalonym. I począł cichutko gwizdać, z przeświadczeniem, że gwizdże dziś lepiej, niż zwykle.

— Nie, nie — usprawiedliwiał się w myślach. — Nie kierowała mną zemsta na niewdzięcznym przyjacielu, który, pomimo tylu złożonych mu ofiar — nie wahał się splugawić nie tylko mnie, lecz pamięć mojej świętej matki. Nie, nie; to nie to, nie to...

Nie wyjawiał swoich prawd nikomu. I tak już dość wydrwiwali dziwaka. Dziwak! Ludzie tak się boją obalenia starych bogów, że propagandę każdej nowej prawdy gilotynują kryminałem lub domem warjatów.

A jednak o dziwo! Oto rozżalonemu do złości ludzkiej Pawełkowi chodziło o jedno: o wypalenie ze swojej duszy żalu za doznane krzywdy. Bo wstydził się swego rozgoryczenia do osądzonych przez niego ludzi, niby gorszych moralnie od jego ekscelencji. A teraz zdawało mu się, że dopiero własnem znizeniem się — wywyższy w swojej opinii krzywdzonego przyjaciela. Tak, tak. Nie będąc lepszym od innych, zrówna się z tymi wszystkimi, dla których nie chce żywić chłodu i pogardy. Dlatego zwałił dzielący go od innych wyniosły mur. Przestanie nareszcie być sam. To takie jasne.

— Jak wytłómaczysz to swoje opóźnienie w domu? — badał Lilkę w poszukiwaniu dorożki — uradowany nieznaniem mu dotąd uczuciem, że to nie Jurek go skrzywdził, lecz że to on jest sam kanalją. — Trzeba będzie wymyśleć jakieś kłamstwo. Co?

— O! Pocóż zaraz kłamać? — odrzekła mu pewna wygranej pani Lilka. — Powiem mu poprostu, że spędziłam cały ten czas z Pawełkiem. Będzie zupełnie spokojny.

— Naturalnie. He, he! — wybuchnął poraz pierwszy śmiechem, przypominającym Jurka i wszystkich innych śmiertelników. — Pod opieką ogniotrwałego Józefa na pustyni! He, he!

— Ach! Ci wszyscy mężczyźni! — kabotynizowała, ślicznie wzdychając, pani Lilka. — To są potwory. Pomyśleć, że nawet biedny surowy Ka-

to — zamiast powyższać innych, sam zniżył się na ziemię. Ha! Trudno. Wszyscy powinni być sobie równi — zdecydowała z ulgą, jakby kamień spadł jej z sumienia. — I już o sto mil od niedawno przeżytej tragedji, ze swoją charakterystyczną mobilité feminine zakonkludowała w myślach:

— A gdybym tak naraz miała zostać matką? Komedja! Jak mamę kocham, komedja!

Na wypomadowanych ustach pani Lilki zajaśniał pod wualką uśmieszek. Bo sama nie wiedziała, jakim cudem błysnęła w jej mózgu piosenka z repertuaru Ivetty Guilbert „o żonie pana Dufond, która stała się właściwie żoną przyjaciela, współnika i sąsiada: pana Dupond. A wszystkie dzieci pana Dupond były właściwie dziećmi tego sąsiada z dołu pana Dufond...”

I wsiadając do dorożki z ręką w dłoni Pawełka, który ją na pożegnanie z wielką czcią, z kapeluszem w ręku całował — zażądała, aby stawił się nazajutrz na wystawie obrazów Chełmońskiego w salonach Zachęty. Tam jedynie na neutralnym gruncie będą mogli omówić kwestję czasu i miejsca następnych schadzek, ponieważ pani Lilka nie ośmieliłaby się nigdy plamić podobnemi sprawami ścian świątyni swego domowego ogniska.

Dorożka odjechała. Pawełek, dążący dla zabicia czasu do Lourse'a — zasepił się debiutancką myślą, w jaki sposób takie tajemnicze mieszkania wynajmuje się, jakie godziny najwięcej się nadają

i jak usprawiedliwić w domu taką stałe powtarzającą się nieobecność?

VIII

Ta cała afera przyjęła skądinąd znacznie gorsze skutki, niż się przewidywało. Wprawdzie dyskrekcja pułkownika Iwanowa, opłaconego nazajutrz przesłaną mu hojną komisarską łapówką, była zapewnioną, lecz sama pora dnia awantury okazała się jak najniefortunniej wybraną. Bo — jak wiadomo — Pawełek — wbrew swoim zasadom niezaniedbywania biura — rażony piorunową kartką pani Lilki, zebrzącej o ratunek z zasadzki z ewentualnym epilogiem szantażu, hańby lub śmierci — skwitował wtedy z wyznaczonego na ten czas Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszów fabryki, aby udać się bez zwłoki z komisarzem i z dwoma gentlemanami o ohydnej powierzchowności na ulicę Kruczą.

A akcjonariusze, korzystając z nieobecności Pawelka, przeforsowali w tym czasie pomysł, który od bardzo dawna ich nęcił, a którego uskutecznienia — Pawełek nigdy nie sankcjonował.

Ten ich plan polegał na wprowadzeniu do zarządu nowego wicedyrektora fabryki. Chodziło o to, aby ktoś — wobec zaniedbywania obowiązków przez Jurka (coraz bardziej niepopularnego w poważnych kołach wskutek swoich jawnych

metres i hulaneek) — poprawił opinię fabryki, stał się postrachem i memento mori rozpróżnionego synekurzysty.

Jurek zrozumiał doskonale tę akcję: Nowy pan wicedyrektor miał być mieczem Damoklesa, zawieszonym nad pozbawionym już akcji, więc nie związanym już z fabryką niczem; poprostu miał być mieczem, a raczej batem nad zwykłym płatnym najmitą.

I Jurek odczuł tę całą grozę zbliżającego się Hannibala ante portas tem dotkliwiej, że myśl jego zraniła owa najdotkliwsza strzała:

— Moi przeciwnicy mają słuszość. Mea culpa.

Najsmutniejsza tragiedja poczuwania się do własnych win, obalająca oporność przeciwakcji wobec solidaryzowania z własnym wrogiem.

Tak, tak. Faktycznie zanadto lekcewazył swoje obowiązki hojnie opłacanego inżyniera-dyrektora. Zanadto z krzywdą opinii fabryki, w niezgodzie ze swoim stanowiskiem afiszował się swemi metresami!

— Nie, nie! — bronił się od żądła os — moja jedna godzina pracy jest produktywniejsza od całonocnej orki mólów i kowali w rodzaju modelowego Pawełka. Znany jest fakt, że ludzie zdolni lubią się bawić. Tem różni się motyl od mrówki i od mola. Fabryka niema żadnych praw do mego życia prywatnego. To jedynie zawiść ludzka stara się zmiażdżyć mnie i obalić. To osobista zemsta

tej wymalowanej jędzy z „Hebanu“ za to, że ją porzuciłem. To idjota jej mąż proteguje obecnie wejście do fabryki świeżego kochanka swojej żony. To ten mój następca ma być tym batem, którym za poruszeniem palca będą mogli wyrzucić mnie z fabryki, jak z procy, abym na starość zdechł jak pies, pod płotem.

Kipiał ze złości, domyśliwszy się słusznie, że to pan dyrektor kopalni „Hebanu“ przyczynił się, pod sugiestją żony, protegującej następcę Jurka, do tej całej kampanji przeciwko niemu.

Lecz najboleśniejszy żal tarł mu piersi od chwili, kiedy jakieś złośliwe chochliki podsunęły mu fałszywy domysł: oto, jeżeli Pawełek — wbrew swojej zwykłej punktualności — nie zjawił się na posiedzeniu — to uczynił to umyślnie, aby nie przyczyniać się osobiście do wysadzenia go z siodła, choć z tem postanowieniem najwidoczniej w gruncie ideowo solidaryzował.

— Ten Pawełek, który dotychczas nie opuścił w swoim życiu ani jednego posiedzenia!

Też same djabły podsunęły Jurkowi niesprawiedliwe, idjotyczne posądzenie Pawełka o to, iż jego dorobkiewiczowska ambicja czyhała oddawna, aby móżdż, pozbyć się współnika, który swemi zasługami twórcy fabryki — kwestjonował samowładztwo mało efektownego, wiecznie zapracowanego mola.

— Naturalnie — godził się na podszepty cho-

chlików rozżalony Jurek — moja mina człowieka, urodzonego w dostatku przypominała parwenjuszowi jego czasy z małej wypożyczalni książek, kiedy donoszał moje zniszczone ubrania i zjadał resztki szkolnych śniadań! I, aby wykreślić tę kompromitującą nędzę młodości, z której go wy-dostałem i na ludzi wyprowadziłem, snobistyczny w gruncie i ambitny mruk wykupił wszystkie akcje, bez których tak łatwo przyjdzie mu teraz pozbyć się ze swej drogi niewygodnego świadka hańbiącej przeszłości dorobkiewicza. Jasne, jak dzień.

Pawełek ze swoją cienkością mimozy i nosem wietrzącym, gdzie trawa rośnie, odczuł doskonale, kogo obwinia w tej całej intrydze biurowej wiecznie skryty Jurek, nie porzucający nigdy tej właściwej mu *bonne mine à mauvais jeu* w swojej stałej manjerze oportunistu życiowego.

Po przewlekłej pracy wysilen mózgowych Pawełek najniezręczniejsz okiełbany określił zagadkowy powód, dla którego — niezależnie od znanej swojej punktualności, nie mógł stawić się na tak ważnem posiedzeniu akcjonariuszów:

— Wiesz, że w tajemnicy przed żoną zamówiłem się na poradę lekarską do doktora Norskiego, specjalisty od chorób sercowych. Wyznaczył mi właśnie tę godzinę. Wiesz, że audjencja u niego ma ceremonjał monarszy. I nie pojmuję — usprawiedliwiał się naiwnie, zmieszany po sztubacku

znaczącem milczeniem Jurka — dlaczego dawny twój przyjaciel ze Szczawnicy stał się naraz takim twoim antagonistą?

— Pi! — uświadamiał go cynicznie Jurek. — We wszystkim należy wiecznie szukać kobiety, a kobieta jest zmienną. Przekonasz się teraz, kiedy zaczynasz — zdaje się — cieszyć się także szczęściem w miłości...

Pawełek poczerwieniał po białka oczu. Czyżby się Jurek czego domyślał?

Z opuszczonemi w dół oczami, polykając ciężko ślinę, która mu gardło dusiła — wykrztusił, aby coś powiedzieć:

— Tak się to wszystko w mojej nieobecności niefortunnie odbyło. Ale czyż mogłem przypuszczać, aby „Heban“...

— Tembardziej zdziwi cię ta zmiana jego uczuć — zasyczał rozżalony Jurek — kiedy dowiesz się nareszcie, że przyjaźni „Hebana“ zawdzięczało się nie tylko powstanie naszej fabryki, lecz i wszystkie twoje dawne biurowe awanse i moją pierwszą posadę w banku. Nie chciałem ongi obalać twoich przypuszczeń, że to dzięki twojej protekcji u naczelnika, którą się tak szczyciłeś, przyjęto mnie do banku. Pierwszy etap mojej kariery zawdzięczałem wyłącznie „Hebanowi“ a nie tobie.

— Nie powstała mi nigdy myśl wmawiania sobie... — wykrztusił tracący oddech Pawełek.

— Może do ostatniego etapu za to ty się swoją nieobecnością trochę przyczyniłeś. Oczywiście nie będziemy wymawiali sobie wzajem, kto z nas dwóch za młodu większe długi wdzięczności u siebie zaciągnął. I z czyjej to winy pod wpływem żeniaczki i intryg rodzinnych — nasze stosunki dawnej zażyłości rozluźniły się. Byłem zawsze lekkoduchem, lecz z jednej sztuki; i nikt mi nigdy żadnej dwulicowości zarzucać nie mógł. Nie chcę czynić ciebie odpowiedzialnym za krzywdę, jaka mnie spotkała. Faktem, że role nasze zmieniły się. Ty wjechałeś na górę, ja stoczyłem się w dół. Stałeś się moim zwierzchnikiem. Tak się plecie na tym Bożym świecie. Trudno. *Hommo homini lupus.*

— Jurek, Jurek! — zadrgały pod siwiejącym wąsem blade wargi Pawełka; a zraniona dusza wyciągała ramiona do minionych lat zielonego mundurka ze złotymi guzikami — Jurek!

— Przy obecnem swoim stanowisku nie mógłbym już bez twojej protekcji istnieć. Jestem nędzarzem pod płotem. Nie mam już nic — zabłysnął swoim zwykłym ujmującym, nieco szyderczym uśmiechem, w którym jednak łatwo było Pawełkowi wyczytać niemy wyrzut nienawiści, głoszącej:

— Pozbawiłeś mnie wszystkiego — ty, wzniosła dusza, wieczny pretendent do nagrody za cnotę Montijona. Zabrałeś mi stanowisko, majątek

a może nawet, he, he i żonę. Zgoda na zdrady innych, zwykłych émiertelników, ale pierwsza nagroda cnoty Montijona — cóż za brudy! Fi done!

Pawełek pod tym wyczutym tępym obuchem niewypowiedzianych prawd, pochylił aż głowę, blady, jak upiór. I trzęsący się, jak w febrze — zataczał się, jakby w delirium tremens.

A więc to takie jest szczęście poza owym Rubikonem, poza który pragnął wiecznie się dostać? To takie ma się uczucie po obaleniu muru, który oddziela nas od złych, grzesznych i splamionych, kiedy przestało się już być samotnym, z innej planety dziwakiem? Kiedy jest się już nareszcie sprowadzonym do wspólnego mianownika kolegów, krewnych i przyjaciół, z tej samej, jednakowiuteńkiej grubej, ugodowej gliny? To takie ma się wtedy uczucie?

— Już nie piąte koło u wozu! Spełniły się marzenia! Należę do parafji Bodurkiewiczów, Gębarskich, Gębickich et consortes.

I naraz zajęczał w jego sercu ból, tak przerażający, jakiego nie czuł nawet na pogrzebie swojej matki. Bo kwilenia rodzących się piskląt nie można przecież porównywać z męką agonji rzeżących starców, których zniszczone serca ostatniemi ciężkimi drganiem łopocą; a dusze, ranione celnymi strzałami, jak dziurawe sita, ostatnią krwią wypływają.

Pawełek poznał poniewczasie straszną swoją

pomyłkę: Nie wiedział dotąd, że lepiej już być krzywdzonym, niż krzywdzić. Bo ból ofiary jest o całe niebo szlachetniejszym od tryumfu ciemności.

O ileż lepiej mu było z tamtej strony Rubikonu! Był tam sam jeden — to prawda! Tęsknił i cierpiał. Lecz czysty, bez plamy, mógł przynajmniej szczycić się sam sobą w swojej splendid isolation, w estetycznej wieży z kości słoniowej! Teraz dopiero pojął, czemu ci wszyscy ludzie, którzy mu tak imponowali i z którymi chciał się zrównać — wyśmiewali go i wyszydzali. To była z ich strony zawiść, iż nie potrafili tak, jak on, ominąć życiowego błota, w które oni sami zabrnęli. Biedne brudasy w czystych kołnierzykach! To dlatego tak go wyszydzali, wyśmiewali i stronili od niego. Pawełek omylił się. Piękna mi zamiana oddawać pozę symulowanego trzodowego zadowolenia za królestwo smutnej lubej samotni kryształowych ścian swojej pustyni!

Łuska — niestety — zapóźno z oczu mu spadła. Nie ominął błota — przeświadczony, że jest inny, niż wszyscy. Inny, niż wszyscy! Ha, ha! Każdy przychodzi na świat czysty, zanim go życie nie splami. Wszak jeszcze „w sztubie“ zdobył spryt wybrania sobie przyjaciela, najbogatszego ze wszystkich kolegów. He, he! To był doskonały wybór, droga do przyszłej kariery. Był pieczenia-
rzem w domu matki przyjaciela nawet w czasach,

kiedy powinien był domyśleć się, że dostatek pani Romy płynął z mętnego źródła jej kochanka!

A potem łudził się przecież tak naiwnie, że to on wyrobił Jurkowi w banku posadę dzięki swojej pracowitości i dobrej opinii biurowej! He, he! Dobra opinja biurowa i pracowitość — to drwiny! Nietylko Jurek zawdzięczał swoją posadę protekcji swojej doletniej kochanki „Hebanowej“, lecz nawet i na Pawełkowe podwyżki wpływała nie dobra opinja u skromnego zwierzchnika, lecz też opieka metresy Jurka!

— A teraz przez zemstę z powodu jakichś intryg i plotek pokojówek — nie wahałem się uwieść mu żonę, która, mszcząc się, zdradzała pięknego ukochanego męża z pierwszymi lepszymi łotrami z ulicy. A teraz z takim brzydalem, jak ja! Ślicznie! Bravissimo! Przecież nie z miłości oddała się. Jedynie przez zemstę, specjalnie mnie właśnie dlatego, że byłem takim patentowanym przyjacielem jej męża. Brr...

I nagle wśród ciemni i czadu tych brudów jego duszy — zajaśniała mu srebrzystem światelkiem ocalenia: ekspjacja. Tak, tak. Ekspjacja! Pójdzie do przyjaciela i powie mu:

— Byłem szalony i słaby. Uległem najniższym instynktom, o których sam nie wiedziałem, że tkwią we mnie. Popełniłem podłość. Zdradziłem cię, choć byłeś mi w życiu droższym ponad wszystko...

— Nie, nie. To szaleństwo — zaniechał wnet tej decyzji, przekonany, że kamera obskura duszy ludzkiej nie mieści się ani w naszych potocznych słowach, ani w naszych szarych, codziennych czynach. W ciągu życia nie ekspansuje się ani dziesiątej części nagromadzonych zapasów ani dobroci, ani złości. I wielką dobroć, zarówno jak wielką złość, należy maskować, aby nie raziła teatralnością. I jego koturnowy giest skruchy wprowadziłby w zakłopotanie nie tylko Jurków, lecz i całą opinię, nie wiedzącą, jak na to zareagować, co odpowiedzieć, co z tym bezsensownym fantem zrobić?

Bo w życiu należy mieć takt. Jakżeż można denuncjować żonę przed mężem? Nie, nie. Człowiek kulturalny (!) milczy aż do grobu. Męka milczenia — to najcięższa ekspjacja.

Niema na świecie policzka tak dotkliwego, jak kiedy człowiek sam sobie plunie we własną duszę. I Pawełek z zapadłemi, martwemi oczami zataczał się, jak pijany, trzymając się za serce, które łopotąło mu w piersi nierówno, jak wahadło w zepsutym zegarze, mającym niebawem stanąć.

W chwilowych drzemkach wśród bezsennych nocy wydawał ciężkie jęki, aż zbudzona jego „histerją“ żona częstowała go pogardliwie laurowemi kroplami, jak starą pannę. I Pawełek, siedząc na swem posłaniu wśród białych nocy, biczował się

własną autoanalizą, tak obcą wszystkim auto-ignorantom:

— Moja niepoczytalność w chwili grzechu była mniejszą, niż u innych przestępców. Przecież nikt nigdy ani na ziemi, ani w piekle, ani w niebie nie usprawiedliwi mnie tem, iż w jakimś zakamarku mojej duszy ćmiło przesadnie ciekawe pragnienie, aby stać się gorszym i winniejszym względem swego przyjaciela, niż Jurek okazał się kiedykolwiek w stosunku do mnie. He, he! Nie, nie! To już jest zbyt s u b s t e l n e, jak mawiała Aurelka. Prawda, że przyjaźń Jurka była potrzebna mi, jak powietrze, a mój sceptycyzm co do jego wzajemności zatruwał mi życie. Nie wystarczał mi fakt, iż nie wyrządził mi przecież żadnej podłości. Wyśmiewał mnie tylko poza oczami. Wielka mi zbrodnia! Przecież sam znam najdokładniej te wszystkie własne śmieszności. A nie zależy mi wcale na tem, aby świat o nich nie wiedział. Nie szukałem więc zemsty za samą istotę plotki. Raniła mnie jedynie jego zła intencja, wynikająca oczywiście z najkompletniejszej ciężłości ku mnie. Lecz nie, po stokroć nie! To nie była zemsta z mojej strony, a jedynie wyregulowanie rachunków.. Nie umiem tego wyrazić... Cóż za męka! Ot, zależało mi, aby nie górować nad nim swoim altruizmem, aby nie być lepszym od niego pod żadnym względem; a szczególnie w stosunku do nas samych, jeden do drugiego. Bo tylko

w tym jedynym razie nie lepszy od niego — miałem prawo kochać brata, jak kochają się wszystkie równe sobie lilipucie robaczki, bez żadnej wyniosłości jedno nad drugim, sprowadzone do wspólnego mianownika krecich przywar i ułomności. Ot dlaczego wyrzuciłem mu podłość. Aby ustały już raz na zawsze zatruwające mi życie moje „dzikie pretensje“ do koleżki z dawnych błogich lat w zielonym mundurku ze złotymi guzikami „z uliczki na prawo, za schodkami na lewo“, którego mogę już kochać teraz tak, jak on mnie kocha, kiedy, jak ostatni opryszek okradłem go i skrzywdziłem.

— Lecz o ileż mniej bolesnemi są łajdactwa, które względem nas popełniają, niż te, które my sami względem innych popełniamy! — przekonał się po niewczasie.

Głowa pękała choremu od subtelności tych sylogizmów i logiki od siedmiu boleści.

W tym stanie niepoczytalnym prześlepił na-
zajutrz czas naznaczonej mu w Zachęcie
schadzki. Właściwie nie prześlepił, lecz nie po-
szedł, pomimo, iż uważał, że w każdym razie iść
należało. Nie mógł, nie miał sił... Przeraziła go
sama myśl kłamstwa, jakie musiałby rzucić u stóp
kochanki pana Arkadjusza Probierzki, dla której
pogarda przewyższała, pomimo jego woli, uczucie
litości. Jakaś silniejsza od niego niechęć przestę-
py do wspólnika zbrodni zdrady... Może z czasem

nauczy się żyć, jak inni... Teraz, przerażoną debiutanta ta stała, uplanowana podłość... I Pawełek odkładał z dnia na dzień usprawiedliwiającą wizytę w domu pani Lilki — zrażony lodową oziębłością Jurka. Bo zdradzony mąż, nie mogąc strawić świeżej nominacji nowego wicedyrektora i czyniąc za to odpowiedzialnym jedynie Pawełka, omijał demonstracyjnie jego gabinet, a spotykając w fabryce, odpowiadał mu w kwestjach biurowych półgębkiem, jak obcemu.

Pomimo wszystko, Pawełek zdecydował się ostatecznie na nieunikniony krok odwiedzin w mieszkaniu Jurków.

Drzwi wchodowe otworzyła mu Krzysia, którą pani Lola odstępowała ponownie pani Lilce. Bo doszła pod wpływem swego syna Zyzia do przekonania, że w dystyngowanym domu powinien usługiwać do stołu lokaj a nie pokojówka. I Pawełek od razu w przedpokoju po minie Krzysi zauważył, że na ustach jej nie igra już ów dawny dyskretny uśmiech sympatji, jaką go ongi cały dom raczył. Wszedł do saloniku, w którym miał uczucie, iż wieje tu teraz chłodem i pustką, jak w domu, w którym ktoś blizki umarł niedawno.

Pjanino było zamknięte. Brahms. berżerety Couperin'a i Rameau — pochowane. Z okien ogrodu wpływała jesień z pożółkłemi liśćmi, które wiatr tarmosił. Niebo bez jednej smugi słońca, bez

żdźbła obłoków ciążyło ołowiem swojej szarzyzny.

Zarówno Jurkowie, jak i solidaryzujący z nimi goście przyjęli Pawełka nieukrywanym lodem, nie siląc się wcale na atom uśmiechu.

Pani Lilka czuła się radykalnie wyleczoną ze swoich uczuć dla Pawełka, któremu nie mogła wybaczyć opuszczenia pierwszej naznaczonej schadzki po wszystkim, co między nimi zaszło. W całym jej dotychczasowym życiu erotycznym zdarzyło się jej to dotychczas po raz pierwszy.

— Nie. Tak się z kobietą nie postępuje. O tem wie każdy stróż nocny.

— Czyżby to miało być nowym etapem w mojem życiu? — wstrząsnęła się ze strachu. — Starość, czas, w którym spada się ze stopnia na stopień w dół — aż kiedy już na mnie nie spojrzynikt. I nikt nie zechce! — O! Là, là! Nie, nie! Nie daruje do końca życia Pawełkowi bólu tego swego uświadomienia, tej nowej nieoczekiwanej rewelacji, widoku nowych horyzontów, którym na imię: Musowa abdykacja.

I Pawlak w swojej roli stałego przyjaciela domu, w swojej przestarzałej charakterystyce murgerowskiego cygana, w doszczętnie zniszczonej już aksamitnej marynarce, z nieodłączną fajeczką w zębach — podał Pawełkowi minorowo dwa palce, odwracając się od niego z miną obrażonego króla jak również tylko co przybyły z Paryża Bol-

ski. Bo młody dramaturg z wiecznie krwawiącą tragiedją miłości do ojczyzny i do kobiety (chciałby, aby one były innemi, a kocha się je takimi, jakimi są) — przekonał się — niestety — na tułaczkiej obczyźnie — że żyć bez nich nie może. Od niedawna, jak ptak, wypuszczony z klatki — powrócił do niewoli. I wtajemniczony w winy niewdzięcznego ex przyjaciela, uważał za właściwe solidaryzować z Jurkami. Czuł pozatem osobisty żal do Pawełka z powodu pamiętnej niefortunnej nieodeczonej spowiedzi o zachodzie słońca wśród fabrycznych wertepów.

Nawet pani Marylka z noskiem, wytrenowanym tak, że czuła, gdzie każda erotyczna trawa rośnie, — odgadła, co między Pawełkiem a Lilką zaszło; a wobec tego uważała, że udzielenie przez Pawełka dymisji oszukiwanemu mężowi jest czemś, czego uczciwy gentleman nie robi. Bo to jest shocking.

Wkrótce bez ceremonji i Jurek opuścił demonstracyjnie ten ongi różowy, a dziś spopielwały salonik.

Pawełek przechodził męki Tantala. I co chwilę chwycił mimo woli z niezręczną niedyskrecją za zbolące serce z ciąglem uczuciem, że mu ono z piersi wyskoczy.

Aż pani Marylka w pogardzie dla „karjerowicza“, nie wahającego się wysadzić podstępniemi intrygami swego współnika — zwróciła się prawie

jawnie do swej przyjaciółki, z której pogardą dla Pawełka w zupełności solidaryzowała:

— Spójrz na jego ruchy kabotyniczne, z jakimi udaje, iż serce pęka mu z żalu. Wiesz, jest mi po prostu wstrętny, słowo daję.

Pawełek uważał za właściwe powstać z siedzenia i z decyzją wypicia czary trucizny do dna — proponował na stronie białym głosem pani Lilce:

— Kiedy obejrzymy razem w Zachęcie Chełmońskiego? Proszę mi wybaczyć, byłem wtedy bardzo chory.

— Wiesz, Marylka — żarcikowała pani Lilka ze źle symulowanym jadem, zwracając się cynicznie do swoich gości — co mi zaproponował w tej chwili nasz stary przyjaciel?

—?

— Ni mniej, ni więcej tylko schadzkę w salonach Zachęty. Nie, kochany panie, nie czuję się usposobioną do Chełmońskiego ani jutro, ani nigdy. Słyszałeś, Jur! — zwróciła się do męża, który wszedł do pokoju.

— Co? Pierwsza nagroda cnoty Montijona wyznacza rendez-vous uczciwym mężatkom? — cynizował po swojemu Jurek. — Wiadoma rzecz: cicha woda brzegi rwie.

I Pawełek skonstatował w tonie oziębłego, lecz sympatycznego od natury bursza, ziejącą nie-nawiść, podobną do tej, którą Jurek syczał ongi jedynie w stosunku do pana Witolda.

— Może świeżo zamianowana pani vice-dyrektorowa okaże się ciekawszą Chełmońskiego — szepnęła półgłosem pani Marylka Bolskiemu, który począł jej się podobać.

Pawełek w melancholji swego życia, nie przywykły ani do wielkich gromów, ani do słońca, niewytrenowany zarówno do wielkich rozkoszy, jak i do wielkich ciosów — opuścił wreszcie mieszkanie Jurków w stanie psychicznym, jakiego dotychczas w życiu nie zaznał.

Miał uczucie, że serce trzepoce mu w piersiach, jak raniony ptak w klatce. I przyciskał je niezręcznie rękami z tumanem gorzkich myśli, które w chorym jego mózgu wirowały z takim pędem, że aż zataczał się z męką człowieka, tonącego w błocie i zmuszonego pluć na własną duszę.

Im bardziej posuwał się w lata — tem częściej miewał złudzenia, że jest małym chłopczykiem, który mimowoli splamił swoją sukienkę. lub którego chłopcy na podwórzu niesprawiedliwie skrzywdzili — przeświadczony, że na wszystkie takie męki są najskuteczniejsze przytulne ramiona matki, potrafiącej bez niedyskretnego badania choroby koić, jak nikt inny na świecie swemi skrzydłami wszystkie bóle piskłące.

Lecz dziś, zraniony, wracał do swego legowiska sam, — pewny, że na ukrywane troski starego ojca sklerotyka w gwarze domu nikt uwagi nie zwróci. Bo młodzi uważają za rzecz zupełnie na-

turalną, że starzy chmurzą się, dziwaczają, zżymają lub chorują.

Zauważył ten fakt nietylko u siebie w domu, lecz wszędzie. I na samotnych swoich spacerach ulicznych dostrzegł, jak młodzi zagarniają w swoje ręce całe życie. Zawładnęli trotuarem, ulicą, miastem. Na nich zwraca się uwagę, nimi interesuje się ogół. A pochyleni, krótkowzroczni, sunący na niepewnych nogach starcy — to już obcy przejezdni na wylocie, z innego już kraju.

I stojący już poza życiem Pawełek zdawał sobie z tego sprawę, że i jego dom przechodzi tę zwykłą fazę, w której dzieci, ongi pisklęta, a dziś przemienione już z gąsienic w motyle — dominują nad starymi, jak młode wyniosłe orły -- w pogardzie dla starczych rad, wpływów lub rozkazów; bez żąbła tej tkliwości dla starych rodziców, jaka w takiej potędze zrodzi się w nich dopiero z czasem dla przyszłych własnych dzieci.

— Za krzywdy względem rodziców — odpłaca im ich własne dzieci.

Jakimś zupełnie jawnym murem obcości, prawie niechęci oddzielał się od swego rodzica Zyzio, wyrosły — lichy wie, za czym posiewem — na paniczyka, uganiającego się jedynie za „arystokratycznymi stosunkami“. I, wstydząc się (o! idjo-tyzmie!), że jest synem dyrektora fabryki mydła na przedmieściu, podkreślał jedynie ziemską posiadłość rodziców Lolin (Lolówka — brzmiało

zbyt folwarcznie) „w Grójeckiem“! Ów Lolin, wylitografowany na papierze listowym Zyzia, miał niby oznaczać nie świeżo założony kilkomergowy ogród, przylegający do osady fabrycznej, lecz „jeden z folwarków ich stałej rezydencji całego wielkiego klucza, oddziedziczzonego po przodkach“. Pękać ze śmiechu!

Ulubieniec matki, poczynającej z latami także podkreślać swoje zamięłowania do dystynkcji — Zyzio przypominał bardzo babkę Wtorkowską.

Całe dni spędzał na polerowaniu paznokci i lubowaniu się sygnetem, na którym wyryty był jakiś herb od siedmiu boleści, należny mu jedynie po kądzieli. I wstydził się swego mieszczańskiego nazwiska Szylert, obok którego kazał wyryć na swoich biletach wizytowych: „Zygmunt Szylert Narew Wtorkowski“. Badał przytem ustawicznie wszystkich, nie wyłączając ojca, czy nie można by wogóle tego wstrętnego Szylerta wyrzucić ze swego zbyt długiego nazwiska.

Niewiele powabniejsza od niego siostra, panna Kazia, jakby na przekór matce i bratu była znowu straszną demokratką. Utyskiwała od rana do nocy, że dusi się w tem środowisku, „bo czasy niewoli kobiecej już się skończyły“. I twierdziła do znudzenia, w przewidywaniu przyszłych napaści, że ona nigdy nie da sprzedać się na jarmarku konkurentowi, wybranemu przez rodziców. Tymczasem bardzo niedemokratycznie tyranizowała

guwernantkę i pannę służącą, bez której matka nie pozwalała jej wychodzić na miasto. I doprowadzała panią Lolę do szału postrachem, że wyjedzie do Sorbony, do école de beaux arts lub do akademji muzyki, choć uczyła się wcale nieświeżnie i żadnych specjalnych talentów ani zamiłowań dotąd nie zdradzała — przejęta raczej pustemi hasłami postępu, niż jego treścią. I w burżujskiem próżniactwie posażnej panny na wydaniu — górzekniała w oczekiwaniu konkurenta, który się nie zjawiał. I paradowała niepopularnemi w domu ideałami jedynie w celu wiecznego darcia kotów z matką dla zapełnienia nudy bezczynnego, czczego życia.

I zirytowana matka, zapominając na śmierć o własnych niesnaskach ze starą mamą Wtorkowską, rozdzierała w tych kłótniach z córką szaty o rozłamie dwóch pokoleń, o jakim ongi dzieciom i rodzicom nie śniło się! A toż musiała ta idealizowana jedność i cześć dla zmarłej — dziwić z poza grobu starą Wtorkowską, z którą za życia córka darła koty całemi dniami!

Pawełek nie brał udziału w tem rodzinnem „ścieraniu zdań“, które bez atomu wzajemnych ustępstw zapełniało niezmienną falą cały dom od rana do nocy.

Tę całą treść życia swoich najbliższych Pawełek uważał za sieczkę czczej, pustej jedynie zewnętrznej gadaniny, mielonej przez młyn ciepła

rodzinnego, który obraca się dzięki ciężkiej pracy jego całego życia. Dzięki tej sprężynie, utożzonej z jego nerwów, mózgu i mięśni mógł cały dom bez troski „o papu, o tutu, o hajty“ wegetować. A on sam, nie zważając na zranione skrzydła duszy i na starość ciała, musi myśleć nie tylko o dniu dzisiejszym, lecz i o jutrzejszym, aby ta cała komedia marionetek, jak domek z kart po jego śmierci nie zawaliła się.

Tembardziej poczuwał się do tego obowiązku zapewnienia im przyszłości, iż w gruncie nie mógł obronić się od żalu ku nim, jaki nurtuje w głębi jego serca, iż oni nie są tacy, jakimi on by pragnął, aby byli. A jednak wszyscy inni rodzice tolerują tę obcość dzieci mniej wrażliwie, niż on. Jest więc gorszym ojcem od innych. Tak. Bo zanedbano przejmować się faktem, iż czuje się oddalonych o sto mil od nich i oskarża się, że tak nieudolnie tę swoją tajemnicę żalu maskuje.

Zanedbano tragizować fakt, że żona jak najjawniej nie solidaryzuje z nim nigdy. Bojkotuje go stale nie tylko w kwestiach zasadniczych, lecz w każdym zdaniu, w każdej najdrobniejszej sprawie osobna. I Kazia z powodu „dzikich poglądów“ tatusia wzrusza stale ramionami i Zyzio pogardliwie swoje przekorne usta zacina.

Na tym jedynym punkcie nieuznawania ani umysłu, ani charakteru ojca — godziło się ze sobą całe rodzeństwo, obrzucając się wzajemnie za ka-

żdem odezwaniem Pawełka znaczącemi spojrzeniami.

Za to jawne już w ostatnich czasach wzrastanie ku niemu niechęci całej rodziny — Pawełek czynił odpowiedzialnym swój własny moralny upadek.

Miał wrażenie, że wszyscy dokoła w atmosferze, zatrutej jego amoralnością, wtajemniczeni przez fluidy astralne w rzeczy, których się nie widzi — męczą się w pogardzie nad upadłym zdrajcą i grzesznikiem. Nawet nie wiedząc, można czuć.

Zdawało mu się, że jak w starych legendach nie można zetrzeć z czoła krwawych stygmatów zbrodni, tak i w rzeczywistości wszystkie ukrywane grzechy wypływają, jak oliwa, na wierzch i stają się widzialne nawet dla oczu najmniej uświadomionego dziecka.

Nerwy drgały mu całemi sznurami zawieszonych małych dzwoneczków, które przed oczami bezustannie mu spadały.

Pani Lola uskarżała się przed wszystkimi swoimi quasi przyjaciółmi, że mąż jej ogromnie się zestarzał i zdziwaczał.

— Niechaj mój przyszły zięć — aforyzmowała — będzie utracjuszem, impetykiem, lekkoduchem, aby tylko nie zaciętym mrukiem i odludkiem. Pożycie z mężem dziwakiem, z którym nie

ma się nie wspólnego — to najcieńsza pańszczyzna na świecie.

Ku najwyższemu swemu zdumieniu dowiedziała się pani Lola od Krzysi, z którą nie przestała się przyjaźnić, iż serdeczne stosunki tej dawnej bałwochwalczej przyjaźni Pawełka z Jurkami ochłodziły w ostatnich czasach. Wizyty stały się znacznie rzadsze i krótsze, a teraz składa je Pawełek już tylko dla formy.

I oto samotnego już zupełnie Pawełka, uśmieającego bóle wszystkich najkrwawszych ran w odludnej norze swego pokoju — uderzył nowy niespodziewany obuch przeznaczenia — kata w postaci skoku logiki kobiecej.

Bo pani Lola, uważająca w ciągu 20-u z górą lat małżeństwa tę mężowską przyjaźń ku tej „hołocie“ za zmoreę swego życia — zakonkludowała naraz swoim motyło ptasim mózgiem:

— Czy jest jaki sens zrywać naraz z ludźmi, z którymi przyjaźnił się od dziecka? Jeżeli Jurek uczynił mu nawet jaką niemiłą uwagę z powodu przyjęcia tego wicedyrektora — to miał przecież zupełną słuszość: Od czegoż jest się przyjacielem? To było niezdarstwem ze strony Pawełka dopuścić, aby akcjonariusze bez jego zdania przeprowadzali własne plany i własnych kandydatów.

I w swoim nagłym solidaryzowaniu się „z hołotą“ zadecydowała tryumfalnie:

— No, przekonali się wreszcie, że z takim cha-

rakterem, jak Pawełka, nawet najbliżsi przyjaciele długo wytrzymać nie mogą.

I pani Lola poczuła naraz ku pani Lilce pewną, wzrastającą wciąż sympatję, aż wreszcie zdobyła się na konkluzję:

— Lilka miała słusność, że zabaw w życiu nie unikała. A głupią jest jedynie kobieta, która męża nie zdradza. Bo na nic lepszego oni wszyscy nie zasługują. Cóż dziwnego? — komplementowały się w coraz częstszych odwiedzinach. — Jesteśmy przecież krewniaczkami. Uczucia rodzinne zawsze się odzywają. Krew — nie woda.

— Naturalnie. Co rodzina — to rodzina. A co obcy — to obcy.

— Nie byłam nigdy zawziętą. Co było, a nie jest — nie pisze się w rejestr.

— Tembardziej, kiedy musimy przyznać, że te wszystkie dawne nasze swary powstawały z idjotycznie drobiazgowych powodów.

A figlarne chochliki boki zrywały, wskazując je sobie palcami:

— Parzcie! Te obie tak średnio sympatyzujące ze sobą od dziecka kuzynki stały się nierozdzielni przyjaciółkami! Czy wiecie od kiedy? Oto dopiero od chwili, kiedy mąż jednej z nich stał się kochankiem drugiej. Dobrze sobie, co?

— Ha, ha, ha!

I mało zmysłowy Zyzio (przejęty głównie ostatnim pomysłem swoich nowych biletów wizyto-

wych, na których kazał wydrukować pod wielkim herbem po kądzieli z pięciopalkową koroną: Sigismund Chillerte de Narew-Wtorkowski), zauważył, że w pani Lilce jest rasa.

W wielkiej pogardzie dla umiłowanej staroświecczyny ojca — lubił popisywać się z młodzieńczym snobizmem nowomodnymi wyrażeniami, którymi usiłował kokietować panią Lilkę:

— Pani jest bajkowa kobieta. I byczo się pani ubiera. Ja gwizdzę na kobiety, nie noszące jedwabnych pończoch i bez pedikiury.

Był przekonany, że tych modnych wyrażen: „byczy, bajkowy, gwizdzę“ — nie można nawet porównywać z wycofaną z obiegu starzyzną w rodzaju: „Lubię kwiaty, ale w maju, nie mnie brać na kawał, każ się wypchać“. Nonsensy, którymi paradowano za czasów królowej Bony z przed ćwierci wieku.

Spzeczna Kazia niebardzo godziła się z zachwyta mi brata na cześć pani Lilki. Lecz wbrew swoim postępowym zasadom — niesolidaryzowania z wstecznymi zapatrywaniem i matki (według których Jurek należał jakoby do najniebezpieczniejszych mężczyzn — z czarem, jakiemu żadna kobieta oprzeć się nie mogła), czerwieniła się po białka oczu za każdym rzuconym jej uśmiechem podtatusiałego już nieco, ale zawsze pięknego jeszcze donżuana.

I wbrew swoim zasadom sanacji, koedukacji

i emancypacji — krygowała się, sznurowała buzię i opuszczała oczka, jak zwykła panienka z przed stu lat i z przed lat tysiąca.

Lecz, o, dziwo! W też same promienne szaty wyblakłych rumieńców i uśmiechów, pochowanych od ćwierci stulecia na cztery spusty — ustroiła się zgorzkniała od wieków pani Lola.

W płciowo uczciwem jej życiu brzydkiej kobiety bez skazy — ów jedyny pocałunek, (jaki skradł jej z ust ongi na balu ten piękny obcy mężczyzna) — rozświecał nieraz samotnię jej szarego życia czarownym tajemnym grzechem rozkwitłej rajskiej jabłoni. Burze pozrywały kwiaty, zanim zrodzić się miał z nich owoc.

Pani Lola nie łudziła się w swojej starości żadnemi nadziejami spełnienia swoich nagich myśli, których tajemnicę tyle uczciwych starych kobiet zanosì z sobą do grobu. Lecz radowała ją sama obecność pięknego uwodziciela. A uśmiechy, jakimi obrzucał jej córkę Kazię, działały na nią tak, jak ongi na starą Wtorkowską działał bezna dziejny flirt z niedoszłym zięciem.

Pod wpływem tego ogniotrwałego czaru Jurka, który podsycał niespożycie już trzecią gienerację (babkę Wtorkowską, matkę i córkę) — cały dom przywdział ową różową szatę, utkaną z uśmiechów, zadum i z marzeń, w jaką wikła tak majstersko swoją różdżką czarodziejską stary figlarz Amor.

Za jego też sprawą, czy też za podszeptem innych satyrów — pałały coraz większym ku sobie afektem pani Lola z panią Lilką — niezmordowane w wiecznych wspomnieniach dawnych lubych czasów — niby Protazy z Gierwazym, w wiecznych komplementach: „Tak, tak. Protazeńku; tak, tak, Gierwazeńku“.

To zbliżenie się pani Lilki (którą ongi wiecznie prześladowała obawa panny respektowej w domu tej niesympatycznej bogatej kuzynki) — spowodowała — wbrew ogólnym posądzeniom — wcale nie kalkulacja bankrutów, chcących się przypodobać jedynej właścicielce Lolina.

Nie. Szło tu wcale nie o protekcję. Połączyła je poprostu wspólna nienawiść ku Pawełkowi. Bo brzydka żona czyniła odpowiedzialnym za swoje czcze, szare życie jedynie obcego jej zupełnie męża, plebejusza, z odrębnego jej środowiska, z innej parafji, z innej rasy, z innej planety.

Pani Lilka zaś znienawidziła Pawełka z całego serca, nietylko jedynie dlatego, że porzucił ją, jak kokotę, po jednej schadzce; bo taką tajemnicą łączy się, a raczej rozłącza się niejedna miłośćka. Lecz nie mogła darować mu, że posiadał tajemnicę „tego trzeciego“, i wiedział, iż ona zdradzała swego męża nietylko z nim jednym, lecz że pod płaszczykiem miłości uprawiała poprostu rozpustę. Bo przecież nie można nazwać miłością

uczucia dla typów tego rodzaju, co Arkadiusz Probierzko.

I z perfidją kobiety, którą zepsuło tajone życie kłamstw — zwierzała się swojej świeżo odgrzewanej przyjaciółce, kuzynce:

— Mego męża, wierz mi, zasmucił nie sam fakt szykany przy tej nieszczęsnej nominacji wicedyrektora. Bo pojmujesz, moja droga, że przy jego zdolnościach i szczęściu do ludzi — nędza nie grozi nam w żadnym razie. Zresztą nie byłam nigdy przyzwyczajoną do zbytków. Mogę udzielać lekcji śpiewu i języka hiszpańskiego. Lecz wierząc mi, że zarówno mnie, jak i Jurka zabolęła jedynie ta jego niewdzięczność za uczucia, jakie ku niemu oboje żywiliśmy. Za to, że narażając się nawet nieraz wobec ciebie, solidaryzowaliśmy wyłącznie w przesadnej przyjaźni z jego starokawalerskimi dziwactwami.

— Tak, tak — odpowiedział „Gierwazy“. — Przyznaję, że zupełnie nie rozumiem motywów tej jego dziwacznej nieobecności na tak ważnem zgromadzeniu akcjonariuszów. Fakt tem bardziej zagadkowy u takiego biurowego mola, który w dniu własnego ślubu przeglądał papiery swojej kancelarji. Słowo daję.

— Istotnie — zahazardowała się ze szczytem perfidji bez żadnego wahania pani Lilka. — Jakiś bardzo zagadkowy powód zmusił go widocznie do porzucenia tak ważnej sprawy. Ciche wody nie

tłomaczą, kiedy, czemu i w jaki sposób rwą swoje brzegi. Przecież on nie silił się nawet na tłumaczenie i na wskazanie powodu swojej niechecności. To wszystko — bardzo zagadkowe.

— Wiesz, nie przyszło mi to nigdy do głowy. Przy jego braku temperamentu... zwierzała się żona.

— Moja droga — uczyła ją pani Lilka, usprawiedliwiając własne grzechy kalumnjami na mężów — brak temperamentu wobec własnych żon nie świadczy jeszcze wcale o temperamencie ich uczuć poza domem. Wiem coś o tem z własnego doświadczenia — kłamała, pocieszając ambitnie dotkniętą brzydką kuzynkę.

Lecz najbardziej zatruwał Pawełkowi duszę jad rozgoryczenia, z jakim Jurek pastwił się nad nim w wybuchach sarkazmu, skierowywanego niby nie bezpośrednio do kogokolwiek, lecz ogólnie:

— Najgorsi są owi czyści, jak kryształ, poczeiwcy — cynizował ze swoim miłym uśmiechem, w którym życiowy sprycik tak harmonijnie łączył się z dobroduszością: — Wobec tego, że ci kryształowi poczeiwcy nie wydają swojej zawiści i złości w drobnej monecie, drobnymi dozami — nagromadzona w ich mózgach przez cały ciąg życia gangrena musi znaleźć sobie ujście w jednym wielkim jadzie choćby na skraju ich życia — parafrazował sentencję zasłyszaną niegdyś od samego Pawełka.

— Naturalnie — solidaryzowała teraz stale ze

swoim mężem pani Lilka, wyleczona już z pokątnych miłostek, z postanowieniem niezdradzania już więcej męża, który — mimo wszystko — był jej zawsze bliższym od wszystkich kochanków. — Człowiek musi albo kochać, albo nienawidzić.

Pawełek uważał tę katorgę życia za ekspiację wszystkich swoich grzechów. Lecz nie cierpiał już tak, jak dawniej. Stał się apatycznym — przekonany bardziej, niż kiedykolwiek, że jest piątem kołem u wozu. Ale na to nie było rady, bo z takim wyrokiem przyszedł już na świat.

Przytem jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że to wszystko — to już początek końca jego przejściowej, króciutkiej, ziemskiej fazy istnienia we wszechświecie. Przecież tak niedawno jeszcze był sztubaczkiem, pieszczonym przez Bubuškę w pokoiku za czytelnią na Lesznie, a teraz jest już siwiejącym starcem nad grobem. Jakie to dziwne! Nad grobem! Doskonale! Aby jaknajrychlej. Nawet odbierać sobie życia nie warto.

Był przekonany, że się nie myli. Nie zwierzał się ze swoich coraz częstszych ataków sercowych — przeświadczony, że nie znajdzie ani pomocy, ani niepokoju, ani żalu.

Fabryczny lekarz, schlebiając pani Loli, stwierdził wprawdzie słuszność jej diagnozy, że to wszystko są jedynie objawy dziwactw przedwcześnie stetryczalego wiecznego mruka.

— Dobrze, dobrze. Niech i tak będzie —

uśmiechał się, najdokładniej uświadomiony co do istotnego stanu swego zdrowia. Bo poza własnymi przeczuciami — jeszcze i potajemna djagnoza badanego specjalisty stwierdziła nieodwołalny wyrok:

— Hannibal ante portas — zawyrokował bardzo poważny konsultant, nie wahający się uświadomić bez obłonek „lekkomyślnego“ chorego.

Radził mu mniej pracować, unikać ujemnych wrażeń i wzruszeń i zalecił kąpiele kwaso-węglowe, dygitalis, strofanti, jod, kamforę i morfinę.

— To są wszystko środki, udzielane w obawie anginy pectoris. Prawda? — badał Pawełek.

— Być może — stwierdził lekarz — zalecam je przy osłabieniu mięśni sercowych na tle silnej przewczesnej sklerozy.

Pawełkowi ani śniło się przeprowadzać ściśle zaleconej przez lekarza kuracji.

I zagustowawszy jedynie w morfinie, której nie uważał za lekarstwo, lecz za narkotyk — nie pozbywał się swego smutnego uśmiechu człowieka, który, machnąwszy ręką na wszystko, pojmuje doskonale, że wszystko już się skończyło. Teraz chodziło mu o zniszczenie świętości, które dla ludzi, nie sugiestjonowanych kultem wydadzą się rupieciami.

I z lubością dał listy Bubuśki, aby w obce ręce się nie dostały; niszczył pamiątki: ową bajerowską fotografię w okrągłych ramkach wykrynolinowa-

nej matki i ojca z rozpiętą czamara w konfederatce z białą obwódka żałoby 63 roku. I własną podobiznę (Mulerta i Kostki) bladego i smutnego chłopca w gimnazjalnym mundurku. I Jurka w różnych pozach, wystrojonego podług różnych ostatnich mód, dziś tak rażących swoją staroświeckością.

Biurko było już puste. Pawełek zapalił wielki ogień na kominku. I niezmordowany w swojej gorliwości wrzucał do niego całe stosy papierów, wyspanych ze wszystkich szuflad na dywan podłogi. I patrzył w płomień, pochłaniający krwawymi językami całą jego przeszłość, przemienioną nagle w perzynę.

I Pawełek, przypatrując się tej małej garstce popiołu, miał wrażenie, że i jego samego niema już na świecie, że go nigdy nie było. Jedynie ta garstka prochu... A cała ulica Pokorna, Inflancka, Leszno i ci wszyscy ludzie, którzy w tem mrowisku jednocześnie z nim radowali się, smucili, żyli, przemienia się w takąż samą garstkę popiołów w krematorjach. I świat cały wydał mu się naraz czarowną fosforescencją świetlanych atomów we wszechświecie, niknących w ciemni, niby ogniste robaczki świętojańskie.

I w tym nieopuszczającym go pośpiechu załatwiania spraw, które go jeszcze na wyjezdzie czekają, zwołał walne zgromadzenie akcjonariuszów, na którym z niezwykłym ogniem oświadczył nie-

odwołałnie, że aczkolwiek, korzystając z jego nieobecności akcjonariusze mieli prawo przeprowadzić większością głosów swego kandydata, jednak i on również ma prawo, nie solidaryzując z tem postanowieniem, wnieść niniejszą formalną prośbę o zwolnienie go ze stanowiska dyrektora firmy.

Akcjonariusze, zmiarkowawszy po jego minie i tonie, że to nie są strachy na lachy, lecz nieodwołalna jego decyzja, na ostrzu miecza stawiana — zmiękli w obawie ryzykownej utraty niezbędnego dla losów fabryki pracownika.

W przeczuciu swojej porażki dyrektor kopalni „Heban“ obalił całą drażliwość wahania jednym cięciem, że sprawa rozstrzyga się sama przez się tem, iż jego protegowany cofa swoją kandydaturę wicedyrektorską wobec znacznie korzystniejszych dla niego ofert ze strony kopalni „Heban“.

Napół martwy Pawełek, dysząc ciężko, siedział w swoim gabinecie, zajęty ukrywanyim środkiem wstrzykiwania sobie szprycką morfiny.

Ktoś do drzwi zapukał. I Pawełek drżącemi rękami pijaka schował swoją powolną truciznę do biurka.

— Proszę wejść — zdecydował głosem nagle sztucznie ożywionym.

W drzwiach gabinetu pojawił się Jurek, który już od dość dawna nie przestępował progu swego współnika. Pawełek powstał z fotela... I przez wieki sekund obrzucali się wzajemnie spojrzeniami,

niezdolni wynaleźć słów, nagromadzonych w ich duszach w ciągu blisko pół stulecia.

— Czy nie przeszkadzam ci?

— Proszę cię bardzo — wskazał mu Pawełek miejsce na otomanie. — Na stoliku są papierosy.

— Dziękuję ci. Jestem przyzwyczajony do swoich. Jestem ci bardzo wdzięczny za twoje wstawienie za mną na sesji — wykrztusił po chwili, wyjmując ze skórzanej papierošnicy papierosa. I roztaczając dokoła woń skóry, przejętej zapachem tytoniu — urwał — nie będąc w stanie przebyć góry, która ich dzieliła.

Dokoła nich zapanowała ołowiem cisza. Owa cisza najcięższa, brzemenna w niewypowiedziane uwieszone myśli.

I śród tej ciszy przeczulony Pawełek drgnął od roztaczającego się śród niemoty powtórnego zgrzytu ocieranej o pudełko szwedzkiej zapalniczki do zagasłego papierosa. Dokoła rozlegał się tik-tak zawieszonego nad biurkiem zegara.

I Jurek, pomimo chaosu ciepłych myśli, które mu mózg wspomnieniami obwijały, nie zdobywał się na wypowiedzenie choćby tego jednego frazesu:

— Wiem, rozumiem wszystko. I ja także...

Martwe oczy Pawelka rzucały mu niemą odpowiedź:

— Nie trzeba. Po co? Zapóźno. Wypróżniłem już szufladę. Wszystko spalone: Nietylko fakty, lecz i myśli, uczucia i pragnienia. Nie trzeba.

W oczach Jurka zaświeciły łzy. Wiedział już od rejenta o sporządzonym testamencie przyjaciela; od lekarza o grozie choroby Pawełka, którego ostatecznie to on przecież zwyciężył:

Bo Jurek zatryumfował znów w całej potęgze swego zdrowia wśród miłości żony, która do niego powróciła i wśród łask całej rodziny współnika, która uważała jedynie jego za swoje bożyszcze. Pozatem posiadał znów stanowisko w biurze i zapewniony był do śmierci. Cóż dziwnego, że wdzięczny Pawełkowi za ofiary całego życia — wyciągnął naraz swoje silne ramiona, do których Pawełek w poczuciu swej słabości zbliżał się już — tak spragniony wiecznie tych objęć towarzysza z ulicy Inflanckiej...

Lecz nagle w żrenicach Pawełka, rozszerzonych maligną morfiny, zaświeciła opalowa wizja garsonjery na Kruczej: Piękna kobieta w bieli koronek, żona przyjaciela, którego najhaniebniej zdradził... Błoto życia plami nawet tych, którzy od dziecka łaknęli być czysti, bez jednej plamy, już jeśli nie w myślach bez skazy, to przynajmniej w czynach bez zarzutu...

I Pawełek uczuł do Jurka niechęć, jaką uczuwał kat ku swoim ofiarom; rzezimieszek ku tym, których okradł. Niechęć stokroć większą, niż ta jaką uczuwamy ku tym, którzy nas krzywdzą. Stokroć większą, ale jakąż przytem bolesną... dla nas samych! I Pawełek wysunął swoją zimną,

wilgotną rękę z uścisku Jurka. A usta jego, niezdolne do wyrażenia miliardowej części ludzkich myśli, wycedziły z tragicznie wytrenowanym zdawkowym uśmiechem:

— A nie zapominajcie państwo o przyobiecany wczoraj Loli i Kazi kinematografie. Byłyby w rozpacz, gdyby miały iść same z Zygmuntem.

Jurek jeszcze przez sekundę buntował się przeciwko tym wszystkim niewypowiedzianym myślom półstulecia, które niezdobytą martwą skałą ich rozłączyły. Lecz uczuł się bezsilny wobec potęgi oceanu milczenia, którego nikt nigdy nie przepływa. I ze zwykłym już kłamliwym szablonem odpowiedział tonem, jakim zwykle się mówi:

— Niema obawy. Gdybym zapomniał — Lilka głowę by mi urwała. Tak się pali do tego kinematografu.

Podali sobie ręce na pożegnanie. Czuli, że wszystko pomiędzy nimi się skończyło. Bo Pawełek czuł, że mógł wybaczyć wszystko złe, jakiego od Jurka w życiu zaznał. Lecz nie strawi nigdy tej krzywdy, którą on sam przyjacielowi zadał i która pozostanie wiecznym murem pomiędzy nimi — nie do przebycia. Bo kara za winy nasze tkwi w nas samych. Musiałby zwierzyć mu się ze wszystkiego. Lecz tego przecież uczynić nie może. Zresztą po co? I tak wszystko się skończyło.

IX

Już blisko od roku ciągnęła się wojna, czyli rekord okrucieństwa, szalu i zbrodni. Nagromadzone w ludziach zwierzęce instynkty złości — zbierały swój krwawy plon dla przyszłych epopei, w których to przejściowe wyzwolenie się z kajdan wszelkiej obowiązkowej etyki i moralności — apoteozować się będzie, jako najwznioślejszy symbol bohaterstwa i patriotyzmu. A aniołowie i sam Pan Bóg z nieba mają okłaskiwać nas, a karać jedynie niesprawiedliwość przeciwników. Choć modły do tegoż samego Boga, wspólnego ojca wszystkich na ziemi braci, wysyłają jednocześnie i owi... przeciwnicy, których czyny nazywamy okrucieństwem żołdactwa apaszów, tak samo, jak oni nazywają dzikiem łotrostwem bohaterstwo naszych nadrycerzy!

Spізowemi surmami nacjonalistycznej pychy rozbrzmiewała perfidja polityków swoim specjalnie fałszowanym słownikiem, w którym najbrutalniejsze najazdy i zabory chrzczono wymijająco aneksją, posłannictwem dziejowem, misją historyczną, wyrównaniem kresów, zabezpieczeniem granic i innemi podobnemi banialukami. Choć zwycięstwo „tej wojny o pokój“ miało należeć, jak ongi, jedynie do tego militarizmu, który powali inny, słabszy od niego. Choć rezultatem tej wojny miał być znowuż tryumf silniejszych bru-

tali, siejących jad przyszłego odwetu pokrzywdzonych.

I z nerwami, dygocącymi, jak szereg dzwonek elektrycznych — miewało się uczucie, że ziemia ugina się pod stopami wśród huku szrapneli, dochodzącego z piekielnych jatek Grójca, Sochaczewa, Pruszkowa...

A nad tobą, niby stada złowieszczonego ptactwa, szybowwały nieprzyjacielskie aeroplany, upuszczające ze swych zatrutych paszczy śmiertelne bomby na starców i na dzieci.

Cytowano pół miliona trup pod Gąbinem, 50,000 zakłuto pod Działdowem...

Jak na amerykańskich plakatach, głoszących o najlepszym czernidle do butów, lub na porost łysiny — obie wrogie parafje podszezuwały kłamliwymi oszczerstwami do pogromu — wroga, który morduje starców, kobiety i dzieci. Jak gdyby mordowanie szrapnelami i gazami trującymi — młodość było czemś znacznie sympatyczniejszym.

Podjudzane temi bombastycznymi manifestami narody, jak w cyrkach byki czerwonymi płachtami — były przekonane w swoim transie dygocących nerwów, że to jedynie po jednej ich stronie leży słuszność, sprawiedliwość, dobro ludzkości i możliwość istnienia ich ojczyzny.

Tylko jedynie ich strona kieruje się szlachetnością, altruizmem i ideałami równości, wolności

i braterstwa, a nie żadnemi interesami nacjonalistycznymi, jak te „łotry i zbrodniarze“... z przeciwnika!

I jeszcze raz słuszność miała stanąć po stronie tych, którzy zwyciężą, to jest tych, których trucielskie przybory oślepiań, kalectw, tortur i zbrodni okażą się doskonalsze, a których trening apaszy w białej walce zręczniejszy, to jest pod czyjem uderzeniem kolby mózg prędzej pryśnie ze łba, kto łacniej oczy wykołe i mordę rozwali. Jak w gentlemańskich walkach nożowców na Woli.

I znów, jak od początku świata, po latach szaleń, okrucieństw, kłamstw i krzywdy, po wyjściu z transu na grobach rzezi miljona niewiniątek — miało rozpocząć się dawne życie. Jednostki tak samo będą się rodziły, radowały, smuciły i umierały, jak dawniej. Też same bóle i radości, też same kłamstwa i krzywdy, też sama beczka Danaid! I jak grzeczne dzieci po burzy — będą opowiadały sobie minione dzieje tytanów z medalami, o których odwrotnej stronie tradycje milczą. Jedynie duchy poległych przedwcześnie rycerzyków zawodzą:

— Czemuście kazali umierać nam tak młodo, a sami żyjecie?

Pawełek, niezbyt ufny w ocenzone sprawozdania dzienników, w których wojsko rosyjskie cofało się jedynie „dla wyrównania frontu“ w wielkim porządku na wygodniejsze pozycje ze

stałą, zwykłą utratą jednego tylko kozaka — nie wierzył — wbrew ogólnym przewidywaniom, aby wojna tak szybko się skończyła.

Kilkorazowe ewakuacje z Warszawy różnych moskiewskich urzędów, które szybko powracały — uważano ogólnie jedynie za nowo wynalezione źródło urzędniczych dochodów, jakie spływały im do kieszeni przy tych kosztownych peregrynacjach.

W mózgach najśmielszych polskich utopistów nie mieściła się jeszcze zbyt już tytaniczna myśl, aby dynastia Romanowów mogła zginąć i aby Polska bez ich opieki, lecz właśnie dzięki brakowi ich — powstała.

I przeciwnicy jednolitego pansławizmu, wątpiący w stałość uczuć plemiennych braci Rusinów, Czechów, Moskali itd., nie ogarniali jednak takiej szerokości horyzontów, w której mogłaby runąć w Europie mozaika dynastji starych Habsburgów. A już szczytem bluffu amerykańskiego wydawała się stała groźba wygnania Hohenzollernów z wyspą św. Heleny dla cesarza Wilhelma! Przewidywano jedynie grę „remi“, nierozegraną, w której cesarz Wilhelm zatwierdzi na kongresie (jak ongi cesarz Napoleon na Kongresie Wiedeńskim) minimalne granice zmartwychwstałej Polski, a raczej Warszawy z Saską Kępą z przyległościami.

A jednak... A jednak wszystkie przewidywania okazały się tak mylnymi, jak wszystkie pro-

roctwa wróżbitów; jak losy przeznaczeń, których tajemnice dierży jedynie i niepodzielnie Stwórca i Pan Świata.

I Pawełek, wczytując się w ojcowskie manifesty wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, pomny, jak za pomocą sztucznie prowokowanych t. z. intryg polskich wszelkie carskie obietnice, jak śniegi wiosenne tajały — bolał nad Warszawą, która... bawiła się.

„Szeroka natura“ rosyjskich oficerów, rozjeżdżających pędem w samochodach z kokotami i zapijających szampana (dla niepoznaki wobec zakazu — w filiżankach, zamiast kieliszkami) — rozrzucała złoto w bogacących się wciąż sklepach, w teatrach i restauracjach.

I wśród stale dochodzącego huku szrapneli i grozy bomb, spadających z nieprzyjacielskich aeroplanów, jak stada kruków (miasto już tak do nich przywykło, że nawet igrające w ogrodach dzieci tem się nie płoszyły) — „ta stara historyczka Warszawa“ rautowała „na rannych“, koncertowała „na głodnych“, kwiatkowała „na niemowlęta“. A filantropijne „wielkie“ damy w godzinach wolnych od pokiera i bridża darły wśród salonowych mniej lub więcej politycznych rozmówek i ploteczek — batystowe chusteczki na szarpie dla szpitali lub szydełkowały szaliki dla dzieci rezerwistek. Rozdawały też zupeł bezdomnym i z wielkimi krzyżami na ramieniu pielegnowały amputo-

wanych i oczadzonych trującami gazami rosyjskich żołnierzy.

Podziwiano w operetce nowe brylanty panny Messalówny. A bitwy pod Liège, Namurem, Malines, St. Quentin, pod Belgradem i Niszem, nad Marną, nad Aisną i Oisłą — stawały się głównie sensacją dziennikarską i tematem do rozmów, żywotniejszym nieco od przestarzałych już walk pod Maratonem i Termopilami.

Gdybyż jeszcze spekulanci żydzi nie pochowali drobnej monety, bez której obyć się nie można było, bo nawet w tramwajach papierków nie zmieniają! A jedynie stałym bywalcom kawiarni wydają kwity abonamentowe na konsumacje.

Lecz do wszystkiego można się przyzwyczaić. Ukochana Warszawa, choć zupełnie w odmiennych szatach jest przecież zawsze Warszawą. Faktem jest, że strój przywdziała zupełnie inny, bez śladu dawnych prywatnych samochodów i pojazdów, zabranych dla celów wojennych. I te inne jakieś, obce twarze przybyszów z dalekich stron z wojskiem bez oleodrukowej pompy złocen, w mundurach z bezbarwnego płótna, z czarnymi guzikami, z zamaskowanemi epoletami.

Wojna! Wojska sunące ulicami bez końca... I te ciągle huczące na bruku ulicznym armaty, tabory, podwody, jaszczyki z amunicją, pędzone woły, krowy, owce i znowuż wozy z prowiantem bez końca... I te na trotuarach koniki z kręcącą się

sierścią obcej jakiejś rasy, z głowami, wyrastającymi jakby wprost z tułowia, bez karku, uwiązane u drzwi sklepów, w których oficerowie zakupują zapasy czekolady i buljonu.

I te poborowe kancelarze rekrutów, pod którymi płaczą żony i matki. I telefony skasowali. Cóż robić? Wojna! Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić. Bo i głodem straszą. Przezorniejsi czynią zapasy kartofli i mąki. Nawet przechowują wodę w kadziach wobec pogłosek, że może jej zabraknąć w wodociągach. To wszystko przecież długo nie potrwa. Najwyżej pół roku.

Gdyby tylko nie te przebrzydłe aeroplany, szybujące jak na złość o godzinie 7-ej, właśnie w chwilach, kiedy najszykowniejsza publiczność wybiera się do teatru. Komentują bez końca kontuzję jakiejś staruszki z dwojgiem wnucząt; szczęściem nie ze znanego towarzystwa; choć przecież taki przypadek może się trafić każdemu.

No, i ta wieczna ciemnota ulic, w których nie zapalano lamp elektrycznych, aby utrudnić celność bomb, rzucanych z tych djabelskich aeroplanów.

Pocieszano się myślą, że jednak będzie się figurowało w opisach martyrologii przyszłych epopei. A ile materiału zostanie do opowiadania wnukom! Takie fakty rosną w tradycjach, jak na drożdżach.

I rzucono kwiaty napół martwo rozłożonym

w samochodach rannym i błogosławiono wychodzące do ludzkich jatek wojska, w których wyrównywał podobno generał Kuropatkin rowy pierwszemi szeregami piechoty jedynie dlatego, aby (o! zgrozo, o, hańbo!) tratujać po braciach następne szeregi, armaty, wozy i t. d. mogły po wyrównanym już terenie rzucić się znienacka na wroga!

Czy słyszycie, chrześcijanie, wydobywający się z tych rowów chrzest łamanych kości i pękających czaszek? Czy nie posiwiały wam włosy i czy nieodbiera wam snu śród nocy widmo, żeście takich ofiar od braci żądali? Jakiem prawem rozporządzaliście życiem, nie swoim?

I ten najtragiczniej wykombinowany przez losy upust bratobójczej krwi żołnierzy, zmuszonych strzelać do siebie z pod dwóch obcych sztandarów — przedwojenni nawoływacze europejskich kondotjerskich dzienników uważali za potrzebny do oczyszczenia atmosfery świata. Bo użyteczna wytwórcza praca ogniskujących rodzin poczęła uchodzić w ostatnich przedwojennych czasach za pogardliwe szare, pospolite, lilipucie filisterstwo, a jatki nożowców — za heroiczną epopeję. O! Bogowie!

I żadna strona wojujących nie przyznałaby, że tę wojnę wcale nie o pokój, lecz o dalsze piękne karty dynastji — stworzyli tradycjonaliści kłamliwych kultów, w których rzezie morderczych ja-

tek w aureoli słonecznych legend opromieniają się w świętość ołtarzy, błogosławionych przez aniołów i samego Boga.

Lecz tym razem najsympatyczniejsi optymiści zawyrokowali, że Warszawie grozi chwilowe niebezpieczeństwo. Moskale już jawnie uciekają. Na ulicach pakowano wozy z meblami i z kosztownościami skradzionymi z Łazienek i Zamku. Urządzono milicję miejską. To nie były już żarty. Warszawie groził głód. Najsolidniejsi obywatele mogą być brani przez wroga do taczek w okopach. Matki poczęły drzeć o honor swych córek. A nawet o swój własny. Dla najeźdźców niema nic świętego. W swoim okrucieństwie mogą nie uszanować nawet siwych włosów... farbowanych. Lecz matkom — rzecz prosta — chodzi głównie o los córek.

Choć podróż do Rosji niebardzo nęciła śród upału lata w ścisku wagonów, w których już szpilka z trudem się mieściła — nie było innej rady. Należało uciekać na obczyznę.

Lecz Pawełek uparł się, że Warszawy nie opuści; chce umrzeć w mieście, w którym urodził się, w którym umarł dziad jego i ojciec i w którym pochowano zwłoki Bubuśki.

Nie było czasu do nawracania miękkiego zwykle dziwaka, który — kiedy napadał go „ślepy upór“ — stawał się nie do zwalczenia.

Postanowiono, że Jurkowie nie rozstaną się na obczyźnie z panią Lolą, z Zyziem i z Kazią.

A „stary“ pozostanie w Warszawie dla pilnowania fabryki. Jemu też pozostawiono mozolny trud wydostania z banków złożonej gotówki, przed którymi pierwsze sążniste sznury interesantów (poczęto nazywać je ogonkami) wycofywały swoje uciulane pieniężne zapasy, nie tylko całymi dniami, lecz i bezsennie spędzanymi w ogonkach nocami.

Nareszcie Jurkowie zwyciężyli wszystkie przeszkody; zawdzięczając protekcji, otrzymali bilety jazdy dla siebie i dla rodziny Pawełka. I prawie uwieszeni na stopniach wagonów, wyruszyli wreszcie do Petersburga. Wszyscy razem: Jurek z panią Lilką i pani Lola z Zyziem i z Kazią.

60-cioletni Pawełek pozostał w Warszawie sam jeden. I niezrażony hukiem szrapneli, kanonadą przedmieść i bombami aeroplanów, czyhającymi na każdego przechodnia — rozkoszował się pustymi ulicami pięknej europejskiej Warszawy, ogołoconej nareszcie z więzi azjatyckich, szafranowo pomarańczowych galonów żandarmerji, uczestków, prijutów, gubernatorów i rewirowych.

— Enfin seuls — uśmiechał się, składając ręce, jak do modlitwy z szeptem:

— Nareszcie! Dzięki Ci Boże za pierwszą chwilę szczęścia w mojem życiu. Bez moskali!

Zrozumiał naraz rdzeń tajemniczego bólu, który szarpał go od kolebki, zaćmił mu melancholją oczy, uczynił pesymistą, odludkiem i mrukiem. Miał zranioną duszę. To krzywdą i niesprawiedli-

wość, któremi karmiła go od dziecka „Rada pedagogiczna“ Lisowskich, Stefanowiczów i Sołowiewów, dusząca najlepsze instynkty ofiarnego koleżeństwa w więzieniach i w kozach samotni, szpicelowanej zielonemi oczami złocącego się w ramach Aleksandra III-go.

To obojętność, zawiść, obluda i niewyrozumiałość tych wszystkich dokoła niego ziomków, wychowawców tych samych pedagogów: Lisowskich, Stefanowiczów, Sołowiewów i Ilowajskich — mroziła go po skończeniu szkół aż do grobu.

I teraz śród upalnej sierpniowej nocy Pawełek, przewracając się bezsennie na swoim pościu, zdaje sobie najdokładniej sprawę z tych gorzkich, zatrutych owoców stuletniej niewoli, wzrosłych w anormalnej atmosferze chwastów i kąkoli, wychodowanych w krajach jeszcze niedorosłych do pojęć braterstwa, równości i swobody.

Nie przestając boleć nad tem, że jedynie w potopie krwi ta krzywda mogła zatonać — rozważał krytycznie, bez żdźbła szowinizmu, że jednak żadnemu z narodów na świecie nie działo się tak źle, jak rozćwiartowanej Polsce, w której małym dzieciom kazano modlić się w szkole w obcym języku i uczono przetrudnej greki i łaciny dla ułatwienia... po rosyjsku, czyli po chińsku. Łacina po chińsku! Biedne polskie dzieci!

I Pawełek ani spostrzegł śród tych nocnych ro-

jeń, jak rażony przeraźliwym hukiem — runął z łóżka na podłogę — przekonany, że to serce mu z bólu pękło, lub może atak apoplektyczny...

Lecz kiedy piekielny huk się powtórzył, a cały pokój, niby kajuta tonącego okrętu, zagibotał w swych posadach z trzaskiem wytłuczonych szyb i przewracających się połamanych mebli — Pawełek, pewny, że to trzęsienie ziemi, a może szal jego zmysłów — zerwał się na równe nogi i biegł w koszuli szalonym pędem przez pokoje aż do drzwi wchodowych. Ostatnim wysiłkiem tchu znalazł się wreszcie na schodach, po których biegł śród chwiejących się murów, oraz spadających kamieni, wapna, cegieł i belek sufitowych, z których jedna w głowę go trafiła.

Oszołomiony zrozumiał jednak wszystko: Fabryka dynamitem wysadzona! Minał wreszcie trzęsące się pod jego stopami schody i cudem ocalony — odetchnął wreszcie na podwórzu. Lecz zaledwie zwilżył podaną mu wodą gardło i zlekka opatrzył zranione czoło — usłyszał piekielny trzask swego mieszkaniowego domu, który runął naraz, jak mała dziecięca zabawka, z kart ustawiona.

I Pawełek wodził teraz błędnymi oczami dokoła podwórza i, odurzony niezwykłym widokiem, pochwyił się za zboląłą głowę. Śród spadających wciąż jeszcze cegieł i kamieni, w opalowej toni rannych niebieskawych mgieł, które zaróżowiło

słońce swemi wschodzącemi promieniami — czerwieniło się rumowisko ćwierćwiekowej pracy ludzkiej. W pośrodku walał się z bezsilnością trupa zniszczony komin fabryczny. Dokoła nich, pokonane ciężarem obalonego olbrzyma, słaniały się warsztaty, chwiały w swych posadach oparkaniowane magazyny, piece, motory; a osztachetowane domki robotnicze z ogródkami waliły się w przedśmiertnych drgawkach piekielnym deszczem pogruchotanych kręgosłupów, błędnych oczu okiennych i wszystkich członków zabijanego zwierzęcia.

I wśród tej pożogi żyjąca jeszcze przed godziną normalnem, statecznem życiem cała osada świeciła teraz jedynie nagością sterczących tu i ówdzie martwych ścian i ocalałych niektórych drzwi i okien, jak w wykopaliskach znikłej od wieków Pompei.

Śród sennej ciszy, z jakiej nie zdążyła jeszcze zbudzić się otaczająca natura — grupy mężczyzn, wystraszonych bab i zaciekawionych niezwykłością faktu dzieciaków — komentowały, rozpruwając ciszę wczesnego ranka tępem gdakaniem:

— To uciekający moskale dynamitowemi bombami zamierzają zburzyć całe miasto.

— Bum, bum, bum.

— Słyszycie? To sąsiednia fabryka Wintera.

— Bum, bum.

— A teraz słyszycie? To Malinowskiego.

— Jezus Marja! Patrz. Luna! Gore, gore!

— Z całej Warszawy ani jeden kamień nie zostanie.

— O, rety! O, ludzie, ludzie!

— Cały dobytek, ani śladu mego łóżka — halucynowała jakaś nieprzytomna z bólu kobieta. — Ani skrzyni z bielizną. Co to będzie?

— Ratujcie, przez Boga, ratujcie!

— Co tu ratować? — załamywały się dłonie.

— Co to będzie?

— Koniec świata za wszystkie grzechy.

Teraz całe miasto z wieżami kościołów i fabryk, skąpane w szatańskim tyglu rozpuszczonych rubinów, krwawiło się łuną pożarów, które, jakby ognistym oceanem o złotych falach, zalewały swym potopem zbudzone ze snu mrowisko.

Nareszcie jeszcze jeden huk, straszniejszy od wszystkich poprzednich. Jakiś piekielny ryk rozwierających się czeluści ziemi, którą chłonie w swych bezdniach nienasycona paszcza Erebu.

— To oba mosty na Wiśle, wysadzone przez Moskali dynamitem — runęły.

Dokoła zaległa grobowa cisza, którą wnet rozpruła nowa wieść z tysiąca i jednej nocy, w którą jednak wnet uwierzyli, bo można już było teraz wierzyć we wszystko.

— Wiecie? Niemcy są już w Warszawie. Trzema samochodami przejeżdżali już przez ulice. Sawicki na własne oczy ich widział.

— I ja widziałem.

— Jak wyglądają?

— Noszą szare mundury i pikielhauby na głowie. Niebawem nadejdą ich wojska.

— Obce wojska! Znowuż jakieś obce mundury! — dreszcz przeszedł przez Pawełka. — A więc skończyło się króciutkie sam na sam. Znowuż nie będziemy u siebie w domu — mignęło Pawełkowi przez wystraszoną głowę.

I przejęty doniosłością faktu, przewyższającego wszelkie najśmielsze sny młodzieńcze — począł tulać się po ulicach miasta, przecierając sobie wciąż zdumione oczy, w obawie, czy to wszystko nie jest chorobliwa maligna, halucynacja.

Przy dźwiękach orkiestr, zawodzących jakieś obce, nieznane nikomu melodje, sunęła piechota, zmęczona kilkomilowym marszem. Wojska bawarskie w zniszczonych mundurach, drobni, krępi, nizcy, dysząc ciężko, ocierali sobie brudnymi chustkami strugi potu, spływającego im z czoła od skwaru lata i znoju. Za nimi sunęła strojnieszka już konnica, artylerja, pojazdy z wyzłoczonymi dygnitarzami, wśród których miał się znajdować podobno brat króla bawarskiego i inni wielcy książęta.

Niektórzy żołnierze apatycznie, niektórzy ze żdziwieniem wobec europejskości zdobytej stolicy, rozglądali się dokoła. Przecież ich Niemiec

Łowajscy przedstawiali swoim żołnierzom Polaków, jako hotentotów, łaknących niemieckiej kultury!

Na placu Teatralnym pod wieżą ratusza za zezwoleniem swojej władzy, organizującej dopiero przyszłe posterunki — wojsko runęło pokotem, jak zmęczone stado, rozglądające się daremnie za ożywczem źródłem.

Oficerowie niemieccy poczęli wnet oblegać cukiernię Loursa pod filarami i, wydając zdumionym tą obcością garsonom zlecenia na migi, zjadali stosy ciastek, zapijanych kawą i herbata.

Wszystkie stoliki cukierni, którą postanowiono wnet zamknąć z powodu wyczerpania zapasów, obsiedli i żołnierze, wzbudzający mimowolny podziw, o ile są kulturalniejsi od tych, którzy odeszli i którzy, jako nieboszczycy, o, dziwo! stawali się naraz, pomimo tak dokuczliwego ich chamstwa, sympatyczniejsi. *De mortuis nihil aut bene...* Tyle lat z nimi się przebyło...

Poczęto zapominać o krzywdach. Łapówką można było wszystko z nimi przeprowadzić. Gdybyż jeszcze carem został Mikołaj Mikołajewicz, choć i Mikuś był więcej głupi, niż zły.

A tu naraz pludry, szwabry.

Nowe obce wojska, niby kulturalne — raziły tłum najbardziej swoją obcością. Ten język niezrozumiały, taki podobny do żargonu... I ta zażyłość z żydowskimi faktorami, którzy, mogąc

porozumiewać się z nowym przybyszem, odrazu za pan brat im się z jakimiś drobnymi usługami narzucali.

— To podobno żydzi ich tu sprowadzili; to oni wskazali im drogę, którejby Niemiec nie mógł wynaleźć — kombinowało pospólstwo, podsycane przez odpowiednie, polityczne propagandy.

Jakaś baba zapewniała, że Niemcy nie są chrześcijanami. Są prawie, jak żydzi, bo nie uznają ani Matki Boskiej, ani świętych obrazów, ani papieża.

Przechodziły dni i tygodnie. I Pawełek rozczytywał codzienne rozporządzenia, głoszące w „Warschauer Zeitung”: o podatkach, płaconych złotem, za fortepiany, za psy i za przepustki, o rekwizycjach, o markach papierowych i t. d.

I wczytywał się w hałaśliwie sprzedawane przez wyrostków dodatki kurjerkowe, w których mędrkujący politykomani wyczytywali naszym zwyczajem pomiędzy wierszami zamiast faktów... własne pragnienia, a raczej sugiestjonowane im dezyderaty ich partji politycznych.

Pawełek, zmęczony wojenną newrozą odczuwania spełnionych marzeń z coraz większymi zastrzeżeniami — nie wpadał w szal szczęścia z powodu owego zmartwychwstania listopadowego, choć niepodległość państwa polskiego uznała już i Stolica Apostolska i cztery ówczesne europejskie potencje: Niemcy, Austro-Węgry, Bułgaria

i Turcja. I jeszcze jeden przeogromny cud: 1-go grudnia uroczysty wchód legjonów! Lecz znowuż słońce marzeń spełnionych zakrywają chmury zastrzeżeń...

I znowu radości: Powstanie Banku Państwa Polskiego, Rada stanu, Szkolnictwo, przeszło tyśiąc nowo otwartych ochron polskich, sejmiki powiatowe i te ciągle jawne (nie jak za moskali!) wiece coraz to nowych partji politycznych z coraz większem zblazowaniem w odczuwaniu, z coraz większem szyderstwem i z animozją coraz boleśniejszych zaognień politycznych i prywaty.

I te epidemie, wzrosłe na zasianych trupem polach nieznanych dotąd chorób: ukrainek, hiszpanek i innych infekcji. I te niesłychane dotąd neologizmy: rekwizycje, ewakuacje, moratoria, ogonki, ersatze, przepustki, paskarstwo. I te koszule po sto marek, (o zgrozo!) kosztujące przed półrokiem cztery ruble, i trzewiki sześciorublowe, za które żądają teraz pięćset marek nagle zбоgaceni paskarze. Pięćset marek za jedną parę trzewików! Co za niesłychane zdzierstwo! I te podpalania magazynów, w których emigranci pozostawili swoje mienie! Łapownictwa i zdemaskowane malwersacje różnych władz! I ten kartkowy chleb z kasztanów, kartofle, sprzedawane na funty po cenie dawnych brzoskwiń! I zdobywane w ogonkach tafelki koksu zamiast węgla, sacharyna za-

miast cukru, marmelady niby owocowe z marchwi i buraków i inne ersatze.

Polska zmartwychwstała! I O! bogowie! wzdychano do dwugroszowych kajerek, sześciogroszowych serdelków i do... kawioru. I te partje polityczne P. P. X. i P. P. Y. i P. P. Z., istne związki chemiczne, nienawidzące się, jak wrogowie! To tak wyglądają marzenia, kiedy się spełniają?

Ach! Ludzie, ludzie, z waszym patosem tytanów, z mózgami, czynami i myślami karłów!

Raniły do krwi duszę Pawełka te wszystkie intrygi politycznych partji, które w zapędzie swoich jedynych według nich lekarstw zbawienia ojczyzny zarzucały swoim ziomkom z innych szpitali politycznych nietylko idjotyzm, lecz podłość. A leki kolegów z przeciwka wyklinały, jako premedytowaną truciznę.

Nie dotykały Pawełka ani kolejne tryumfy, ani porażki wszystkich politycznych partji, ani trudności i niewygody życia, bo nigdy nie solidaryzował z marzeniem Henryka IV-go, aby każdy jego poddany mógł gotować kurę do niedzielnego obiadu. Bo Pawełek wiedział z doświadczenia, że szczęście ludzkie nie leży ani w trochę lepszym lub w gorszym obiedzie, ani w zwycięstwie tej lub owej partji parlamentów. Wierzył, że przyjdzie czas, kiedy ludzi nie będzie się ani gwałtem uczyć, ani gwałtem myć, ani gwałtem leczyć. Bo człowiek nor-

malny stanie się sam przez się dobry, rozsądny, zdrowy i czysty.

Nie trzeba będzie już wtedy kłamliwie idealizować przeszłości, ani roić o przyszłych sztucznych ideałach. Będzie się kochało jedynie ówczesną terażniejszość nie programowo, lecz szczerem uczuciem takim, na jakie faktycznie owa przyszła terażniejszość będzie zasługiwała.

I będzie się żyło nie kłamliwym patosem sztucznych ideałów, lecz jedynie kultem piękna, prawdy i dobroci. Naturalnie to cudne jutro czeka jedynie młodych. Starość — niestety — nie ma jutra; ma jedynie wczoraj.

Pawełek zanurzył się po swojemu we wspomnieniach: Nie na wiele przydała się matczyzna gorliwość oddania go jaknajwcześniej do szkoły, aby wyleczył się ze swej przesubtelnionej wrażliwości i nabrał hartu do życia. Tak, jakgdyby można sprowadzić do wspólnego mianownika motyla, lisa, wilka i mrówkę!

To już wina natury, lubującej się w różnorodności miliardów odcieni, których nie uda się imperatywom czasowym — jedną barwą spacyfikować.

De gustibus non est disputandum. Pawełek woli swój własny smutek kontemplacyjny, niż humor pijanego huzara.

Pogardę dla subtelności intelektualizmu stworzyła naśladowająca obecnie Anglię Francja w swo-

im nowym kulcie dla futbolów, maczów i skautów, które mają zapobiegać zmniejszeniu się małopłodności. Groza wobec możliwej jeszcze kiedyś utraty nieszczęśnicie piłkującej z rąk do rąk Alzacji i Lotaryngji.

Naszej ludności nie grozi wymarcie. Synkowie Wicków i Wacków są aż nadto weseli i płodni. Niema potrzeby odganiać ich od refleksji, kontemplacji i subtelności. Do bilardu, konika i fuzyki mają aż nadto upodobań i zdolności.

Tak, tak, nie można sprowadzać wszystkich do wspólnego mianownika. Chodzi o to, aby wilk i mrówka nie popadły w megalomanię pysznienia się jedynie własnymi właściwościami i aby nie pogardzały zawistnie zaletami motyla lub lisa.

Bez wzajemnej tolerancji sangwinicznych brunetów dla limfatyków blondynów, jak bez tlenu świat dusi się w atmosferze krzywd, niewyrozumiałości i nienawiści.

Pawełek czuł się winnym, iż poza skromną funkcją maleńkiego kółka fabrycznego, jakie w polskiej fabryce pełnił — nie przyczynił się ani jedną cegielką do budowy tej przyszłej świątyni, o której wiecznie marzył.

Brakło mu sił i odwagi. Był wiecznie płoszony i ośmieszany. Wszystkie jego właściwości uważano wiecznie za wady tak długo, aż sam uwierzył, że jest może gorszym, winniejszym i głup-

szym od innych. Tylko tienning kochających nauczycieli przynosi korzyść. Rasowy arabczyk pod zbyt silnym batem staje dęba i wierzga gorzej od folwarcznej szkapy.

Miał duszę zbyt silnie ranioną nie tylko przez najeźdźcę wroga, lecz co gorsza przez braci, związanych u tej samej taczki cierpień.

Gryzące się wzajemnie szkapy w niewoli bata, zaprzęgnięte do tegoż kieratu. Żadnej z nich winić nie można, bo wszystkie bez wyjątku są zarówno bezsilne, nieszczęśliwe i winne.

— To oni zranili mi duszę jeszcze w powijkach. To oni — moskale! Nietylko Lisowski i Howajskij, lecz Hurko, Apuchtin, Jankuljo! To gimnazjalna koza, kara, żem nie chciał zdradzić winy przyjaciela, żem rozmawiał po pauzie z kolegami po polsku. Czyż męka wykuwania greki po rosyjsku nie równa się męce wykuwania rosyjskiego po grecku? A ta najcięższa zbrodnia uczenia się gramatyki ojczystej w języku rosyjskim! I modlitwa w języku wroga. I ta cała martyrologja nietylko w kazamatach Syberji, na Pawiaku, w X-ym pawilonie cytadeli, lecz wśród czterech ścian swego pokoju. Ukrywało się z drżeniem niecenzuralnego Mickiewicza i małego srebrnego orzełka, zakupionego ukradkiem w Krakowie.

— Lecz najbardziej zranili moją duszę tem, żem w zaraniu młodzieńczego życia był zmuszony

za te wszystkie krzywdy nienawidzieć ich. To ten wieczny trening nienawiści zgangrenował moją duszę. Nie powinno się tak strasznie nienawidzieć nikogo. Nawet wroga. *Nostra maxima culpa*.

— Nie jestem godny ujrzeć takiej Polski, o jakiej marzę. Ani ja, ani żaden z żyjących. Taka Polska dopiero, hen, kiedyś dojrzeje. Wtedy, kiedy zamrą już ci wszyscy, zrodzeni w demoralizująco krzywdzącej, okrutnej i złej niewoli.

Marzył, jak będzie wyglądała ta wolna, równa, braterska, święta: Konie, zaprzężone u jednego woza, nie będą się gryzły wzajemnie. Pięte koła nie będą dla prywaty usuwane, jako zbędne, bo nie jest niezbędnem. I dwukołowce toczą się przecież bez pomocy kół trzecich i czwartych. A jednak przecież i stonogi istnieją, i dużo małych robaczków, muszek i różnych dziwadł natury, które Bóg stworzył, choć człowiek nie wie jeszcze dobrze, w jakim celu.

A jedynie złość ludzka i zawiść wymyśliła, aby wszystkie konie, ciągnące wóz ciężarny, miały być koniecznie jednej maści.

Nie mógł pozbyć się żalu, jaki czuł do ludzi za śniedź rozgoryczenia własnej duszy. Bo zdołali nie tylko, korzystając z jego indywidualności, przedstawianej za zgubną dla ogółu, odsunąć go od życia, lecz udało im się nadto obrzydzić i jemu samemu tę niezależną od niego indywidualność.

I zmusili nie godzącego się na farbowanie lisa i na obłudną maskę do krzyku:

— Protestuję. Jestem taki, jaki jestem. I nigdy innym nie będę. Bo innym być nie mogę i nie chcę.

Był jasny, słoneczny dzień. I Pawełek, nęcony pogodą opuścił swój zimny hotelowy pokój bez znikłych jak kamfora pamiątek; bez śladu własnego łóżka, biurka i etażerki z jego skarbami: *Causeries du lundi* Sainte-Beuve'a i cyklopa Komedja Ludzka literackiego Michała-Anioła-Balzaka. I Listy z Włoch Hipolita Taine'a i społeczna epopeja mieszczańskiej obłudy i perwersji, o mrówczej technice Flaubertowska *Pani Bovary*. I jego *Złoty Ołtarzyk*, z którym nie rozstawał się w podróży, w kieszonkowym wydaniu — *Pan Tadeusz*.

Pochylony w mgłach swoich widzeń, z opuszczoną głową sunie Pawełek przez plac Trzech Krzyży, ufny, że wśród tej ciszy, niezaprzątniętej ruchem ani jednego pojazdu i ani jednej dorożki (wszystkie ekwipaże i konie zarekwirowano), możnaby na środku ulicy bawić się z małemi dziećmi w „guziki“.

Miał uczucie, że serce jego porusza się ostatniemi już ruchami, jak u zegarka, którego zapomniało się nakręcić poprzedniego wieczoru i który po utracie kluczyka ma stanąć tuż, tuż, niezadługo...

Zdawało mu się, że jest małym chłopczykiem,

prowadzonym przez matkę za rękę. Idą w piękną, pogodną niedzielę na wody do ogrodu Krasińskich. Mijają Leszno, to lubie Leszno z mura-
nemi krawędziami mostów, zawieszonych ponad przepaściami rynsztoków ulicy. Spogląda w górę, na lilipucią karetkę powoźnika Romanowskiego, ustawioną nad sztyldem balkonu. On w gimnazjalnym mundurku, matka w pięknych nicowanych wstążkach u kapelusza.

Recitka

Jak zegarek z połamanem wahadłem, Pawełek wydzwania teraz, zbliżając się do kościoła św. Aleksandra, po raz ostatni zadana przez Lisowskiego na poniedziałek łacinę. Wszystkie przysłówki, rządzące ablativem: Absque, a, abs, i de, sine tenus pro i pre.

I słyszy luby, słodki głos matki, zachęcającej go do jego dziecięcych wynurzeń, za którymi tak przepadała:

— No, mów dalej, ty, ty, gaduło.

— Bubuśka! Idę do nich na Inflancką — zwierzał się jej ze swoich pierwszych uczuć, jakimi zapalał do ludzi, których chciał kochać, w których widział jeno zalety, dla których chciał poświęcać się i cierpieć za ochłap zrozumienia jestestwa jego wnętrza, za porozumiewawczo ciepły uścisk dłoni, drżącej choćby atomem tych uczuć, jakimi witała go i żegnała codziennie jego matka. Bo z chwilą jej śmierci zraniona dusza jego tego balsamu już nigdy nie zaznała.

— A i mnie i Leszno Pawlutas opuszcza dla obcych? — zawodziła boleśnie, przeczuwając najkrwawsze rozczerowania i zawody życia swego dziecka.

— Muszę. Kocham ich — szarpnął z całych sił za porcelanowy dzwonek u furtki z daszkiem na schodkach na prawo, uliczki na lewo.

Lecz dzwonek ten zabrzmiał jakimś tak przeraźliwym tonem, iż Pawełek, sunący w jasny, słoneczny dzień przez plac Trzech Krzyży, pochwycił się za serce, i z krzykiem „Jezus, Marja!“ — jak długi na ziemię runął.

Bo to nie był wcale porcelanowy dzwonek „u furtki pod daszkiem na prawo, uliczki na lewo“. Lecz to był wielki samochód rządowy, którego chauffeur z trudem powstrzymywał bieg olbrzymich kół lokomotywy. I z lekka najeżdżając na pogrążonego w marzeniach starca, gromił go:

— Hej, panie staruszk! Psiakrew! Ślepy, czy głuchy?

Na pustym przed chwilą placu Trzech Krzyży tłoczyła się teraz gromada gapiów, ścierająca bezcelowo zdania z charakterystycznym warszawskim gadulstwem, w którym tkwiło więcej złości, mściwej chęci karania winnego chauffeura, niż ratunku i współczucia dla poszkodowanego. Zapisano już numer samochodu.

Wreszcie zdecydowano się zanieść chorego do bramy najbliższego domu.

Zirytowany, wymowny stróż siłą pięści, z akompanjamentem odpowiednich, wcale nie wersalskich argumentów — zatrzaskał wreszcie bramę przed najściem napierających się dalszego ciągu widowiska, zaciekawionych spektatorów.

Położono chorego na brudnem posłaniu stróżowskiej celi. Po długich debatach zdobyto się na żądanie pogotowia ratunkowego. Pomysł dość uciążliwy wobec niefunkcjonujących telefonów i braku dorożek i tramwajów.

A zerwane wahadło serca przejechanego przez automobil starca łomocze ostatnimi drgawkami napółświadczenie:

— Naturalnie, to takie proste! Nowoczesny czterokołowy potwór, pędzący wciąż naprzód, zdruzgotał zbędne mu piąte koło.

Felczer z sąsiedniej razury dziwował się, iż przy tak małym zadrażnieniu jednej nogi i zlekka zakrwawionej ręki — staruszek nie otwiera oczu i nie daje znaku życia.

— Bubuśka! To ty! Mów do mnie! Ja nie mogę już... — żali się mały Pawełek, wsłuchany w balsamicznie kojący go głos:

— Chodź do mnie. Porzuć ich, Pawlutas. Ludzie swojemi bezlitosnemi żądlami rozkrwawili ci duszę; byłeś piątem kołem, ciężarem im i sobie. Prawda?

— O! Prawda! Bubuśka!

— Krzywdzili cię. A ty nie byłeś w stanie zwyciężyć odziedziczonej po matce nieśmiałości i nie potrafiłeś zwalczyć ludzkiej niesprawiedliwości i złości. I wiecznie sam jeden, nie znalazłeś wśród tłumów ani celu, ani ścieżyny wśród pustyni, w której małe ogniki gasły za twojem zbliżeniem.

— Tak. Żle mi tu było w tej długiej gościnie. A teraz jestem już stary, zmęczony, chory. Nie mam już sił. Weź mnie z sobą, bubuśka! — otworzył po raz ostatni oczy.

I w najwyższej rozkoszy Pawełek ujrzał w purpurach zachodzącego słońca Jej anielską postać w koronie ze złotych promieni, z szeroko rozpostartemi ponad nim białemi skrzydłami:

— Chodź ze mną tam...

— Tyle kół, tyle kół... A czemuż nie uważać za zbyt wiele innych, a jedynie nas. Konie u wozów nie potrzebują być jednej maści.

— Cicho! Cicho! Chodź ze mną tam...

— Tylko jeszcze przysłówki z Ablativem, bo Lisowskij... Absque, a, abs i de...

— Nie trzeba już. Chodź ze mną...

Upojony tym znanym mu z Leszna balsamicznym głosem — zamknął powieki z ufnością dziecka, ukołysanego czarowną pieśnią. Aż tu nagle olśniony widokiem roztaczającym się w jego zamkniętych już oczach — delektuje się jakby wniebowzięty: Jakaś cudna topiel rozpuszczonych opali...

I ten deszcz z jarzących brylantów i te wielkie spadające w dół złociste koła świetlane z błękitnemi obwódkami, stokroć barwniejszemi od tęczy...

Jakaś niewidzialną siłą począł unosić się coraz wyżej. I spoglądając z politowaniem w dół na zbiegowiska coraz bardziej zmniejszających się lilipucich ludzi, komentujących jakieś mrówcze zdarzenia, bada jakieś otaczające go skrzydłami nowe, białe postacie:

— A tamto wszystko — to był jedynie sen, prawda? Jedynie ciężki, straszny sen, prawda?

— Nie. To było tak zwane życie.

— Takie długie! — żalił się przytulony do skrzydeł anioła, z wysoka przypatrując się ze zgrozą swojej marnej ziemskiej powłoce.

— Podług ludzkiego zegara półwieku oznacza we wszechbycie sekundę — objaśnił anioł, nie przestając unosić go z sobą coraz wyżej ponad padół płaczu.

— A tam co będzie? — badał go zaciekawiony Pawełek.

— Zobaczysz! — uśmiechnęły się wymijająco anioły.

K O N I E C.

